

Robards Karen

Pościg

Czy Jessica stała się ofiarą wypadku samochodowego, czy... celem dla płatnych morderców?

Wypadek samochodowy, w którym ginie Annette Cooper, żona prezydenta USA, a z którego cało wychodzi jedynie młoda prawniczka Jessica Ford, staje się początkiem koszmaru.

Szef Jessiki, John Davenport, telefonuje do niej pewnej nocy i prosi o zabranie z hotelowego baru Annette Cooper. Kilka dni później Davenport popełnia samobójstwo, a jego wieloletnią sekretarkę śmiertelnie potrąca samochód. Do tego zajmujący się sprawą Annette Cooper tajniak, Mark Ryan, jest pewien, że Jess nie mówi mu o wszystkim.

Przypadkowo wplątana w życie Pierwszej Damy Jessica wkrótce orientuje się, że wszystkie osoby mające związek ze sprawą umierają w niewyjaśnionych okolicznościach. Kobieta jest pewna, że wypadek samochodowy, od którego wszystko się zaczęło, nie był przypadkiem. Mark i Jess muszą połączyć siły, by wyjaśnić tę sprawę, a to pozwoli im się poznać bliżej...

Rozdział 1

Jessica Ford przechodziła właśnie przez przyćmione, szklane drzwi hotelowego baru, gdy zadzwonił telefon.

- Czy prezydentowa tam jest? Widzisz ją? - W miniaturowej słuchawce Jess wyraźnie słyszała zniecierpliwiony, podniesiony męski głos. Tym razem stary pijak, John Davenport, był tak zdenerwowany, że nawet udało mu się wyraźnie wymawiać każde słowo.

- Tak jest - odpowiedziała, poprawiając słuchawkę przy uchu.

Lokal wypełniał rozentuzjasmowany tłum miłośników koszykówki, śledzących mecz na wielkim ekranie. Przy jednym ze stolików, w nieco spokojniejszym miejscu, siedziała żona prezydenta Stanów Zjednoczonych. Kobieta ubrana była w czarny sportowy dres z białymi lamпасami na spodniach i białe trampki. Na oczy nasuniętą miała czapkę, która zasłaniała powszechnie znane, krótko przycięte blond włosy. Gdy Jessica wchodziła do baru, prezydentowa wprawnym ruchem wychylała akurat kieliszek jakiegoś złotawego płynu. Jess szybko zdała sobie sprawę z tego, jak niewiele potrzeba, aby wybuchł skandal. Oto w samym środku sobotniej nocy żona prezydenta popija sobie drinki w podrzędnym hotelu, położonym zaledwie kilka ulic od oficjalnej rezydencji, i udaje, że ona to nie

ona. Jakby tego było mało, jeszcze ten dres, bejsbolówka i stojący tuż przy jej stoliku fikus.

- Całe szczęście - odetchnął Davenport. - Powiedz jej, że... - Wybuch radości zgromadzonych kibiców skutecznie zagłuszył jego słowa. Choć niezadowolona z nieoczekiwanej przydzielonej jej roli niańki, Jessica twardo szła w kierunku wypatrzonego stolika. Serce waliło jej jak młotem.

- Powtórz! Nic nie słyszę! - zawołała, gdy tylko tłum nieco przycichł.

- Niech to szlag! - zaklął Jack, mruczając jeszcze coś pod nosem. - Musisz ją stamtąd wyprowadzić.

- Rozumiem - odpowiedziała, unikając sformułowania „zrobię, co będę mogła”. Nie chciała usłyszeć reprymendy szefa, który zwykł w takich chwilach przypominać, że płaci za działanie, a nie za chęć. Musiała więc teraz radzić sobie sama.

A swoją drogą, gdzie podziewa się ochrona, zastanawiała się, nie widząc w otoczeniu nikogo w charakterystycznym czarnym garniturze. Davenport twierdził, że prezydentowa będzie sama i rzeczywiście, jak zawsze, miał rację.

- Dobry wieczór pani Cooper - szeptem zagaiła Jessica, zwracając uwagę na to, by żaden z siedzących w pobliżu gości niczego nie usłyszał. Nikt jednak nie zwracał uwagi na siedzącą z boku samotną kobietę.

W każdej chwili sytuacja mogła się jednak zmienić, dlatego Jessica musiała działać. Jej słowa pozostały bez echa. Prezydentowa tępym wzrokiem gapiała się w pusty kieliszek. A może udawała, że nie słyszy powitania.

- Proszę pani, jestem tu z polecenia pana Davenporta.

- Jess spróbowała jeszcze raz.

Siedząca podniosła wzrok.

- Kim pani jest? - spytała zdenerwowana.

- Nazywam się Ford. Przysłał mnie pan Davenport.

- Jess odpowiedziała z wymuszonym uśmiechem.

W surowym spojrzeniu podkrążonych dziś i zaczerwienionych niebieskich oczu, które znała z telewizyjnych wiadomości i kolorowych czasopism, dostrzegła wyraz ostrożności. Prezydentowa była nieumalowana, miała opuchniętą i bladą twarz. Bez wątpienia niedawno płakała. Jessica wiedziała, że pani Cooper bardzo często kłóci się z mężem, Davidem. Pamiętała też, co mówił Davenport - w takich chwilach po prostu należy wziąć prezydentową za rękę, przytakiwać wszystkiemu, co mówi, i cierpliwie czekać, aż się uspokoi.

Teraz za wszelką cenę musi ją jakoś do siebie przekonać. Cóż za niecodzienna sytuacja! Nie wiadomo dlaczego prezydentowa znajduje się w środku nocy w przepelnionym kibicami hotelowym barze.

Choć na razie nikt jej nie rozpoznał, Jessica bez trudu mogła sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby wpadli tu żadni sensacji dziennikarze. Nagłówki jutrzejszych gazet z pewnością ogłaszałyby wielkimi literami: PREZYDENTOWA POTAJEMNIE ZNIKNĘŁA Z BIAŁEGO DOMU.

Jessica wiedziała, że musi się jej udać. Inaczej mogłaby stracić pracę, a jej przełożony z pewnością dostałby szału. A cóż dopiero działałoby się na świecie! We wszystkich programach informacyjnych i gazetach pokazywano by fotografię ubranej w dres i zapłakanej prezydentowej. Trudno przewidzieć polityczne i personalne konsekwencje takich publikacji, ale głowa Jess z pewnością spadłaby jako pierwsza.

Poczucie ogromnej odpowiedzialności i zdenerwowanie spowodowały, że dłonie Jess dosłownie lepiły się od potu. Na wszelki wypadek splotła je razem i powtarzała w duchu: Nie załamuj się, dodając sobie odwagi.

- Nie znam pani. Niech przyjdzie tu John - powiedziała wreszcie prezydentowa, co oznaczało, że Jessica nie wzbudziła w niej zaufania.

Annette Cooper wyraźnie była zdenerwowana, bo bezwiednie bębniła paznokciami w blat stołu.

Wreszcie sięgnęła po leżący obok pustego kieliszka telefon.

Z Johnem przyjaźniła się od dawna, poza tym był jej prawnikiem, reprezentował jej interesy. Jessica także skończyła prawo i od roku pracowała w nieprzyzwoicie bogatej i najbardziej wpływowej kancelarii Davenport, Kelly i Bascomb, obsługującej kongresmenów. I choć była jednym z pracowników tej znakomitej firmy, miała nieodparte wrażenie, że jej podstawowym obowiązkiem było wyłącznie wykonywanie poleceń szefa typu: „Skacz!”. I liczyło się tylko to, jak wysoko zdoła skoczyć. Kiedy była na drugim roku w George Mason School of Law, Davenport zatrudnił ją na pół etatu. O czymś takim marzą wszyscy studiujący wieczorowo i pragnący po ukończeniu szkoły zmienić zawód oraz ciężko harujący studenci bez grosza przy duszy, obciążeni spłatą kredytów zaciągniętych na edukację. Więc i ona takiej okazji nie mogła zaprzepaścić. Dobrze rozwijająca się kariera to szansa dla całej jej rodziny. Gotowa była tyrać po sto godzin tygodniowo, pracować nawet z palantami z najlepszych uczelni w kraju, a jeśli będzie trzeba, wyężyć wszystkie siły, dokształcić się i przyłożyć do pracy najlepiej, jak zdoła. Dotychczas wszystko się dobrze układało. Po studiach przeszła na cały etat i przygotowała już kilka ważnych spraw dla Davenporta. Na razie w pocie czoła zdobywała doświadczenie, lecz bardzo chciała to zmienić.

Poznała też osobiście Annette Cooper, która parę razy zjawiała się w ich kancelarii. Podczas tych wizyt Jessica przynosiła potrzebne dokumenty. Teraz jednak prezydentowa jej nie poznała. Dzwoniła, obrzucając Jessicę podejrzliwym wzrokiem.

Jessica także na nią patrzyła, poruszona zmianami, jakie zaszły w wyglądzie kobiety. I wtedy nagle jakby

spojrzała na siebie jej oczami: dwudziestoosmiolatka, wyglądająca jednak na zdecydowanie młodszą, około stu sześćdziesięciu centymetrów wzrostu, szczupła figura, mały biust, kruczoczarne włosy przycięte na wysokości podbródka i byle jak zaczesane za uszy, wyraźnie zarysowana dolna szczęka, łagodne rysy, twarz w kolorze kości słoniowej, pospiesznie nałożony makijaż, który nie zdołał ukryć nielicznych piegów, piwne oczy, szkła kontaktowe... Ubrana w ulubiony czarny kostium i bawełnianą bluzkę tego samego koloru, sfatygowane czarne trampki zamiast butów na wysokim obcasie; jej siostra Grace, z którą mieszkała, bez pytania wzięła czarne szpilki, a pozostałe buty rozrzuciła bez ładu po wspólnej garderobie.

- Czy to prawda, że wysłałeś po mnie to coś? - ostro rzuciła prezydentowa. Davenport musiał coś odpowiedzieć, bo po chwili pani Cooper ponownie obrzuciła Jessicę nieprzyjaznym spojrzeniem. - Jesteś tego pewien? Przecież to nieszczęście ma ledwie piętnaście lat.

Jessica musiała zignorować wszystko, co usłyszała, i udawać, że nic się nie stało. Przesunęła się jedynie tak, aby stanąć pomiędzy panią Cooper a parą siedzącą przy najbliższym stoliku. Na szczęście było tak głośno, że goście hotelowego baru nie mogli słyszeć treści rozmowy.

To jasne, że nie spodobała się prezydentowej.

- Na pewno nie z tym dzieckiem, które stoi obok mnie. Czy jasno się wyraziłam? Masz przyjechać tu osobiście.

Bez względu na to, czy plotki o małżeńskich kłótniach państwa Cooper były prawdziwe, czy nie, siedząca przy stoliku kobieta wyraźnie znajdowała się na skraju załamania nerwowego. Zdradzał to zarówno podniesiony ton głosu, jak i nerwowe trzepotanie powiekami, a także wielki rumieniec na twarzy.

Jess rozejrzała się dookoła.

Davenport bardzo na mnie liczy, mówiła do siebie. Tak przynajmniej zapewniał podczas rozmowy telefonicznej; zadzwonił, przerywając jej oglądanie babskiego filmu na kanale Lifetime i zmuszając do wstania z łóżka. Nie miała wyjścia, bo powiedział, że już wysłał po nią samochód. I to, że bełkotał, wyraźnie wstawiony, nie miało żadnego znaczenia. Davenport usprawiedliwiał się, że nie może sam zająć się panią Cooper, bo jest w odległej części miasta i nie dotarłby wcześniej niż za godzinę.

„Musisz więc poradzić sobie sama”, przekonywał.

Za to Jessica znajdowała się mniej więcej dziesięć minut drogi od baru, w którym wylądowała pani Cooper.

Pospiesznie się ubierając, tłumaczyła sobie, że nie ma tego złego... Przynajmniej pozna bliżej prezydentową. Nadarzała się też okazja wejść w krąg jej najbliższego otoczenia. Nikt z nowych pracowników kancelarii z pewnością nie przepuściłby takiej szansy. To mogło oznaczać szybki awans i wiele innych miłych niespodzianek: coraz bardziej odpowiedzialne zadania, prestiż i naturalnie większe pieniądze. No tak, właściwie to wszystko wiązało się z pieniędzmi. Typowe.

Podczas tamtej rozmowy telefonicznej Davenport nalegał, aby Jessica pojechała po panią Cooper, podkreślał, że to sytuacja awaryjna i wciąż przypominał, że chodzi przecież o żonę prezydenta.

Widok zapłakanej twarzy pani Cooper przerwał te wspomnienia. Po policzkach kobiety jedna za drugą płynęły duże łzy. Jessica zdenerwowała się, widząc jej wykrzywioną twarz, nerwowo drgające usta i dłonie, w której wciąż tkwił telefon. Znowu ostrożnie rozejrzała się dookoła, lecz nic nie wzbudziło jej podejrzeń. Nagle z tyłu usłyszała odgłos zbliżających się kroków. Odwróciła się natychmiast i zobaczyła nadchodzącego kelnera. Stała mu na drodze,

chcąc w ten sposób choć trochę zasłonić siedzącą przy stoliku kobietę.

Pani Cooper wciąż rozmawiała przez telefon z Davenportem.

- Ja wcale nie żartuję - szlochała coraz głośniej. - Dłużej tego nie wytrzymam. Musisz mi pomóc. - Jessica mogła próbować jakoś zasłonić siedzącą, ale w żaden sposób nie była w stanie zagłuszyć jej słów.

Poinformowała kelnera, że na razie nie będzie więcej zamówień.

- A może jednak coś podać? - nalegał dwudziestolatek, usilnie starający się dojrzeć ukrytą za plecami Jessiki klientkę. Ta na szczęście słuchała akurat wywodów swojego rozmówcy i siedziała cicho.

Jessica miała nadzieję, że wścibski młodzian zobaczy jedynie pochyloną głowę w czapce.

- Dziękujemy panu - powtórzyła dobitnie, przesuwając się nieco w lewo, aby utrudnić kelnerowi wzrokowy kontakt z panią Cooper.

- W takim razie proszę, oto rachunek. Dwanaście dolarów.

Chcąc nie chcąc, musiała zapłacić. Sięgnęła do plecaka, otworzyła zamek błyskawiczny i zajrzała do przegródki, w której zawsze trzyma portmonetkę. Była pusta. Współlokatorka gwizdnęła nie tylko jej buty, ale i forszę. I co teraz? Co prawda Jessica miała przy sobie kartę kredytową, ale uznała, że lepiej nie zostawiać żadnych śladów. Poza tym Davenport twardo nalegał, aby jak najszybciej wyprowadzić panią Cooper z baru, a zapłacenie kartą wiązałoby się z koniecznością czekania na potwierdzenie z banku. Nagle spanikowana Jessica przypomniała sobie o dwudziestodolarówce, którą zawsze miała schowaną na czarną godzinę w zamykanej na zamek błyskawiczny kieszonce portmonetki. To był

pomysł jej matki, który podsunęła córce przed wyjściem na pierwszą i - jak się okazało - ostatnią szkolną dyskotekę. Do dziś pamiętała jej słowa: „Wierz mi, że lepiej na nikogo nie liczyć, choćby wszyscy obiecywali odwiedzić cię pod sam dom”.

Mama miała rację, pomyślała teraz uradowana.

Kelner przyjął banknot i oddalił się w głąb sali.

„Nie ma za co”, rzuciła gniewnie w stronę młodzieńca, który nawet przez sekundę nie zastanawiał się nad koniecznością wydania reszty. No cóż, nie awanturowała się, bo tego wymagała sytuacja, choć szkoda jej było dwudziestki. Nieco zdenerwowana obrotem sprawy, odwróciła się do stolika i usłyszała słowa pani Cooper:

-1 przyjedź jak najszybciej.

Pomimo zakończenia rozmowy kobieta wciąż kurczowo trzymała telefon w dłoni. Po chwili spojrzała na Jess. Zdołała się już opanować i nie płakała, jej oczy jednak zdradzały ni to złość, ni to stanowczość. A może mieszankę jednego i drugiego.

- Trudno mi uwierzyć, że ten drań przysłał cię, zamiast osobiście przyjechać.

Jessica była wstrząśnięta. Ani to, co zobaczyła, ani to, co usłyszała, nie mieściło się jej w głowie.

Jakże inny obraz prezydentowej wciskała ludziom propaganda!

- Pan Davenport nie mógł przyjechać. Jest daleko stąd.

- Jessica starała się mówić spokojnie, chociaż jej zdenerwowanie sięgało zenitu. - Mam samochód.

Lepiej będzie, jeśli wyjdziemy, zanim... - Gest Jessiki był równie jasny jak niewypowiedziane słowa: „znikamy, zanim ktoś nas rozpozna, inaczej skandal gotowy”.

- Kłamiesz, złotko. Jack jest po prostu pijany jak świnia

- powiedziała pani Cooper, gwałtownie wstając. Odsuwane krzesło zapiszczało przeraźliwie. Jess zamarła, lecz ważniejsza była ulga, jaką poczuła, widząc wstającą prezydentową.

Przecież o to jej właśnie chodziło. Jak najszybciej wyjść. Gdyby pani Cooper uparła się, w żaden sposób nie mogłaby jej przecież stąd ruszyć. Kobieta poprawiła czapkę na głowie, obniżając nieco daszek, wsadziła pod pachę wysadzaną maleńkimi kryształkami wieczorową torebkę

- piękną, ale całkowicie niepasującą do dresu, i oznajmiła:

- No to chodźmy.

Jess bez słowa ruszyła w kierunku wyjścia, skupiona i gotowa na wszelkie niespodzianki. W pewnej chwili, gdy mijały kolejne stoliki, miłośnicy koszykówki z wrzaskiem poderwali się na nogi. Jessica zamarła. Obejrzała się za siebie. Pani Cooper również stanęła, trwożliwie rozglądając się dookoła.

Jednak tłum koncentrował się na ekranie, zupełnie nie zwracając uwagi na inne rzeczy. To akurat było na rękę Jess. Telewizyjny kamuflaż. W chwilę później obie panie opuściły bar. Jeszcze tylko trzeba było wyjść z hotelu na zewnątrz.

Jessica miała nadzieję, że nikt nie zdołał zrobić im zdjęcia.

Szkoda, że jestem zdana sama na siebie, pomyślała.

Hotelowy hol był niewielki, stylowo urządzone i słabo oświetlony. Znajdowały się w nim recepcja i portiernia, jedne drzwi prowadziły do baru, drugie do zamkniętej już restauracji. Rozmawiająca przez telefon, ubrana na czerwono recepcjonistka nie zwróciła uwagi na dwie wychodzące z baru kobiety.

W portierni nikogo nie było, a stojący przy wyjściu szwajcar, też w czerwonym uniformie, grzecznie przytrzymał właśnie szklane drzwi prowadzące na zewnątrz. A to oznaczało, że zaraz do hotelu wejdą jacyś goście. Jess zdenerwowała się - w holu nie było gdzie się schować.

Muszą natychmiast wyjść. Za wszelką cenę.

- Tędy. - Wskazała drogę prosto do drzwi wyjściowych.

Pani Cooper potulnie kiwnęła głową. Wreszcie chyba zrozumiała, w jakiej sytuacji się znajduje, i że to w jej interesie leży uniknięcie skandalu. Ze spuszczoną głową szła obok Jess, od strony ściany, tak blisko, że Jessica dosłownie czuła na ramieniu jej szybki oddech. Jessica skoncentrowała się na drzwiach wyjściowych, przez które zaraz mógł przecież ktoś wejść, rozpoznać towarzyszącą jej kobietę, a wtedy...

Pokonały drzwi i znalazły się na szczycie prowadzących do hotelu schodów. Wtedy minęło ich dwóch mężczyzn w średnim wieku. Sądząc po marynarkach i sfatygowanych walizkach, mogli być kierownikami w jakiejś niedużej firmie. Toczące się kółka walizek wydawały niezwykle głośny dźwięk, podobny do ujadania stada wściekłych psów.

- Czy pomóc panom? - W nadziei na napiwek zapytał odzwierny, goście jednak przecząco kiwnęli głowami i sami ciągnęli walizki. Szwajcar, przed chwilą jeszcze tak uprzejmy, patrzył teraz na nich z nieskrywaną niechęcią. Jessica i pani Cooper przeszły na drugą stronę schodów. Ani nowi goście, ani szwajcar nie zwrócili najmniejszej uwagi na wychodzące z hotelu kobiety.

To nie dla mnie, uznała zdesperowana Jessica. Na studiach nie uczono ich, jak unikać skandali.

- Gdzie stoi samochód? - spytała wyraźnie zdenerwowana pani Cooper.

- Przed wejściem - odpowiedziała Jess i od razu pomyślała, że źle zrobiła. Należało umówić się z kierowcą przy bocznych drzwiach. Niestety, Davenport tak ją zaskoczył swoim zleceniem, że wysiadając przed hotelem, nie pomyślała o tym. Może nie będzie to miało żadnego znaczenia, odrzuciła wszelkie niepokoje.

- Trzeba się pospieszyć. Mogą mnie szukać - powiedziała niespodzianie pani Cooper.

- Kto taki? - zapytała bezmyślnie Jessica, choć oczywiście chodziło o pracowników Białego Domu, rzecznika prasowego i wreszcie męża.

- Tajniacy.

Prawda, że też o nich zapomniałam. Jessica uznała jednak, że gdyby tak naprawdę pani Cooper zależało na towarzystwie goryla, to przynajmniej jeden z nich by przy niej sterczał. Zresztą, sama też czułaby się lepiej w liczniejszej obstawie.

Zdenerwowanie Jessiki sięgało zenitu, do tego nagle uświadomiła sobie komizm całej tej sytuacji: oto w środku nocy, cichaczem wymyka się z hotelowego baru z będącą na skraju załamania nerwowego żoną prezydenta. Niby wszystko przebiegało zgodnie z życzeniem Davenporta, ale Jessica ponownie uznała, że takie eskapady są nie dla niej. I obiecała sobie, że już nigdy w życiu nie odbierze dzwoniącego w nocy telefonu.

Wreszcie znalazły się na ulicy. Chłodny i rześki wiaterek zdmuchnął Jessice włosy z twarzy. Cieszyła się, że opuściły już zatęchły bar, przy którym nawet zapach samochodowych spalin wydawał się przyjemniejszy. Stojąc przed hotelem, Jessica wciąż buntowała się na myśl o dwudziestoczterogodzinnej dyspozycyjności, jakiej oczekiwał Davenport. Wiedziała jednak, że bez tego nie będzie zarabiać tyle, ile obecnie. A jak powietrza potrzebowała stałej i dobrej pensji, bo miała rodzinę z piekła rodem.

Jej rozmyślania przerwało natarczywe pytanie pani Cooper:

- To gdzie jest ten samochód?

Rzeczywiście. Jessica była tak samo zaskoczona widokiem pustej ulicy jak jej podopieczna. Przecież jeszcze dziesięć minut temu wysiadała tu z auta i kazała kierowcy czekać w tym samym miejscu.

Bezradnie się rozejrzała. Pusto. Wiedziała jedno - nie mogą tu sterczeć w nieskończoność, gdyż hotelowy neon doskonale oświetlał chodnik, a wspomagały go podświetlone szyldy pobliskiego baru serwującego sushi, sklepu z alkoholem i apteki. No i reflektory przejeżdżających niezliczonych samochodów. W środku nocy ulica tak naprawdę była pełna ludzi. Jedni spacerowali, inni robili zakupy albo wchodzili do japońskiego baru. Do tego wszyscy rozmawiali ze sobą, przekrzykując uliczny szum. Właściwie to każdy z nich mógłby rozpoznać kobietę w czapce, a wtedy...

Słyszając męski głos tuż przy uchu, Jessica aż podskoczyła z wrażenia.

- Czy może sprowadzić taksówkę? - pytał ten sam odźwierny, któremu przed chwilą nie udało się wydebić napiwku od wchodzących do hotelu gości.

- Co? Co? Ach tak. Nie, dziękujemy. Poradzimy sobie - odpowiedziała natychmiast i obejmując za ramię, wbrew wszelkim zasadom, stojącą obok kobietę, ruszyła naprzód. Przede wszystkim chciała wyjść poza światła neonów. Z walącym sercem szukała wzrokiem samochodu, który powinien przecież gdzieś tu stać.

- Hura! Jest nasza zguba! - krzyknęła, dostrzegając nagle czarnego lincolna zaparkowanego zderzak w zderzak z innymi autami tuż przed pobliskim skrzyżowaniem. Kierowca zgodnie z poleceniem nie wyłączył silnika i stał z włączonymi światłami postojowymi.

-Jasna cholera! To Prescott! - rzuciła krótko pani Cooper. Wtuliła głowę w ramiona i natychmiast znalazła się po prawej stronie Jess, tuż przy ścianie mijanego budynku. Dodatkowo nieco się przygarbiła, aby zmylić przechodniów.

- Co za Prescott? - zapytała przyciszonym głosem Jessica, oglądając się do tyłu.

- Jeden z tajniaków.

- Aha. - Jess ożywiła się, mając nadzieję, że teraz oni przejmą opiekę nad prezydentową.

Tymczasem wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna w czarnym garniturze, białej koszuli i krawacie, o miłej aparycji i krótkich włosach rozmawiał z odźwiernym. Przynależność do tajnej policji zdradzało mówienie do podniesionego rękawa, w którym tajniacy mają zazwyczaj schowany mikrofon.

Oto i posiłki, na które czekałam, pomyślała Jessica.

- Co robisz, nieszczęsna?! - Pani Cooper szarpnęła podniesioną rękę Jess, która w ten sposób chciała przywołać Prescottta.

- Sama nie dam rady. Pani potrzebuje ochrony, a poza tym...

- Czego? - Pani Cooper parsknęła śmiechem, mocniej zaciskając dłoń na palcach Jess. - To raczej oprawcy więzienni, a nie ochrona. Czy ty doprawdy nie rozumiesz, że jestem ubezwłasnowolniona? - Prezydentowa wyrzuciła to z siebie podniesionym głosem, potem spojrzała w stronę hotelu i zarządziła: - A teraz szybko do auta!

Gdy tylko dopadły do samochodu, pani Cooper gestem powstrzymała krzepkiego kierowcę o rudych włosach, który chciał otworzyć jej drzwi. Sama sobie poradziła, szybko znikając w środku auta.

Wyraźnie zaskoczony mężczyzna natychmiast wrócił na miejsce kierowcy. Potem spojrzała w stronę Prescottta, który nagle zainteresował się samochodem.

Jessica nie wiedziała, co robić. Zdenerwowanie pani Cooper było dużo większe, niż mogło to wynikać ze zwykłej małżeńskiej sprzeczki, a do tego...

- Wsiadaj! - usłyszała.

Kierowca zajął już swoje miejsce.

Prescott wyraźnie uznał, że w samochodzie jest osoba, której szukał, pomachał więc ręką w kierunku Jess i ruszył naprzód.

- Ruszaj! - krzyknęła Cooper do rudzielca, podkreślając słowa mocnym klepnięciem w fotel.

Jessica nie miała czasu na rozmyślanie. Kierowca wrzucił już jedynekę, a Prescott biegł w ich stronę.

Odruchowo wskoczyła do środka i zatrzęsnęła za sobą drzwi. Auto ruszyło z piskiem opon.

Rozdział 2

Gęsty dym unosił się znad przewróconego samochodu. Po eksplozji opon płomienie ogarnęły sosnę, w którą uderzył wóz. Wokół kręcili się strażacy i nie żałując wody, czuwali, aby nie pojawiły się żadne inne źródła ognia. Kula ognia, która pojawiła się tuż po zderzeniu, widoczna była w promieniu wielu kilometrów. Jadący na miejsce wypadku tajniak, Mark Ryan, z dużej już odległości czuł zapach zwęglonego ludzkiego ciała. To nie było przyjemne.

Podobno w katastrofie czarnego lincolna, który stoczył się do wąwozu, zginęły trzy osoby. Policja nie podała jeszcze nazwisk ofiar, ale Mark już wiedział, że jedną z nich była Annette Cooper, żona prezydenta Stanów Zjednoczonych. Od razu przyszły mu na myśl tysiące sygnałów świadczących o takim lub innym zagrożeniu, a nawet groźby, które od jakiegoś czasu napływały. Pomyślał też o ryzykownych zagranicznych wojażach, podczas których wraz z kolegami towarzyszył prezydentowej, o rozentuzjasmowanych tłumach, krzyczących i machających do niej na trasach przejazdu. Przede wszystkim obawiano się szaleńców, takich zawsze najtrudniej rozpoznać w ludzkiej masie i przeciwko takim najtrudniej działać. W codziennej pracy pomagały psy przeszkolone w wykrywaniu materiałów wybuchowych, opancerzone samochody, setki policjantów i wojskowych rozmieszczonych podczas przejazdów

na dachach i ulicach. Na tym polegała praca niezawodnej, tajnej policji Stanów Zjednoczonych, zawsze towarzyszącej podczas wyjazdów rodzinie prezydenckiej.

I mimo takich środków ostrożności Annette Cooper zginęła w wypadku samochodowym.

Około pierwszej trzydzieści w niedzielną noc, czyli mniej więcej godzinę po wypadku, pierwsze agencje informowały o jej śmierci.

Za to, co się stało, odpowiedzialny był Mark Ryan, agent oddelegowany do pilnowania prezydentowej. A wszystko rozegrało się niemal na jego oczach. Poczł nagły nieprzyjemny ucisk w brzuchu i krtani. Zupełnie jakby czyjaś dłoń bezlitośnie zaciskała się na jego gardle. Do tego ze zdenerwowania pocił się jak mysz, chociaż noc była całkiem zimna.

Ryan nie mógł pojąć, jak doszło do wypadku.

- Stać! Tu nie wolno wchodzić!

Pilnujący terenu żołnierz wyraźnie się zagapił i Ryan dotarł niemal na samo dno wąwozu. Jakieś trzydzieści metrów dalej ustawiono już lampy, które wyjątkowo ostrym światłem oświetlały wrak.

Niżej, nieco po lewej, chwiały się na wietrze sosny, za nimi dostrzegł połyskliwą nitkę wartko płynącego strumienia, wezbranego po ostatnich opadach. Wszędzie snuła się mgła. Na pobliskiej drodze znów pojawiły się światła. To przybywały kolejne ekipy telewizyjne, natychmiast ustawiające niezbędne do ich pracy lampy.

Mark dotarł do taśmy wyznaczającej linię, za którą nie przepuszczano reporterów. Sięgnął do kieszeni, błysnął złotą odznaką i wyminął żołnierza. Drugą linię, wyznaczoną bezpośrednio przy wraku, tworzyli pracownicy Federalnego Biura Dochodzeniowego. Ich nawoływania do krótkofalówek przebijały nawet hałas wiszących w powietrzu helikopterów oraz trzaski, poskrzypywania i świsty, jakie

wydawały stygnący wrak i piana gaśnicza. Na miejscu pracowali już lekarze sądowi ubrani w charakterystyczne pomarańczowe skafandry. Mark, bacznie się rozglądając, pokonywał zarośla. Przyglądał się pościnanym krzakom i drzewkom, znaczącym trasę spadającego z blisko dwu-nastometrowego nasypu samochodu.

Mark Ryan czuł się całkowicie bezradny - wściekłość i wzburzenie mieszały się z niedowierzaniem. Podskoczyła mu adrenalina, ale za późno było już na jakiegokolwiek działanie.

Dlaczego prezydentowa opuściła rezydencję? I dokąd jechała tym cholernym samochodem? Na próżno łamał sobie głowę.

Dwaj mężczyźni z noszami wspinali się po stoku w kierunku stojącej na drodze karetki pogotowia. Ani ta najbliższa, ani pięć stojących trochę dalej nie miały włączonych syren, wyłącznie światła ostrzegawcze. Ryan nie wiedział, czyje zwłoki znajdą się za chwilę w karetce, ale na pewno nie było to ciało pani Cooper. Ją zabrał pierwszy helikopter medyczny, jaki zjawił się tu zaraz po wypadku. Ponoć ze względu na rozległe poparzenia ciało było trudne do identyfikacji. Mimo wszystko Ryan musiał tu przyjechać i na własne oczy wszystko zobaczyć.

Co tu się stało, co się stało, powtarzał w myślach w nie- / skończoność.

Wiadomość o wypadku zastała Ryana za kółkiem. Dwie i pół godziny wcześniej, około jedenastej w nocy, był jeszcze w Białym Domu. Tuż przed jego wyjściem Annette Cooper zrezygnowała z udziału w kolacji wydawanej na cześć prezydenta Chile i wymawiając się bólem głowy, pojechała windą na prywatne piętro. Na własne oczy widział, jak ubrana w białą wieczorową suknię znika w windzie. Podeszedł nawet wtedy do stojącego tam Willa Prescottta i chwilę z nim pogadał. Później zszedł do piwnicy, gdzie

mieścił się punkt dowodzenia, i tam porozmawiał z kolegami, bacznie przyglądającymi się monitorom pokazującym pokoje i korytarze, które nie należały jednak do prywatnej części budynku. Ponieważ Ryan kończył pracę, podszedł do specjalnej tablicy, na której wisiały fotografie wszystkich pracowników, odszukał swoją i przycisnął umieszczony obok niej przycisk. To oznaczało, że jest już wolny. Na koniec spojrział jeszcze na lokalizator pokazujący, gdzie znajduje się w danym momencie każdy członek prezydenckiej rodziny. Okazało się, że w budynku była tylko Annette Cooper, a dokładniej - w swojej sypialni.

Pomyślał wtedy, że wszystko jest OK.

A teraz stał w miejscu katastrofy.

Co tu się wydarzyło?

- A pan co tu... ach, to ty Mark! - zreflektował się Ted Parks z Federalnego Biura Dochodzeniowego. Znali się dobre dwanaście lat, lecz pewnie przez połowę tego czasu Ryan wcale nie darzył Parksa sympatią.

Był to czterdziestolatek - cztery lata starszy od Ryana - średniego wzrostu, solidnej budowy, łysy jak kolano. Stał teraz z rękami w kieszeniach i ponuro przyglądał się wrakowi, a jego twarz widoczna w światłach karetek miała złowrogi wyraz. Cóż, Annette Cooper cieszyła się sporą popularnością, pewnie dlatego, że ludzie nie znali jej prawdziwego oblicza.

- To się, kurwa jego mać, w pale nie mieści! - zaklął Parks na koniec.

Ryan zignorował wybuch kolegi i podszedł do samochodu. W powietrzu unosił się zapach piany gaśniczej, który nie zagłuszył jednak smrodu spalenizny.

- Stary! Przykro mi z powodu Prescottta - krzyknął jeszcze Ted.

Ryana aż ścisnęło w dołku. To, co przed chwilą usłyszał, potwierdzało jego podejrzenia - feralnym samochodem

jechał jego kolega i podwładny, Will Prescott. Ostatni raz widzieli się wtedy przy windzie. Mark kończył, a Will zaczynał nudną, ośmiogodzinną zmianę. Ich praca zwykle składała się z wielogodzinnych rutynowych zajęć, przerywanych krótkimi chwilami napięcia. I oby tych ostatnich było jak najmniej, pomyślał Ryan.

Wyglądało na to, że Prescott jechał gdzieś nieznanym samochodem z panią Cooper. Coś się w takim razie musiało stać już po wyjściu Marka, w czasie gdy po późnym obiedzie w postaci kanapek kupionych w McDonalddie dla zmotoryzowanych jechał do domu.

Trzecią ofiarą okazał się zawodowy kierowca, którego nazwiska Ryan nie pamiętał. Jak na razie jasne było jedno - to, że facet ten absolutnie nie powinien siedzieć za kółkiem samochodu, którym jechała prezydentowa. Od tego są przecież rządowe samochody, przeszkoleni kierowcy i tajniacy, którzy mogli zawieźć panią Cooper w każde miejsce. Ta kobieta nie miała prawa wsiąść do innego wozu.

- Proszę się zatrzymać! Dalej nie wolno! - Kolejny żołnierz stanął przed Ryanem.

Od wraku dzieliła go jedynie policyjna taśma. Teraz, po wywiezieniu ostatniego ciała, grupa dochodzeniowa była skupiona na badaniu pojazdu. Mark zatrzymał się. Nie musiał podchodzić bliżej. I z tej odległości czuł ciepło spalonego samochodu. W miejscu, w którym stał, nie było już większych zarośli, a jedynie niska, spalona na węgiel zeszłoroczna trawa.

- A oto i zasrane hieny - rzucił Jim Smolski z Federalnego Biura Dochodzeniowego, podchodząc do Ryana. Miał na myśli zbierających się na wzgórzu przedstawicieli wolnej prasy. Zaniepokojony Mark spojrział w górę. Kamerzyści, przepychając się z żołnierzami, filmowali miejsce wypadku.

Mundurowi starali się zepchnąć dziennikarzy z powrotem

na drogę, gdzie porządku pilnowali już policjanci, ale kilka stacji telewizyjnych zdążyło się już ustawić. Mark nawet z tej odległości widział oznaczenia poszczególnych kanałów wymalowane na zaparkowanych samochodach. Słyszał też przekrzykujących się reporterów, usiłujących wydobyć od kogokolwiek informacje, czy prezydentowa zmarła od razu, kto towarzyszył jej w samochodzie, dokąd jechali, gdzie jest David, co było przyczyną wypadku, kto prowadził i jak się w tej chwili czuje prezydent.

Na szczęście to nie do niego kierowano pytania, nie musiał się więc tym przejmować. Skupił się na śladach, jakie pozostawił staczający się ze zbocza samochód. Znalazł kołpak z koła, fragmenty rozbitego tylnego światła, jeden but...

Nagle coś błysnęło w trawie.

- Ktoś za to nieźle beknie - zagadał do niego Smolski. - Jak to dobrze, że zatrudniłem się gdzie indziej. Ryana znów ścisnęło w brzuchu.

Wypadek zdarzył się na zmianie moich ludzi.

- Podobno rzuciłeś palenie? - odpowiedział, wciąż wpatrując się w miejsce, gdzie w nietkniętej pożarem trawie dostrzegł przed chwilą świecący punkt. Badał teren w jednej trzeciej wysokości zbocza, oddalony jakieś sześć metrów na prawo od toru, którym spadał samochód.

- Rzuciłem. A teraz przyzwyczajam się na nowo.

- Jak tak dalej pójdzie, to może i ja zacznę.

Powoli wspinał się na zbocze, nie odrywając wzroku od tego miejsca. Hałas helikopterów unoszących się nad ich głowami wzmógł się. Z pokładów maszyn wystrzeliwały w dół jasne światła, przypominające laserowe wiązki mieczy rycerzy Jedi. Nagle jeden z pilotów postanowił zaryzykować i zejść jeszcze niżej. Powietrze wokół Marka zatańczyło. Spojrzał w górę i rozpoznał logo stacji NBC. To naprawdę hieny.

Jednak z drugiej strony, gdyby nie te ich światła, pewnie nie zauważyłby świecącego przedmiotu. Posuwając się powoli do przodu, wciąż patrzył w to jedno miejsce, porośnięte jakąś wiecznie zieloną, sięgającą pasa roślinnością. Gnące się w podmuchach wiatru gałązki krzaków przypominały owłosione macki stwora. Z połamanych drzew unosił się zapach sosnowej żywicy, który przypomniał Ryanowi prezent, jaki dostał od piętnastoletniej już córki, Taylor - samochodowy odświeżacz powietrza w kształcie choinki. Dała mu go, ponieważ wypalał wtedy paczkę papierosów dziennie. Chyba się zestarzałem, że z takim rozrzewnieniem wspominam prezenty od córki, pomyślał. Niestety, poszukiwania nie przynosiły rezultatu. Trzeba będzie pewnie poczekać na dzienne światło. Na razie starał się zapamiętać dokładnie miejsce. Nagle, kiedy wsunął dłoń pomiędzy kłujące gałązki, wyczuł jakąś nierówną powierzchnię. Sądził, że była to wieczorowa torebka prezydentowej. Ta sama, którą miała w ręku, wsiadając do windy. Myślałem wtedy, że wszystko jest w porządku, a jednak się pomyliłem, wyrzucił sobie. Po chwili udało mu się chwycić migoczący przedmiot, którym rzeczywiście okazała się lśniąca wieczorowa torebka. Zrobiło mu się niedobrze - oto dotykał czegoś, co należało do człowieka, chwilę temu jeszcze żyjącego. Miał jednak niezaprzeczalny dowód, że Annette Cooper zginęła. Technicy pracujący przy wraku robili setki zdjęć, mierzyli dystans, jaki przebył spadający do wąwozu samochód, kładli się na ziemi i zaglądali do środka. Trzymał migoczącą kryształkami torebkę i już chciał zawołać któregoś z techników, lecz nagle się rozmyślił. Miał wielką ochotę sam ją otworzyć. W środku znalazł trochę kosmetyków, pędzelek do pudru, kilka związanych

gumką kart kredytowych i sporo gotówki. Po co jednak były prezydentowej karty i pieniądze, skoro nigdy sama za siebie nie płaciła? Znalazł też małą brązową buteleczkę z aspartamem, którego pani Cooper używała zamiast cukru. Przyjrzał się jednej z pigułek i zaskoczony stwierdził, że to nie słodzik, tylko środek przeciwbólowy. Wysypał na dłoń całą zawartość opakowania i okazało się, że w buteleczce było kilka różnych specyfików: vicodin, percocet i modny ostatnio, choć niebezpieczny dla zdrowia oxycon-tin. A bez tego ostatniego Annette Cooper nie mogła się obyć. Mark bez namysłu schował lekarstwa do kieszeni; nie na darmo mottem jego służby było: „Służyć i chronić”. Nie może pozwolić na to, by po śmierci prezydentowej roztrząsano jej uzależnienia.

- Halo! Panowie! - krzyknął w stronę mężczyzn badających wrak.

Technicy spojrzeli w jego stronę, jednak oślepiały ich reflektory samochodów. Mark ruszył w dół zbocza, chcąc oddać im torebkę, gdy nagle usłyszał dochodzący z lewej strony jęk. Zatrzymał się i spojrzał w bok.

Za pobliskim krzakiem ktoś leżał na ziemi. W ciemności widział jedynie zarys ludzkiej postaci...

Ostrożnie zbliżył się i zobaczył młodą kobietę, która musiała wypaść ze spadającego auta wprost w krzaki.

Rozdział 3

„Proszę się nie ruszać. Zaraz będą tu lekarze”. Jess nie wiedziała, czy to jawa, czy sen. Była w przedziwnym stanie. Wokół panowała grobowa ciemność. W jej głowie nadal rozlegały się przeraźliwe krzyki, ból paraliżował ciało, przed oczami wybuchał ogień. Zanim zemdląca, poczuła czyjeś palce na szyi i policzku.

„Na pomoc! Tu jest ranna kobieta!”, gdzieś nad sobą usłyszała stanowczy męski głos. Ktoś kazał jej leżeć bez ruchu.

I tak nie mogła się poruszać. Mogła tylko oddychać. Na nic więcej nie miała siły. Kiedy odzyskała przytomność, zdała sobie sprawę z tego, że obok, pochylając się nad nią, klęczy jakiś mężczyzna. Otworzyła oczy i dostrzegła gwiazdy migoczące na nocnym niebie. Pomyślała, że jednak żyje. Nieznajomy był zbyt blisko, jego obecność wywołała strach. Serce Jess zabiło mocniej. Łapczywie nabrała powietrza w płuca i nagle poczuła nieprzyjemny, ostry zapach spalenizny. Drgnęła.

- Pospieszcie się! - wrzeszczał Mark.

- Ciii... - Delikatnie chwyciła go za nogawkę spodni. Sądziła, że mówi normalnym, donośnym głosem, tymczasem wydobyła z siebie ledwie słyszalny szept. Była mocno poturbowana, a do tego było jej bardzo, ale to bardzo zimno.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniał Mark, wstając
Dłoń Jess bezwładnie opadła na trawę. Zdumiona stwierdziła, że obcy nie miał wrogich zamiarów i z pewnością nie jest jedną z prześladowających ją zjaw. Tak, tego była pewna. Mogła się czuć bezpiecznie. Jeszcze raz spróbowała pociągnąć nieznanego za nogawkę. Za wszelką cenę chciała go zatrzymać. „Miała pani wypadek”, znów usłyszała głos obcego i natychmiast w jej głowie ożył pisk opon. Samochód staczał się w przepaść. Dlaczego samochód, zastanawiała się Jess. Zdażyła jeszcze pomyśleć o towarzyszach podróży, a potem już opanowały ją drgawki. „Szybciej! Do jasnej cholery! Szybciej!”. Nieznajomy już nie krzyczał, tylko wrzeszczał na całe gardło. Jess powróciła do rzeczywistości. Stanowczość obcego znów ją przeraziła. Skuliła się instynktownie. Wrzasku mężczyzny nie zagłuszyły ani helikopter, ani krzyki osób, które nagle się pojawiły, ani brzęk metalu, ani pracujące silniki. Odzyskując świadomość, Jess boleśnie przyjmowała panujący wokół harmider. Z drugiej strony ludzie, których wzywał mężczyzna, na pewno ją znajdą, przecież nie może się nigdzie ukryć. Kim byli, zastanawiała się, a jej puls niebezpiecznie przyspieszył. Wpadła w panikę, chciała uciekać, jak najdalej...
Niestety, leżała bezwładna na mokrej i kłującej trawie. Coś twardego, pewnie kamień, boleśnie uwierało ją w biodro. Do tego wylądowała na stoku głową w dół. Może uda się zebrać siły, przecież wystarczy, że wstanę, tłumaczyła sobie.
I spróbowała. Za wszelką cenę chciała zniknąć w ciemnościach, gdzie będzie bezpieczna. Zaraz jednak pożałowała

decyzji. Przy pierwszej próbie paralizujący ból przeszył jej ciało. Gdyby mogła, wrzasnęłaby na całe gardło. Wszystko bolało. Teraz już wiedziała, że nie może się poruszyć, że nigdzie nie zniknie. To pogłębiło uczucie zagrożenia.

Ostrożnie sprawdziła. Mogła jedynie poruszać głową i ramionami. A i to z ogromnym trudem. Ponownie zebrała wszystkie siły i przesunęła się. O parę centymetrów. Więcej nie dała rady. Znalazła się w pułapce niemocy. Paralizujący strach uniemożliwiał logiczne myślenie, do tego z każdą chwilą nasilał się ból żeber, nóg i głowy. Powoli docierało do niej, że nigdzie stąd nie pójdzie. A może jednak umarłam, kołatało się jej po głowie.

Powoli wracała pamięć. Jess uświadomiła sobie, że brała udział w wypadku drogowym, że samochód, którym podróżowała w środku nocy, koziołkując, stoczył się ze skarpy na dno jakiegoś wąwozu. W jej głowie znowu wybuchły krzyki paru osób. Przerażające sceny. Sama też wrzeszczała. Na całe gardło. A co z innymi?

Chcąc poznać odpowiedź, znów chwyciła za nogawkę klęczącego obok mężczyzny. Próbowiła sformułować proste pytanie, nieznajomy jednak nie odpowiadał. Pewnie bełkotała albo niczego nie usłyszał. Nie ponawiała próby. Zadowolili się tym, że czuje w palcach coś konkretnego, co stanowiło jedyny świadomy kontakt z rzeczywistością.

„Jeszcze chwilka. Proszę się nie ruszać”, usłyszała ponownie. Nieznajomy musiał poczuć pociągnięcie za nogawkę, bo nieoczekiwanie ujął rękę Jess i niezdarnie ją poklepywał. Miała teraz pewność, że nic jej nie grozi. Gdyby chciał ją skrzywdzić, już dawno by to zrobił. Nieco uspokojona zacisnęła palce na jego dłoni. Jakie były silne.

- Niech mnie pan nie zostawia samej - próbowała mówić, pokonując ból zachrypniętego gardła. -
Oni...

oni mogą... - I tylko to zdołała powiedzieć. Nie tylko nie dokończyła myśli, ale nie byłaby też w stanie określić, o kogo jej chodziło. Pamięć podsuwała obrazy palących się ludzi...

- Nie zrozumiałem - powiedział Ryan, nachylając się nad ranną. - Jak się pani nazywa? Czy jechała pani razem z prezydentową?

Jess od razu skojarzyła, o kogo chodzi. W chwilę później usłyszała wokół siebie zamieszanie. Ktoś przedzierał się przez zarośla. Zbliżali się kolejni obcy.

- Pomocy... - szepnęła wystraszona Jess.

„Tutaj!”, usłyszała znajomego-nieznajomego, który jeszcze raz uściskał jej dłoń na pocieszenie i wstał. Pomyślała, że póki klęczał, nikt nie wiedział, gdzie są. Teraz jednak stało się, już ją mieli. Panika znów wzięła górę.

- Wreszcie was znaleźliśmy - rzucił ktoś.

- Zaraz będą tu ratownicy - powiedział Ryan, znów przyklękając obok rannej.

Jess powinna czuć ulgę, uznała bowiem, że nieznajomy rzeczywiście wrzeszczał, aby sprowadzić pomoc, za nic nie mogła się jednak uspokoić i pozbyć podejrzeń.

Wyraźnie słyszała już kroki nadchodzących i szelest roślin, przez które się przedzierali. Od chwili gdy snop światła wyłuskał ją z ciemności, Jess była przekonana, że grozi jej niebezpieczeństwo. Leżąc na ziemi, czuła się jak schwyte w potrzask zwierzę, czujące, że koniec jest bliski. Już nie osłaniała jej wysoka trawa. Serce znów przyspieszyło. Mocniej zacisnęła palce na dłoni mężczyzny, który ją odnalazł, a teraz na nią patrzył. Padające z góry światło sprawiło, że mogła lepiej mu się przyjrzeć.

Niestety, bez szkieł kontaktowych, które zapewne zgubiła, nie widziała zbyt dobrze, a do tego nieznajomy pozostawał w smudze cienia. Mimo wszystko dostrzegła, że jest to wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna o szerokiej klatce piersiowej

i ramionach, mocnym karku i krótko przyciętych włosach. Ale elegancka biała koszula, czarny garnitur i brak krawata zdradzały, że jest jednym z nich...

Zawiedziona westchnęła głęboko, co wywołało ból w klatce piersiowej. Natychmiast puściła dłoń nieznajomego.

W tej samej chwili usłyszała głos ratownika. Zatem są tu jacyś nowi ludzie, pomyślała i uczepliła się tego jak koła ratunkowego. Teraz nie bała się już rozpoznania. Uznała bowiem, że w obecności przybyłych jej dotychczasowy opiekun nic nie będzie mógł jej zrobić. Dlaczego jednak czuła się zagrożona?

- Ranna jest przytomna. Pewnie wyrzuciło ją z samochodu podczas staczania się po zboczu - poinformował Ryan przybyłych, potem odsunął się, robiąc miejsce ekipie medycznej.

- Jak się pani czuje? Jak się pani nazywa? - Mężczyzna pochylił się, wziął ją za rękę i sprawdzał puls.

- Jessica, Jessica Ford - odpowiedziała, mrużąc oczy przed światłem.

- Rozumiem. A teraz zajmujemy się panią.

- Najpierw założymy kołnierz - powiedział inny głos.

Jess się odprężyła. Nie nasłuchiwała już w napięciu dochodzących zewsząd dźwięków, opanowała też beładne myśli. Skoncentrowała się za to na walce z nadchodzącymi falami bólu. Zdawała sobie sprawę, że jest w kiepskim stanie, i nic na to nie mogła poradzić. Krzątało się przy niej dwóch chyba ratowników, a mężczyzna, który ją znalazł, stał z boku i tylko czasami padał na niego snop światła.

Gdy położono ją na nosze, usłyszała głos nieznajomego: „Tylko trzymajcie ranną z dala od prasy”. A więc mężczyzna, którego się obawiała, wciąż był tutaj. Miała pewność, że to jeden z nich. Bała się, a jednak nie mogła sprecyzować swoich obaw.

Przecież nic złego jej nie zrobił, już był moment, że przezwyciężyła strach, więc co? Następne, co rozpoznała, to dopiero wnętrze karetki i ukłucie igły kroplówki, do której została podłączona. W żaden sposób nie mogła sobie przypomnieć, jak się tu znalazła, uznała więc, że zemdląca w drodze do ambulansu.

Musiała się pogodzić z tym, że „oni” wiedzą już, gdzie jest i jak się nazywa. Nie mogła też ignorować stanu swojego zdrowia i braku możliwości poruszania się o własnych siłach. Koniec, klamka zapadła. Chyba że...

- Zadzwońcie do mojego szefa - wymamrotała do sanitariusza, nic więcej jednak nie była w stanie powiedzieć. Zaczynały działać środki uspokajające.

Ratownik nie usłyszał jej słabiutkiego głosu, więc walcząc z ogarniającym ją snem, głośniejszym powtórzyła żądanie. Tym razem mężczyzna spojrzawszy na Jess pytająco, więc podała nazwisko „John Davenport” i poprosiła też o powiadomienie matki.

- Numery telefonów są w mojej komórce.

Była pewna, że telefon wciąż tkwi w kieszeni zakietu; gdy leżała na noszach, wyraźnie ją uwierał. Niestety, rozcięty zakiet leżał teraz zwinięty obok, więc Jessica ostrożnie wskazała wzrokiem w tamtym kierunku. Dokładniej mówiąc, usiłowała wskazać, ale leki skutecznie już pozbawiły ją władzy nad ciałem. W ostatnim porywie świadomości uzmysłowiła sobie, że zasypia i nic już nie może zrobić...

W rzeczywistości i tak nie miała wpływu na to, co się z nią działo. Odpływając w ciemność, znów przeniosła się do pędzącego samochodu, i to w chwili, gdy auto wypadło z drogi, a ona i pasażerowie krzyczeli z przerażenia.

Rozdział 4

Mark postanowił wrócić do Białego Domu. Wokół panowały jeszcze ciemności, ale już wyobrażał sobie, co będzie się działo rano, gdy tylko informacja o śmierci Annette Cooper zostanie się do mediów. I zupełnie nie miało znaczenia to, czy reporterzy uruchomią swoje oficjalne, czy nieoficjalne źródła.

Mark już z daleka zobaczył stojące przed prezydencką rezydencją niezliczone jaskrawo palące się reflektory i rozstawione wozy ekip telewizyjnych. Widać je było zapewne nawet z Międzynarodowej Stacji Kosmicznej. W północnej bramie pozdrowił go blady jak płótno strażnik. Mark zaparkował samochód i poszedł prosto do punktu dowodzenia. Aby wejść do środka, należało wprowadzić do zamka sześciocyfrowy kod, Mark nie zdążył jednak tego zrąbie, ponieważ ktoś z impetem otworzył drzwi od środka.

Był to Harris Lowell, szef gabinetu prezydenta, który na widok podwładnego dosłownie się wściekł. Ten krępy pięćdziesięciopięciolatek o rumianej twarzy, starannie za-czesujący resztki rudych włosów z jednej strony łysiejącej głowy na drugą i patrzący na świat łagodnymi zazwyczaj niebieskimi, wyłupiastymi oczami, przypominał teraz spuszczonego ze smyczy psa. Dodajmy - w doskonale skrojonym garniturze.

- Może ty wiesz, co się tam, do cholery, stało?
- Niestety, nie.
- Szkoda, bo płacą ci za to, abyś wszystko wiedział.
- Myślę, że ktoś czegoś nie dopilnował.
- Co ty nie powiesz!

Mark zajrzał do środka i ze zdumieniem stwierdził, że kłębi się tam już tłum ludzi. A przecież dopiero minęła druga w nocy. Oprócz wszystkich, którzy pracowali akurat na tej zmianie, dostrzegł pozostałych - widać dotarli do nich już najnowsze informacje. Na monitorach, które przekazywały obrazy z kamer zamontowanych w całym budynku, można było dostrzec niespotykany w środku nocy ruch. Jedni chodzili bez celu po pokojach, inni gdzieś biegali, a wszyscy byli przerażeni i zdenerwowani. W punkcie dowodzenia panowała cisza.

- Prezydent chce z tobą porozmawiać - rzucił jeszcze Lowell. Mijając Ryana, celowo go potrącił.
- Dzisiaj i tak nie będę mógł mu niczego wyjaśnić - odpowiedział Mark, przytrzymując zamykające się drzwi.
- To sobie lepiej palnij w łeb.

Lowell odbił piłeczkę, ale od razu chyba zrozumiał, że posunął się za daleko. Wściekłość malująca się na jego twarzy nagle gdzieś zniknęła. Wyglądało na to, że informacja o śmierci Annette Cooper powoli docierała do jego świadomości.

Zabawne, jak szybko w ludziach zachodzą zmiany, pomyślał Mark i zwrócił się do Lowella:

- Muszę mieć chwilę dla siebie.
- Wciąż jeszcze czuł mdłości. Po drodze dwa razy się zatrzymywał i wyskakiwał na pobocze, teraz jednak musiał się wziąć w garść, bo miał jeszcze sporo do zrobienia.
- Masz sześćdziesiąt sekund. - Lowell niezbyt chętnie się na to zgodził.

Mark przyjął to jednak za dobry znak. Wszedł do środka, zamykając za sobą drzwi. W punkcie dowodzenia nie było okien, a ściany wzmocniono stalowymi płytami. Na stołach stały najnowocześniejsze komputery i niezliczone monitory, a w ścianach zamontowane były sejfy, w których przechowywano broń. Rozchodzący się mocny zapach kawy wywołał u Marka nawrót mdłości.

- Czy to prawda, że Prescott nie żyje? - zapytał ktoś siedzący w głębi pomieszczenia.

Mark spojrział w tamtą stronę i rozpoznał Susan Wendell, atrakcyjną blondynkę po trzydziestce, sympatię Prescottta, przytaknął. Nie chciał jej zwodzić. Susan zbladła, zacisnęła zęby i nerwowo przełknęła ślinę. Żadnych więcej emocji. Mam dobrze wyszkolonych ludzi, pomyślał Ryan i przywołał ich do siebie. Byli wszyscy, cała siódemka: Wendell, Paul Fielding, Steve Matthews, Michael Varney, Spencer Hagan, Janelle Tandy i Phil Janke. Wczoraj, gdy kończył zmianę, w pracy pozostali: Prescott, Wendell, Fielding i Matthews, inni przyjechali więc nocą z własnej woli.

- Czy ktoś może wie, dlaczego w tym samochodzie byli prezydentowa i Prescott? - zapytał spokojnym, ściszonego tonem, nie chcąc publicznie prać brudów. Zależało mu przede wszystkim na wyjaśnieniu sprawy. Spodziewał się wywalenia z roboty, ale przynajmniej chciał osłonić swoich ludzi.

Milczeli. Jedni patrzyli w podłogę, inni przecząco kręcili głowami. Napięcie nie spadło ani na jotę.

- Gdy Prescott połączył się z nami, wiedzieliśmy, że coś jest nie tak - zaczęła wreszcie Wendell. - Poinformował, że pilnował prezydenta we j, która wyszła do ogrodu na spacer ze swoim spanielem, i nagle zgubił ją z oczu. Trochę się przestraszył, ale przecież wiedzieliśmy, że nikt jej stąd nie mógł porwać. Bez wszczynania alarmu wyszliśmy

na zewnątrz i szukaliśmy jej na własną rękę. A potem poinformowano nas o... - głos Susan załamał się - o wypadku i dopiero wtedy odwołaliśmy poszukiwania, ale i tak było za późno.

Mark zdenerwował się, ale nie chciał obwiniać swoich ludzi. Uznał, że przede wszystkim sam jest temu winny.

- Muszę poznać wszystkie szczegóły. Trzeba dokładnie ustalić, kto nawalił - oznajmił i skinął na Fieldinga.

Trzydziestodwuletni Paul Fielding, któremu Mark wierzył bez zastrzeżeń, był jak wszyscy członkowie grupy doskonale wysportowany. Miał sto osiemdziesiąt osiem centymetrów wzrostu, puciołowatą twarz, jasnoniebieskie oczy i całkiem łysą głowę. Przypominał Markowi Buddę, ponieważ w każdej sytuacji potrafił zachować spokój i opanowanie. Ot, taki biały Budda w tajnej policji. Teraz jednak, pomimo pracującej klimatyzacji, Fielding czuł spływający po plecach pot. Mark Ryan dobrze znał to uczucie. Mark i Paul znali się jeszcze ze szkoły policyjnej, przyjaźnili się, lecz kariera Marka potoczyła się lepiej i szybciej. Po prostu, bardziej przykładał się do tego, co robił, i bez reszty poświęcił się pracy.

Fielding nie popełnił tego błędu. Założył rodzinę, miał kochającą żonę i dzieci.

- Teraz muszę już iść, ale przygotuj zapisy z kamer, począwszy od dwudziestej drugiej. Po powrocie przejrzę wszystko - polecił Paulowi. W tym momencie rozległo się uderzenie z zewnątrz w opancerzone drzwi, podnosząc mu poziom adrenaliny we krwi. - Nie chodzi o nagrania tylko z panią Cooper, ale o wszystkie. Chcę mieć zapisy z kamer wokół budynku. Muszę wiedzieć, kto wchodził i wychodził, kto był przed windą, a nawet kto tam wczoraj kichnął. Do tego nagrania z ogrodu i ze wszystkich bram wjazdowych. Trzeba zidentyfikować każdego, jasne?

Trzeba ustalić, kiedy i jak zniknęła prezydentowa oraz czy miała pomocników. Chcę też wiedzieć, co robiła w tym cholernym samochodzie.

- Zrobi się - zapewnił Fielding.

- Zdajecie chyba sobie sprawę z tego, że nieźle podpadliśmy. Zabierajcie się więc do roboty.

Mark Ryan wiedział, że w tej sprawie chodzi nie tylko o jego ludzi, ale o reputację całej tajnej policji.

Jakkolwiek by na to patrzeć, to oni zawinili.

Mając nakreślony plan działania, Ryan aż palił się do roboty. Wiedział, że nie może zawieść.

Jeszcze mocniejsze rąbnięcie w drzwi. Oczywiście Lowell.

A żebyś tak jutra nie dożył, palancie, pomyślał Mark. - I jeszcze jedno. Chcę wiedzieć wszystko o niejakej Jessica Ford.

Mark przypomniał sobie leżącą na ziemi, skuloną, zakrwawioną kobietę. Ciekawe, czy przeżyłaby, gdyby jej nie znalazł, i czy знаła prezydentową, i dlaczego znalazła się w tym cholernym aucie. Ryan musiał się spieszyć z rozwiązaniem zagadki, inaczej ubiegna go pismaki. Wołał pierwszy poznać odpowiedź na wszystkie te pytania.

- Czy to ona przeżyła wypadek? - jak zawsze pierwsza wyrwała się Wendell, nie dając po sobie poznać osobistej straty.

- Skąd wiesz, że przeżyła? - zdziwił się Ryan.

- CNN podaje, że w samochodzie były cztery osoby i tylko jedna przeżyła.

Ryan pomyślał, że nie powinien się dziwić. Przecież na własne oczy widział ekipy telewizyjne zarówno w wąwozie, jak i przed Białym Domem. Powinien więc zdawać sobie sprawę z tego, że dziennikarze wywloką na światło dzienne każdy szczegół, na który tylko trafią.

To proste stwierdzenie okazało się prawdziwym olśnieniem - bezlitosne media z pewnością będą dniami i nocami mieć temat wypadku, a dyskusja może trwać miesiącami. Na światło dzienne wyjdą wszystkie szczegóły z życia Annette Cooper, na sekundy zostaną rozpisane szczegóły jej śmierci. Mark wątpił, czy cokolwiek uda się zachować w tajemnicy, choć nie miałby nic przeciwko temu.

- Zgadza się. To ona. I najdalej za kwadrans muszę wiedzieć, kim jest i co robiła w jednym samochodzie z żoną prezydenta.

- Zajmę się tym - zapewniła Wendell.

- Uwaga! Nakazuję zachowanie dla siebie wszystkiego, o czym się dowiecie. I nie żartuję - oznajmił, zwalniając ludzi. Rozeszli się do własnych zajęć.

Otworzył drzwi akurat w chwili, gdy stojący za nimi z podniesioną pięścią Lowell szykował się do kolejnego uderzenia. W korytarzu za nim kręciło się mnóstwo ludzi. Kolejni zainteresowani szli do punktu dowodzenia; dostrzegł wśród nich tajniaków, lekarzy, pracowników Federalnego Biura Dochodzeniowego, osoby sprzątające rezydencję i jakichś ludzi w mundurach. Jedni popłakiwali, inni smucili się, a wszyscy jeszcze nie do końca wierzyli w to, że naprawdę zdarzył się wypadek.

Ryan złapał się na tym, że chwilami sam wątpił w to, co przecież widział na własne oczy. Musiał się jednak natychmiast otrząsnąć.

- Masz chyba świadomość tego, że sprawę trzeba całkowicie wyjaśnić - uprzedził go w windzie Lowell. - Prezydent chce dokładnie wiedzieć, co wczoraj robili twoi ludzie.

- Wszystko wyjaśnię.

W odpowiedzi Lowell jedynie chrząknął. Zapadła cisza. Ryan zerknął na swoje odbicie w lustrze - wyglądał fatalnie. Był spocony, policzki ocieniał mu już lekki zarost,

a garnitur, ciągle ten sam, w którym był wczoraj w pracy, był wyraźnie pomięty; kiedy odebrał telefon o wypadku, wybiegł z domu tak jak stał, w brudnej koszuli i bez krawata. W efekcie był teraz niewłaściwie ubrany, ale nic już nie mógł z tym zrobić. Zresztą, nie miało to teraz chyba najmniejszego znaczenia.

Miał na głowie dużo większe problemy niż nieodpowiedni strój.

Winda zatrzymała się, drzwi się otworzyły. Otoczyła ich absolutna cisza. W korytarzu, w ogromnym kryształowym wazonie stały świeże róże, a ich zapach przywołał wspomnienie domu pogrzebowego. Mark odegnał ponure myśli. Weszli do przedpokoju, minęli podwójne drzwi i znaleźli się w umeblowanym ze smakiem holu, gdzie przywitał ich pełniący dyżur Price Ferris.

Było tu tłoczno. Ryan dostrzegł wiceprezydenta Sersa i jego żonę, sekretarza stanu i bratanka prezydenta. Wszyscy obecni trzymali w dłoniach drinki i rozmawiali ściszymi głosami, które zlewały się w niezrozumiały szum. Mark wymieniał pozdrowienia z pozostałymi dyżurującymi na piętrze tajnikami. Za każdym razem odnosił wrażenie, jakby koledzy się z nim żegnali.

Wreszcie dotarli do celu. Ferris zapukał. Drzwi sypialni prezydenckiej, pamiętającej jeszcze czasy prezydenta Calvina Colidge'a, otworzył pełniący w środku dyżur Donald Petrowski. Mark i Lowell weszli do środka.

Na łożu z baldachimem leżał David Cooper. Prezydent miał około stu siedemdziesięciu ośmiu centymetrów wzrostu i ważył jakieś siedemdziesiąt cztery kilogramy, a dzięki temu, że regularnie ćwiczył na siłowni, nie wyglądał na swoje pięćdziesiąt osiem lat. Od kolegów Mark wiedział jednak, że wspaniałą opaleniznę zawdzięczał sprayowi, a nie kąpielom słonecznym, i że siwizna jego bujnej grzywy również była sztuczna. Cóż, mając kogoś pod

lupą przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, wiedziało się o nim wszystko. A że świat polityki jest bezlitosny, prezydent musiał dbać o wizerunek. W efekcie państwo Cooper stanowili ładną parę, którą chętnie fotografowano. Szczególnie dobrze wyglądali w towarzystwie dorosłego już syna i córki. Taki obrazek obowiązywał na zewnątrz, wtajemniczeni widzieli jednak coś zupełnie innego.

Nieoczekiwanie Ryan przestał denerwować się spotkaniem z prezydentem. Usłyszał końcówkę jego wypowiedzi: „...w Bethesda”.

- Zgadza się - odparł Wayne Cooper, osiemdziesięcioletni ojciec prezydenta, teksański narciarz, który rozmawiał właśnie z kimś przy kominku.

Prezydent przypominał z wyglądu ojca, który miał jednak odrobinę większy brzuch i wianuszek naturalnie posiwiałych włosów. Po śmierci żony Cooper senior przelał wszystkie uczucia na syna.

Ryan podejrzewał nawet, że to właśnie miliony ojca pomogły mu zdobyć stanowisko. Pan Cooper miał też córkę Elizabeth, która jednak nie mogła jakoś ułożyć sobie życia osobistego i już trzykrotnie zmieniała męża. Ojciec zapewnił jej dostatnie i bezpieczne życie, ale całkowicie ją ignorował.

Wszystkie marzenia i nadzieje wiązał wyłącznie z jedynym synem.

- Już ci mówiłem, że nie chcę żadnych tabletek - rozległ się zniecierpliwiony głos prezydenta.

- Ależ proszę pana...

David Cooper leżał wciąż ubrany w smoking, w którym podejmował prezydenta Chile, a nad nim pochylał się lekarz John Downes. Po drugiej stronie łóżka stał lokaj, trzymający tacę ze szklaneczką szkockiej z wodą sodową, ulubionym trunkiem prezydenta.

- Jest Ryan - oznajmił Lowell.

Cooper usiadł na łóżku. Zapadła cisza. Wszyscy skierowali wzrok na Marka, który starał się opanować drżenie

podbródka. Miał nadzieję, że to jedyny widoczny objaw zdenerwowania.

- Nareszcie ktoś nam powie, jak doszło do tego strasznego wypadku. - Wayne Cooper mówił donośnie, mocno akcentując każde słowo.

- Na razie niczego nie wiemy. - To zła...

- Ojczy, moi drodzy... zostawcie nas samych - drżącym głosem poprosił David Cooper. Jego blada twarz i zaczerwienione oczy zdradzały, jak bardzo jest załamany; wszyscy wiedzieli, że prezydent wprost uwielbiał swoją żonę. Gdy spojrzenia obu mężczyzn się spotkały, Ryan znów poczuł ucisk w brzuchu - cóż, prezydentowa zginęła przecież wtedy, kiedy to jego ludzie objęli zmianę w rezydencji.

- Davey... - zaprotestował Wayne Cooper.

- Tato, nie utrudniaj.

Wszyscy opuścili pokój. Odgłos zamykanych drzwi zadudnił w głowie Marka niczym wystrzał z pistoletu.

Cooper wstał i ponownie spojrzał na Ryana. Mark nie uciekał przed jego oskarżycielskim wzrokiem.

- Zaufałem ci, Mark. Doskonale wiedziałeś, co się działo z Annette. Do ciebie należała ochrona.

Mark nawet nie usiłował się bronić.

- Proszę mi wybaczyć. Zawiodłem.

Cooper zaczął szybkim krokiem chodzić po pokoju. Ryan czuł ucisk w klatce piersiowej. Doskonale wiedział, co znaczy szaleć za kobietą, która zupełnie o ciebie nie dba. To wyjątkowo trudne do zniesienia chwile. Rozumiał Coopera.

Ten zatrzymał się przed Ryanem, przeczesał włosy dłonią i zapytał:

- Powiedz mi tylko, czy moja żona wyskoczyła na miasto po narkotyki?

Żeby to ja wiedział, pomyślał Mark.

- Tego nie wiem. Być może po narkotyki - odpowiedział, wyjmując z kieszeni buteleczkę po słodziku.
- To znalazłem na miejscu wypadku. W torebce pana żony były też zwitek banknotów i karty kredytowe.

Biorąc pod uwagę fakt, że oficjalnie prezydentowa nigdy sama za nic nie płaciła, podejrzenie stało się bardzo prawdopodobne. Prawdziwą zagadkę stanowiły jednak karty kredytowe. Na razie nie poszli tym tropem, bo - o ile Ryan się orientował - handlarzy proszkiem zawsze interesowała wyłącznie gotówka.

- Znów te cholerne pastylki - wycedził Cooper, sięgając po buteleczkę. Następnie, patrząc prosto w oczy Markowi, dodał: - To musi zostać między nami. Inaczej jej reputacja... - Nie dokończył, jego twarz wykrzywił spazm bólu. - Co ja teraz zrobię? Co pocznę? Nie mogę uwierzyć w to, co się stało. Moja Annette nie żyje...

Głos mężczyzny przeszedł w lament. Do pokoju wpadł lekarz. Ktoś wyprowadził Marka na korytarz, lecz i tam słychać było jęki Coopera. Po raz kolejny dał o sobie znać nieprzyjemny ucisk w brzuchu. Kiedy szedł do windy, dołączył do niego Lowell.

- Ta kobieta - zapytał. - No, ta, która była w samochodzie i przeżyła wypadek...

Mówił cicho, aby nikt go nie usłyszał, zwłaszcza że zbliżało się kilka osób, wśród nich pewien znany piosenkarz. Mark z trwogą pomyślał o przyjeździe prezydenckich dzieci - Laurie Donaldson i Brada Coopera.

- O co chodzi?

- Co o niej wiemy?

- Znam tylko jej nazwisko, ale już nad tym pracujemy.

- To ci powiem, że ta Ford pracuje u Johna Davenporta. Na razie nie możemy się z nim skontaktować, bo nie ma go w domu i nie odbiera telefonu komórkowego. Z pierwszych

ustalení wyniku, że prezydentowa dzwoniła do niego i to najprawdopodobniej on wysłał po nią samochód.

- Po co? - Mark był zaskoczony. To by oznaczało, że pani Cooper nie wymknęła się po narkotyki. A może jednak? Może Davenport dowiedział się o wszystkim i dlatego wysłał swojego człowieka, aby się nią zaopiekował.

- A kto to może wiedzieć? - wściekał się Lowell. - W każdym razie pojedziesz teraz do tej Ford i dopilnujesz, aby nie dorwali się do niej reporterzy. Musisz się zorientować, co wie. Gdyby się okazało, że ma jakiegokolwiek wiadomości kompromitujące prezydenta lub jego żonę, musisz ją za wszelką cenę przekonać, aby zatrzymała je dla siebie. - Błysk w oku Lowella przypominał Markowi, jak bezwzględny potrafi być jego przełożony. - Nawarzyłeś piwa, to je teraz wypijesz. Ryan zacisnął zęby, przytaknął i wsiadł do windy.

Rozdział 5

Jess powoli się budziła. Nadal trochę kręciło jej się w głowie i miała kłopoty z oddychaniem. Nie opuszczało też jej poczucie niepokoju. Coś było nie tak.

Przede wszystkim nie wiedziała, gdzie jest.

W panujących ciemnościach czuła się jak zamknięta w klatce. Cztery ściany, sufit i to wszystko.

Poza tym było jej zimno, bardzo zimno.

Drżała, męczyło ją nieprzyjemne uczucie nieważkości i całkowitej dezorientacji, dokuczał rwący ból głowy, usta miała niemiłosiernie opuchnięte. Bolało ją dosłownie wszystko, powinna więc wyć z bólu. A nie wyła. Miała wrażenie, że jest sama, choć dałaby głowę, że niedawno słyszała głos matki i jakieś inne znajome głosy. Na przykład swojej siostry.

Panowała cisza, którą przerywały tylko jakieś dziwne dźwięki: przytłumione pikanie, buczenie i skrzypienie. Jess nie miała też pojęcia, dlaczego jest tak zimno, bo wyglądało na to, że ma na sobie kilka warstw ubrania. Czuła delikatny, gładki materiał, chociaż na rękach miała coś wyjątkowo szorstkiego i postrzępionego. Po chwili uznała, że musi leżeć w łóżku. W powietrzu unosił się charakterystyczny zapach środków odkażających.

Tak więc w jakiś tajemniczy sposób znalazła się w szpitalu.

Nagle w jej myślach pojawiły się nie wiadomo skąd słowa: „Annette Cooper” i „wypadek”. Wróciły wspomnienia, wywołując nagły atak paniki i okropny skurcz żołądka. Świat zawirował, niemal zemdląca.

Coś jest nie tak.

I uczepliła się tej myśli jak ostatniej nici łączącej ją z życiem. Ale co?

Ciemności jakby zaczęły ustępować. Z prawej strony Jess dostrzegła bladą niebieską poświatę. Z wielkim trudem przekręciła głowę i zobaczyła stojącą przy łóżku aparaturę, rzucającą słabe światło. Od urządzenia, które wydawało dziwne, pulsujące dźwięki, odchodził jakiś poskręcany kabel. Jess uznała, że to aparatura monitorująca jej serce. A skoro tak, to nie ma co desperować, bo wydawany dźwięk przypominał bicie zdrowego serca. Buczenie jednak pochodziło z innego źródła, gdzieś zza głowy; prawdopodobnie tak szumiała klimatyzacja lub ogrzewanie. Skrzypienie zaś dochodziło od strony zamykanych właśnie ostrożnie drzwi, zza których wpadło światło z korytarza.

Rozległ się odgłos delikatnie zamykanych drzwi i znów zapadła ciemność. Jedyne cień przesuwający się na tle nikłych światełek sprzętu medycznego wskazywał na czyjąś obecność. Jess ścierpła skóra na całym ciele.

Kto to?

Usłyszała kroki i serce zabiło jej mocniej. W ciemności próbowała rozpoznać osobę, która stanęła przy łóżku. Był to ktoś wysoki, ubrany w niebieski chyba fartuch.

Lekarz albo pielęgniarka, uznała. W każdym razie ktoś z personelu. Odetchnęła z ulgą.

- Czy pani już nie śpi? - zapytał ten ktoś cicho, jakby nie chcąc budzić śpiącej.

Głos zdradził, że jest to mężczyzna. Ktoś, kogo nie znała. Ciekawe, czy on widzi, że mu się przyglądam?

- Nie śpię - wyszeptała z trudem.

Przełknęła ślinę i utkwiała wzrok w przybyłym. Chciała zapytać o stan pozostałych pasażerów samochodu, ale nie dała rady. Spuchnięty, ciężki język nie słuchał płynących z mózgu rozkazów. Musiała spasować.

- Czy pamięta pani, co się stało? - zapytał mężczyzna, opierając dłoń o jakiś stojący przy łóżku pręt. Jess podniosła wzrok i rozpoznała stojak do kroplówki; wisiał na nim przezroczysty wypełniony jakimś płynem woreczek, od którego wprost do jej dłoni szła elastyczna rurka, a przyklejony do skóry plaster przytrzymywał wenflon.

- Pamiętam wrak samochodu.

- To prawda.

Nieznajomy wstrzyknął coś do kroplówki.

- Co pan robi? - spytała zaniepokojona, bo senność, którą z takim trudem pokonała, nagle zaczęła powracać. Kątem oka dostrzegła, że nieznajomy manipuluje teraz przy rurce. Skoro jest lekarzem, to chyba nie powinnam się martwić, pomyślała.

Chociaż, nie. Wcale się nie uspokoiła. To dopiero było niepokojące.

- To pomoże ci zasnąć, dziecinko. A teraz zamknij oczy.

Łagodny ton sprawił, że posłusznie wykonała polecenie. Teraz pozostawało tylko odprężyć się i znów odlecieć... To takie przyjemne uczucie.

Wtem do pamięci znów wdarł się straszny obraz wypadku, a potem ktoś ją znalazł, wyniósł z wąwozu, dlatego jest bezpieczna. I jeśli tylko zechce, z łatwością zaśnie.

A więc do dzieła...

Światelka kontrolne na pulpitych aparatury medycznej delikatnie oświetlały podłogę. Widziała poruszającą się postać. Znów usiłowała szeroko otworzyć oczy, widząc,

że nieznajomy potrząsa kroplówką. Robiła wszystko, aby nie zasnąć, jednak powieki coraz bardziej jej ciążyły. Wciąż zaniepokojona czymś nieuchwytnym spytała:

- Czy jest pan lekarzem?

- Mm-hmm - usłyszała uspokajający pomruk. Nieznajomy pokonał już jakieś trudności z kroplówką i szyskował się do wstrzyknięcia czegoś.

Coś tu śmierdzi, stwierdziła Jess.

Z trudem uniosła powieki. Nieznajomy przeszedł parę kroków i stanął w smudze światła. Zobaczyła, że jego fartuch jest dziwnie mały, kończył się niemal na wysokości paska od spodni. No, może trochę niżej. Mężczyzna ubrany był w czarne spodnie od garnituru. Dostrzegła też eleganckie czarne, sznurowane buty, do których coś się przyczepiło... Nie widziała wyraźnie, ale mogła to być trawa.

Ta sama, która kłuła ją w policzek tam, w wąwozie. Zalała ją fala strachu. Szeroko otworzyła oczy i zaczerpnąwszy spory haust powietrza, krzyknęła: -Nie! Nie rób tego!

Mężczyzna nie słuchał. Nawet na nią nie spojrzał. Wpuścił całą zawartość strzykawki do kroplówki. Jessica miała wrażenie, że może śledzić ciecz płynącą wprost do jej żyły.

Co takiego mi podał, panikowała.

Jednym ruchem ręki sięgnęła do wenflonu i wyrwała igłę wraz z przytrzymującym ją plastrem.

Niesamowite pieczenie było niczym w porównaniu z wszechogarniającą ją paniką.

CO MI WSTRZYKNAŁ?

- A to co? - Nieznajomy szybkim ruchem dłoni chwycił swobodnie zwisającą plastikową rurkę.

Rzucił się w stronę Jessiki, która wrzasnęła przerażona. Ponieważ ktoś zapomniał zablokować kółka, łóżko nagle

odjechało na drugą stronę pokoju. Napastnik chwycił Jessicę za nadgarstek, łóżko tymczasem z impetem uderzyło lewym rogiem w ścianę, odbijając się od niej. Jessica, krzycząc z całych sił, uwolniła dłoń z uścisku.

Uciekaj, mózg wydał kolejny rozkaz.

Niestety, nogi odmówiły posłuszeństwa. Jessica z przerażeniem stwierdziła, że nie może się poruszyć. Usiłowała choć kopnąć mężczyznę, ale i to się nie udało. Pozostało na oślep walić pięściami, jednak większość ciosów chybiła celu. Ze zwisającej rurki kroplówki powoli wyciekał lepki płyn.

- Zamknij wreszcie dziób, kobieto! - ryknął ochrypłym głosem nieznajomy.

W tej chwili przerażona Jessica dostrzegła w jego uniesionej dłoni strzykawkę, a nikła smuga światła pozwoliła stwierdzić, że nie jest ona pusta. Stało się jasne, że za chwilę wbije igłę w jej ciało i lek, którego tak przeraźliwie się obawiała, zrobi jednak swoje.

Nieoczekiwanie Jess wróciła myślami do wąwozu, znów widziała czarne postacie krzątające się wokół wraku samochodu...

- Nie! Nie! Na pomoc!

Ostatnim wysiłkiem rzuciła się na bok, spadając na podłogę.

Rozdział 6

Mimo zmęczenia i zdenerwowania Ryan musiał wykonać polecenie szefa i pojechać do szpitala, w którym leżała Jessica Ford. Pielęgniarka, przed którą się wylegitymował i którą obdarzył szerokim uśmiechem, poinformowała go, że ranna leży na intensywnej terapii i że w szpitalu jest już jej matka. Okazała się nią krągła blondynka wypełniająca przy pobliskim stoliku jakieś formularze. Poniósł więc porażkę, bo chciał być pierwszą osobą, która porozmawia z ranną. Tak na wszelki wypadek, gdyby mogła i chciała mówić o wypadku. Ryan zdecydował się na wejście po schodach, dzięki temu mógł ominąć tłoczących się na parterze reporterów. Ktoś mógłby go rozpoznać, a obecność tajniaka w szpitalu, w którym leżała jedyna ocalała z wypadku osoba, z pewnością sprowokowałyby przeróżne spekulacje. Naturalnie mógłby liczyć na pomoc szpitalnej ochrony, ale łatwiej i szybciej było pójść schodami.

Jeśli panna Ford ma coś do powiedzenia, chciałby to usłyszeć pierwszy. Jedyne, co mógł jeszcze zrobić dla Annette Cooper, to nie pozwolić zniszczyć jej wizerunku dobrej matki.

Wszedł na oddział i rozglądał się, gdzie jest pokój 337, gdy nagle szpitalną ciszę rozdarł przerażający kobiecy krzyk. Mark zamarł.

Dreszcz przeszedł mu po plecach i ogarnęło go złe przeczucie. Spojrzał w głąb długiego korytarza. Przyćmione światła i panujący spokój kontrastowały z krzykami wzywającej pomocy kobiety. Zastrzyk adrenaliny pobudził Marka do działania. Co sił w nogach rzucił się w tamtym kierunku. To nie może być prawda, nie może, dudniło mu w głowie.

Nie miał jednak czasu na myślenie. Co się tam, u licha, dzieje?

Mark nie chciał spekulować. Miał tylko nadzieję, że nie spełni się czarny scenariusz, jaki podsuwała mu podświadomość. Wyprzedził wystraszoną pielęgniarkę, która z wrażenia zapomniała nacisnąć przycisk alarmowy, odepchnął na bok sanitariusza i z gotowym do strzału pistoletem wpadł do pokoju.

- Stać! Nie ruszać się!

Gwałtownie otwarte drzwi uderzyły w ścianę. W głowie Marka wciąż rozbrzmiewały krzyki Jessiki. W rozświetlonej niebieską poświatą ciemności szukał jej wzrokiem. Spodziewał się też dostrzec tego, kto poza nią tutaj przebywał.

W pomieszczeniu panowała cisza, którą zakłócało tylko walące jak młot serce Ryana i odgłosy pracującej aparatury.

Pokój był pusty.

- Jessica! - zawołał z nadzieją.

W pokoju dostrzegł dwa telewizory, kilka krzeseł i aparaturę medyczną. Zaciągnięta zasłona rozdzielała dwa łóżka. Na żadnym jednak nikt nie leżał. Dziwne było tylko to, że jedno stało nienaturalnie blisko drzwi, a drugie pod oknem.

Muszę zachować ostrożność, napominał się Mark. Zapalił światło. Rozejrzał się dokoła i stwierdził, że w pokoju nie ma żywej duszy. Potem zobaczył uchylone drzwi

do łazienki. Rozejrzał się ostrożnie i stwierdził, że jest kilka zakamarków, w których mógł kryć się napastnik.

- Jessica?

Przez skórę czuł czyjąś obecność, ktoś był tu jeszcze przed chwilą. Również panująca cisza nie zwiodła Ryana. Przerażliwe krzyki na pewno dochodziły z tego pokoju.

- Gdzie jesteś?

Ostrożnie zaczął obchodzić łóżko, które ewidentnie nie stało na swoim miejscu. Nie było też na nim prześcieradła ani kołdry, a poduszki leżały w nieładzie. Obok stał świecący niebieskimi lampkami włączony sprzęt medyczny. Zajrzał za łóżko i zobaczył leżącą na podłodze, zawiniętą w kołdrę jakąś kruchą postać. Jedna noga skierowana była do drzwi, na drugiej owinęło się prześcieradło, prawa ręka wyciągnięta była w kierunku łóżka. Podwinięta szpitalna koszula odsłaniała kawałek pleców. Choć gęste, kasztanowe włosy zasłaniały twarz leżącej, Ryan rozpoznał w niej Jessicę.

Z bronią w ręku, zachowując czujność, Mark przykucnął obok leżącej. Oddychała i na pierwszy rzut oka nie było widać żadnych nowych obrażeń. Ani krwi, ani noża w plecach. Sprawdził puls i uznał, że jest w normie.

- Jessica, słyszysz mnie?

Kobieta poruszyła głowę, coś niezrozumiale wymamrotała i odsunęła rękę od dłoni Marka.

- Nic się nie bój. Jesteś bezpieczna.

Jeszcze raz zlustrował pusty pokój, nadal zachowując czujność. Jeszcze nie wiedział, dlaczego Jessica tak krzyczała. Być może tylko przestraszyła się upadku z łóżka.

Mark zaklinał los, aby te jego przypuszczenia się spełniły.

Ludzi pracujących w branży Ryana i pokrewnych charakteryzowało to, że zawsze byli gotowi wykonać polecenia swoich pracodawców. A jeśli mieli jakikolwiek związek

z wypadkiem, z pewnością wiedzieli, w którym szpitalu leży jedyna ocalała...

W tym momencie dopiero do pokoju wpadło kilka pielęgniarek, jacyś ochroniarze i jeszcze parę innych osób.

- Pani Ford... - zawołała na widok leżącej na podłodze pacjentki jedna z pielęgniarek. Przerwał jej jednak wrzask innej, która zobaczyła właśnie pistolet w ręku Ryana. Powstało potworne zamieszanie, ochroniarze sięgnęli po broń.

- Proszę o spokój - krzyknął Mark, pokazując odznakę, potem schował pistolet.

Do Jessiki podbiegły pielęgniarki.

- Co się pani stało? - pytała jedna, odsłaniając twarz leżącej.

Ryan zobaczył gładki, blady policzek i równie blade, pełne usta. Powieki Jessiki uniosły się, ale dziewczyna milczała.

Mark mógł się teraz zająć szukaniem odpowiedzi na dręczące go pytanie: co tu się stało? Postanowił zacząć od łazienki. Nim tam wszedł, słuchał rozmowy pielęgniarek.

- Pewnie pani Ford chciała wstać, może szła do łazienki i po drodze zemdląca.

- Przecież ma założony cewnik.

- Pacjenci czasami o tym zapominają.

- Nie sądzisz, że upadając, uderzyła się o róg stolika?

- Albo o podłogę.

- Chyba tak. O, jest siniak. Patrz, robi się coraz większy. Innych ran nie widzę.

- No i wyrwała sobie kroplówkę.

Pielęgniarki zastanawiały się półgłosem, jak to było możliwe, gdy nagle cichym, lecz przerażonym głosem Jessica znów wezwała pomocy. Ryan natychmiast podszedł bliżej.

- Już wszystko jest w porządku. Spadła pani z łóżka, ale na szczęście nie ma nowych obrażeń.

- Tu był... jakiś mężczyzna. Próbował wstrzyknąć coś do kroplówki.

Zapadła cisza. Ryana zainteresowała ta informacja, ale pielęgniarki wymieniły jedynie spojrzenia, wyraźnie mówiące, że nie wierzą ani jednemu jej słowu.

- To ja byłem u pani Ford - nieoczekiwanie powiedział sanitariusz, szczupły chłopak w niebieskim fartuchu, średniego wzrostu, z kasztanowymi włosami związanymi w kitkę. Rozłożył ręce w geście usprawiedliwienia: - Ja tylko sprawdzałem kroplówkę. Niczego jej nie podawałem.

- Napastnik miał... igłę. Chciał mnie... chciał mnie ukłuć - mówiła z trudem Jessica.

Upór kobiety zaniepokoił Marka. Niech to jasna cholera, zaklął pod nosem.

- No, to sprawa się wyjaśniła, bo ja nie miałem żadnej igły - z głupawym uśmiechem oznajmił chłopak.

- Próbowалам uciekać, ale nogi odmówiły mi posłuszeństwa - szepnęła Jessica. I zaraz powtórzyła głośniej:

- A właściwie dlaczego nie mogę chodzić?

Tylko nie paraliż, Mark zaklinał rzeczywistość.

- Musi się pani uspokoić - powiedziała pielęgniarka.

- Czy da pani radę sama się położyć? Widzę, że nie, ale poradzimy sobie. -1 zakomenderowała: -

Uwaga! Podnosimy na trzy: raz, dwa, trzy.

Jessicą wstrząsały dreszcze, a pielęgniarki szybko krzątały się przy niej. Mark spojrzał na jej wiotkie i blade nogi. Zauważył też coś więcej, że są zgrabne, a paznokcie nie są pomalowane.

Po chwili Jess leżała już wygodnie. Spojrzała na wyprostowane nogi i stwierdziła przestraszona:

- Nie mogę chodzić.

- Proszę na mnie spojrzeć, zobaczę źrenice - zarządziła pielęgniarka i z latareczką w ręku pochyliła się nad łóżkiem. - Wszystko w porządku.

- Chciałabym usiąść, bardzo proszę.

Ktoś uruchomił mechanizm i zagłówek łóżka zaczął się powoli podnosić. Kiedy Jessica już siedziała, pod głowę podłożono jej poduszki, a pościel szybko i sprawnie doprowadzono do porządku.

- Dlaczego nie mogę poruszać nogami? Czemu nikogo nie obchodzi to, że ktoś na mnie napadł? Czy ktoś mnie tu w ogóle słyszy? - Wściekła i wciąż wystraszona rzucała pytania, jednocześnie ściskając w dłoni brzeg niebieskiej kołdry.

Mark obserwował ją z boku. Zauważył, że ma kształtną głowę, wysokie czoło, wydatne kości policzkowe i dolną szczękę. Nad prawym okiem dostrzegł szwy założone na głęboko przeciętą skórę, a poniżej, na policzku, coraz wyraźniejszego siniaka. I jeszcze jedno stłuczenie, na szyi, w pobliżu ucha. Poza tym była przeraźliwie blada, a rozszerzone oczy zdradzały wewnętrzne napięcie.

Kasztanowe włosy sięgały podbródka, a po prawej stronie, gdzie znajdowało się najwięcej obrażeń, wciąż były rozwichrzone.

Ryan uznał, że kobieta nie jest w jego typie, choć z pewnością sprawiała wrażenie miłej. W każdym razie takiej, jakie nie przyciągają uwagi mężczyzn w barach czy na przyjęciach. Mogłaby być młodszą siostrą, zwłaszcza że piegi na nosie i policzkach nadawały jej młodzieńczy wygląd. Nigdy by nie pomyślał, że jest już po studiach, choć Lowell właśnie tak twierdził. Nie wyglądała też na narkomankę czy handlarza prochami.

Dlaczego więc jechała razem z Cooper?

- Szybciej pani wydobrzeje, jeśli się pani uspokoi - tłumaczyła tymczasem najstarsza z pielęgniarek. - Pani

dolegliwość jest efektem ubocznym działania podanych leków.

- To, że nie mogę poruszać nogami?

- Proszę to powiedzieć lekarzowi, kiedy przyjdzie. Nie chcę pani urazić, ale mocne leki często wywołują halucynacje.

- Wiem, co mówię. Ktoś na mnie napadł.

Ryan znów spojrzał w stronę Jess. Na jej lewej dłoni dostrzegł rozdartą skórę i sączącą się krew - ślad po wyrwaniu wenflonu. Stojak od kroplówki stał oparty o ścianę między dwoma łózkami. Ktoś musiał go tam przesunąć.

Gdyby Jessica mówiła prawdę, to dowody powinny znajdować się w tym pokoju, wnioskował Mark.

- Ja po operacji, kiedy byłem jeszcze pod wpływem morfiny, twierdziłem, że obstało mnie stado wilków. Mówię wam, nigdy w życiu nie bałem się bardziej - opowiadał sanitariusz.

Ryan pomyślał, że warto jednak bliżej przyjrzeć się zarówno foliowemu woreczkowi wiszącemu nadal na stojaku, jak i rurkom. Może tam znajdzie się dowód na potwierdzenie słów Jessiki. Jeśli mówiła prawdę, nie może wypuścić z pokoju nikogo, kto słyszał jej słowa. Osobiście był zdania, że nie doszło do żadnej napaści. Zbyt małe było prawdopodobieństwo takiego zdarzenia.

Wtem Jessica krzyknęła:

- To on! To on!

I wszyscy nagle spojrzeli na Marka. Dopiero wtedy zrozumiał, że chodzi o niego. Na szczęście zdążył wcześniej schować do kieszeni plastikowy pakiet i rurki od kroplówki.

Jessica była zdenerwowana i blada.

Rozdział 7

Pani się myli. - Mark podszedł bliżej i oparł jedną dłoń na zimnej, stalowej ramie łóżka, a drugą przytrzymał kieszeń. Z bliska zobaczył, że ranna ma zielonobłękitne oczy. - Właśnie szedłem tutaj, gdy na korytarzu usłyszałem pani krzyki. Jestem z Secret Service, nazywam się Mark Ryan. To ja panią znalazłem na miejscu wypadku.

Jessica wyraźnie się uspokoiła. Osunęła się z powrotem na poduszki, wciąż gapiąc się na Ryana.

- Tak, pamiętam.

- Ten pan nie kłamie. Pobiegł, gdy usłyszeliśmy krzyki - wtrąciła pielęgniarka, którą parę minut temu mijał na korytarzu Ryan. Kawałkiem gazy wycierała krew z dłoni Jessiki. Po pokoju rozszedł się zapach spirytusu. Jessica nie zareagowała, jakby nie czuła pieczenia. Postrzępiona skóra na brzegach rany wskazywała, że ktoś wyrwał igłę z dużą siłą.

- Ja też wszystko widziałem. Tego pana nie było w pokoju i to nie on grzebał przy kroplówce - zapewnił sanitariusz, podając pielęgniarce woreczek z lodem.

Kobieta przyłożyła Jessice zimny okład na potylicę i potwierdziła:

- Wszystko się zgadza. Razem ze mną facet ma czterech świadków.

- Dlaczego sądziła pani, że to ja? - spytał zaciekawiony Mark.

Jessica nie odpowiedziała. Po chwili wzięła głęboki oddech i chyba coś ją musiało zboleć, bo się skrzywiła. Znów w napięciu spojrzała na Marka.

- Co się stało z panią Cooper? - zapytała wreszcie.

Ryan milczał. Instynkt podpowiadał mu, że nie powinien przekazywać rannej złych wiadomości, ponadto miał wrażenie, że pytanie była czysto retoryczne. Musiał się jednak za wszelką cenę dowiedzieć, co Jessica zapamiętała z wypadku i dokąd jechała prezydentowa, uznał więc, że nie powinien kłamać. Właśnie nadarzała się okazja do rozmowy na temat okoliczności śmierci Annette Cooper i ewentualnego nakłonienia kobiety do milczenia. Na dobrą sprawę wszystko zależało od tego, co panna Ford powie. Jeśli będzie trzeba, można będzie zmusić ją do zmiany zeznania, strasząc konsekwencjami lub obiecując coś w zamian, na przykład dobrze płatną pracę. Ryan miał stosowne pełnomocnictwa. Tyle że Jessica Ford musiałaby trzymać język za zębami i nie udzielać żadnych wywiadów. Cóż, klan Cooperów i ich poplecznicy mieli wiele możliwości, aby pomóc przyjacielom, i tyleż samo, aby zaszkodzić wrogom.

Metoda kija i marchewki. Tyle że ten kij jakoś niepokoił Ryana.

Na razie ufał, że teksański klan, jak nieoficjalnie nazywano najbliższych doradców prezydenta, nie ucieknie się do zamachu na życie panny Ford. Mimo to, gdyby informacje o uzależnieniu zmarłej od narkotyków wydostały się jakoś do wiadomości publicznej, byłoby to zawstydzające i niewygodne dla rodziny. Chociaż z drugiej strony, stawiałoby walczącego z nałogiem żony prezydenta w wyjątkowo dobrym świetle. Na razie Jessica jego zdaniem nie stanowiła żadnego zagrożenia, nawet nie było wiadomo,

czy zdawała sobie sprawę ze słabości pani Cooper. Nie podejrzewał też Lowella, że kazał ją komuś zabić, skoro polecił mu jechać do szpitala. Jego szef dobrze wiedział, jak zareagowałby Ryan na takie morderstwo. Zwłaszcza gdyby miało się dokonać niemal na jego oczach. Mark nie tolerował okrucieństwa wobec kobiet.

- Czy mogliby państwo zostawić nas samych? - spytał Mark, patrząc na pozostałych. Nie chciał publicznie ogłaszać śmierci prezydentowej.

Na twarzy Jessiki znów malował się strach. Oczywiście, perspektywa zostania w jednym pokoju z mężczyzną, którego przed chwilą posądzało się o zamach, mogła być przerażająca.

- Proszę się nie obawiać. Naprawdę jest pani bezpieczna - przekonywał. - Moim zadaniem jest dopilnowanie, żeby miała pani najlepszą opiekę.

Jessica patrzyła mu prosto w oczy, nie protestując już.

Pielęgniarki nie wiedziały, co robić. Blondynka skończyła mierzenie ciśnienia u pacjentki i powoli składała ciśnieniomierz. Nieco zmieszani ochroniarze przestępowali z nogi na nogę, ale się nie ruszali.

Ryan uznał, że tylko ponowne okazanie legitymacji tajnej policji pozwoli mu wyprosić tych ludzi.

- Proszę się o mnie nie martwić - powiedziała wreszcie Jessica.

- Dobrze, wyjdziemy, ale będziemy stali za drzwiami - zdecydowała starsza z pielęgniarek.

W chwilę potem Ford i Ryan zostali sami.

- A więc, co z panią Cooper? - ponowiła pytanie, wpatrując się w Marka.

W dużym szpitalnym łóżku Jessica wydawała się taka malutka i taka bezbronna. Ryan wciąż nie mógł uwierzyć, że to ona właśnie przeżyła, a nie pani Cooper, nie silny

Will Prescott czy kierowca. Albo w rzeczywistości była twardsza, niż wyglądała, albo miała sporo szczęścia. Osobiście Mark obstawiał drugi wariant. A biorąc pod uwagę to, co przeszła, był też pod wrażeniem jej opanowania. Musiała przecież mocno przeżyć wypadek, i to nie tylko fizycznie, ale i psychicznie. Poza tym znajdowała dość sił, by zachować czujność.

- Pani prezydentowa zginęła. - Ryan nie szukał żadnych oględnych słów.

Jess zamrugła powiekami i odwróciła wzrok. Przez jej twarz przebiegł spazm bólu. Głęboko odetchnęła, potem odważnie spojrzała Markowi prosto w oczy.

- A gdzie wy wtedy byliście? - rzuciła oskarżająco.

- Jak to „gdzie”? - niezdarnie bronił się zaskoczony Mark.

- No tak, wy, tajniacy. Dlaczego nikogo z was nie było w hotelu? Dlaczego poszła tam sama?

Gdybyście dobrze wykonywali swoje obowiązki, nie stałoby się nic złego.

- W hotelu? - Ryan wyłapał nową dla niego informację, ignorując resztę wypowiedzi. Na razie nie chciał poruszać tematu odpowiedzialności, choć, naturalnie, Jessica miała rację.

- To znaczy, że nic nie wiedzieliście o hotelu?

Jej słowa zirytowały Ryana. Nie był przygotowany na atak ze strony takiej dziewczynki; w końcu smarkula mogła mieć tyle lat, co jego córka. Dopiekła mu do żywego, ale że miała przecież rację, uspokoił się i zapytał:

- A co pani wie o mojej firmie? I skąd pani wie, gdzie pracuję?

- Panie Ryan, pracuję w kancelarii Davenport, Kelly, Bascomb i pani Cooper odwiedziła nas parę razy. Zawsze przychodziła z takimi jak pan. Widziałam też pana koleżków w Białym Domu, gdy zanosila jej dokumenty.

Mark z trudem opanował zdziwienie. Za nic nie mógł przypomnieć sobie panny Ford ani z kancelarii prawnej, ani z Białego Domu. Na razie jednak zachował to dla siebie.

- Zgadza się - skłamał bez zmrużenia oka. - Więc gdzie była i co robiła pani Cooper?

- Pyta pan z ciekawości czy to oficjalne przesłuchanie?

Nie daj się sprowokować, uspokajał sam siebie Mark.

- To część moich obowiązków.

- Hotel nazywa się Harrington, ale nie mam pojęcia, co Annette Cooper tam robiła.

- A dlaczego pani się tam zjawiała?

- Na wyraźną prośbę pana Davenporta, który sam nie mógł tam pojechać.

- Mieli tam umówione spotkanie?

- Tak. Pani Cooper zadzwoniła do niego, ale ponieważ nie mógł się zjawić, poprosił mnie, abym ją stamtąd zabrała.

- Dlaczego wybrał akurat panią? - Nie rozumiał, czemu przyjaciel pani Cooper miałby umawiać się z nią w hotelowym barze, a potem przysyłać w zastępstwie obcą osobę. Mark był pewien, że kobiety tak naprawdę się nie znały. Jedyne, co uznał za prawdopodobne, to jakiś narkotykowy szwindel lub przeciwnie - próba niedopuszczenia do niego.

- Bo mieszkam niedaleko i mogłam szybko dotrzeć na miejsce. A poza tym pan Davenport mi ufa.

- Aha. - Mark podtrzymał rozmowę, choć powód, dla którego Davenport nie pojechał sam na spotkanie, tylko wysłał pracownicę swojej kancelarii, nie wydawał mu się teraz istotny. - i co było dalej?

- Nic. Odszukałam panią Cooper i wyszłyśmy. Ryan opanował irytację, jaką wywołały te proste słowa.

- A dokładniej?

- Wyszliśmy na ulicę, gdzie czekał na nas samochód, który wcześniej przysłał po mnie mój szef. Jess krótko opisała wieczorne wydarzenia w hotelu, potem zmęczona zamknęła oczy. Ryan czekał w milczeniu. Gdy odwróciła głowę, jej włosy rozsypały się po poduszce i Mark zobaczył rany na szyi. Jarzeniówka oświetlała białą jak ściana twarz kobiety. Mark poczuł nagle wyrzuty sumienia, że tak dręczy ofiarę wypadku. Skoro jednak nie mógł być jedynym, to przynajmniej musiał być pierwszym, który zada jej te wszystkie pytania.

- I co było dalej? - Nalegał, nie mogąc doczekać się reszty informacji. - Jedziecie samochodem i...? Jessica znów patrzyła na Marka, lecz tym razem było widać, jak wiele kosztuje ją skoncentrowanie się na jego twarzy.

- Nie wiem. Wsiadłam do samochodu i odjechałyśmy. Koniec.

- Nie pamięta pani, jak doszło do wypadku? - spytał najspokojniej, jak umiał.

- Nic a nic. Potem otworzyłam oczy i zobaczyłam pana. Niczego więcej nie pamiętam. - Ostatnie słowa wyraźnie podkreśliła.

Ryan wiedział, że ofiary wypadków często nie pamiętają samego zdarzenia, więc wcale się nie zdziwił. Właściwie tak było wygodniej dla niego i lepiej dla samej Jessiki.

- Więc pani Cooper poszła sama do hotelowego baru. I nie było z nią nikogo od nas? - Ryan miał na myśli swojego kolegę Prescottta, który przed wypadkiem zgłosił zgubienie swojej podopiecznej. Kiwnięciem głowy potwierdziła.

- Pytam, ponieważ w wypadku zginęły trzy osoby: pani Cooper, kierowca i nasz pracownik Will Prescott. Ciekaw jestem, jak znalazł się w samochodzie, skoro nie było go w barze?

- Nie wiem, nie pamiętam go. Chociaż przypominam sobie jakiegoś mężczyznę stojącego przed hotelem. Zauważyłam go, kiedy wsiadałam do samochodu.

- To znaczy, że musiał później do was dołączyć.

- Nie wiem. Pamiętam tylko, że pod hotelem w samochodzie siedziała pani Cooper i kierowca. Nie pamiętam, co było dalej.

Mark postanowił odłożyć na później ustalenie kolejności tego, co robił Prescott. Jessica była już zmęczona, a wyciąganie z niej wszystkiego, co wiedziała, bez wprowadzania w szczegóły, wymagało nie lada zręczności. A w tym Mark nie był najlepszy.

- A co pani Cooper robiła w barze, gdy ją pani tam odnalazła?

- Siedziała przy stoliku i właśnie kończyła drinka. Podeszłam, powiedziałam, że przysłała mnie pan Davenport, a potem wyszliśmy.

- Dokąd?

Jessica nie odpowiedziała, na jej twarzy znowu pojawił się grymas bólu. Mark podejrzewał, że powoli przestają działać środki przeciwbólowe, podawane zapewne przez kroplówkę, do której nie była już przecież podłączona.

- Hmm... Tego też nie pamiętam, ale po bezpiecznym wyprowadzeniu pani Cooper z hotelu i wsadzeniu do auta miałam zadzwonić do pana Davenporta... Ale nie pamiętam, czy to zrobiłam.

- Dlaczego „bezpiecznym”?

Jessica oblizła wargi i spojrzała na Marka. Zorientował się, że jest naprawdę bardzo zmęczona.

- Właściwie przebywałam w towarzystwie pani Cooper nie więcej niż dziesięć minut. Tyle czasu zajęło mi odszukanie jej w barze, przedstawienie się, wyjaśnienie, że jestem od pana Davenporta i pójście do czekającego przed hotelem samochodu. Pamiętam tylko to, że wsiadliśmy do niego

obie, ale nic więcej. A teraz chciałabym, żeby mnie już pan zostawił. Nie mam siły na dalszą rozmowę.

Choć wydawało się, że to nie jest możliwe, Jessica jeszcze bardziej zbladła, a siniaki na szyi i twarzy miały teraz intensywniejszą barwę. Zaczęła też drżeć i chcąc ogrzać dłonie, schowała je pod kołdrę. Mark znów poczuł wyrzuty sumienia. Poznał jednak odpowiedzi na większość pytań, które chciał zadać. Ustalił też, że kobieta nie wie za dużo, a wielu rzeczy w ogóle nie pamięta. Uznał więc, że może na tym poprzestać.

- Prezydent będzie wdzięczny, jeśli nie będzie pani rozmawiać z mediami o jego żonie i w ogóle o wypadku -wydusił wreszcie formułkę, którą znał na pamięć. Wcześniej nie wspominał o swoim pracodawcy, bo nie chciał, żeby osoby przebywające w pokoju wypaplały o nim dziennikarzom. Z doświadczenia jednak wiedział, że z pewnością z detalami opiszą jego wizytę i żadna tajemnica lekarska nikogo przed tym nie powstrzyma. Nie chciał jednak, aby mówiono, że tajniak prezydenta odwiedził jedyną ocalałą z wypadku osobę, ponieważ nie znał jeszcze ustaleń dotyczących oficjalnych działań związanych ze sprawą. Może wydadzą komunikat, że zjawił się w szpitalu na wyraźne polecenie prezydenta, a może zostanie to w ogóle zatajone. Z doświadczenia wiedział, że wersja będzie taka: wcale go tu nie było. - Chciałbym też...

Nie dokończył, bo do pokoju weszła kobieta, którą widział w korytarzu ślęczącą nad jakimiś papierami. Rozpoznał matkę Jessiki. Szła prosto do łóżka córki, stukając obcasami, mocno gestykułując i nie przerywając rozmowy z idącą za nią dużo szczuplejszą blondynką. Kobiety były do siebie podobne, obie wysokie, pulchne i z ufarbowanymi na platynowo włosami - pani Ford krótkimi i kręconymi, młodsza długimi do ramion i z grzywką. W rysach ich twarzy zwracały uwagę wydatne kości policzkowe, zadarte

nosy i zupełnie niepasujące do koloru włosów piwne oczy. Starsza ubrana była w dżinsy i błękitny sweterek z dekoltem, młodsza także w dżinsy, ale jej sweterek był różowy. Żadna z nich nie była podobna do Jess.

- Córuniu, jak to dobrze, że już nie śpisz - powiedziała pani Ford, przelotnie rzucając okiem na siedzącego obok mężczyznę. - Nieźle nas wystraszyłaś.

- Mamo, Sarah - powiedziała Jessica, z trudem powstrzymując łzy - nie mogę poruszyć nogami.

- Cześć, siostra! - Młodsza kobieta pochyliliła się i ucałowała ranną. Ignorując łzawe powitanie, Ryan wycofał się cicho. - Nie możesz? To nic. Grunt, że żyjesz.

- Lekarze mówią, że to chwilowy paraliż. Zdjęcia nie wykazały żadnych uszkodzeń ciała i pewnie... - Pani Ford nie dokończyła, gdyż do pokoju wpadli dwaj jasnowłosi chłopcy w kostiumach Batmana i Hulka. Starszy, pewnie sześciolatek, popchnął czterolatka tak mocno, że ten nieomal upadł.

- Mamo! A on mnie popchnął! - skarżył się Batman, mocno ściskając Sarah za nogi. - Popchnął mnie!

- Czy ciocia Jessica żyje? - spytał stojący w nogach łóżka Hulk. - A dlaczego ciocia płacze? Dlaczego płaczesz?

-Nie widzisz, gamoni, że ciocia ma poranioną twarz?

- Spokój! - przerwała im Sarah. - I wyrażać mi się przyzwoicie.

- ...nie było z kim ich zostawić - przeproszała jakaś kobieta idącą za nią pielęgniarkę.

W drzwiach stanęła wysoka, piękna, smukła blondynka, której długie włosy zabójczo falowały przy każdym kroku. Miała może dwadzieścia, dwadzieścia dwa lata, długie opalone nogi i buty na wysokich obcasach. Całości dopełniały krótka spódniczka i czarna skórzana kurtka. Ryan walczył z pokusą wlepiania wzroku w nogi przybyłej.

- Przykro mi bardzo, ale na ten oddział nie można wprowadzać dzieci - perswadowała pielęgniarka, wyraźnie tracąc już cierpliwość.
 - Zaraz przyjedzie po nie ojciec. Przypilnuję, aby nie hałasowały - wyjaśniało blond zjawisko, by zaraz potem natrzeć na Jessicę: - Miałaś spędzić wieczór przy telewizorze. Co się stało?
 - Owszem, stało się - odparła niewyraźnie Jess. Mark nie widział jej twarzy, ale odgadł, że ranna płacze. - Dobrze, że jesteście.
 - To my się cieszymy, że żyjesz.
- Rodzina przywitała się, a chłopcy natychmiast czmychnęli pod łóżko. Nikt, oprócz zagniewanej pielęgniarki, nie zwracał na nich uwagi.
- Ktoś z obecnych mógłby poczekać z dziećmi na dole. - Pielęgniarka nie dawała za wygraną.
 - Ale tam jest pełno dziennikarzy - protestowała blondyna, szukając wsparcia u obecnych. - Od razu sfotografowali chłopców i nawet się nie spostrzegłam, jak Hunter powiedział im, że Jessica jest jego ciotką.
 - Mówili, że jedna pani zginęła w wypadku samochodowym - spod łóżka rozległ się głos Hulka. - Wtedy im powiedziałem, że moja ciocia też jechała tym samochodem, a oni rzucili się na mnie z mikrofonami i aparatami.
 - Potem ciocia Grace zabrała nas stamtąd, a ja w windzie nacisnąłem przycisk - dodał Batman.
 - Niemożliwe - wycodziła ich matka, a reszta rodziny była wyraźnie zaniepokojona.
 - Przecież dzieci niczego nie wiedzą - oburzyła się matka Jessiki.
 - Nie możecie udzielać żadnych informacji - wyjątkowo stanowczo powiedziała Jessica. - W tym wypadku zginęła pani Cooper.

- Wiem o wypadku, a pani Cooper była taką miłą osobą.
- Całe szczęście, że ty wyszłaś z tego cało. Co byśmy bez ciebie poczęli - stwierdziła właścicielka cudnych nóg.
- Czas na kroplówkę. - Pielęgniarka wyraźnie zrezygnowała już z przepędzenia dzieciaków. Podeszła do stojaka i zauważyła brak opakowania z lekiem. Stała jak wryta. Mark poczuł się nieswojo.
- Tylko nie to! Nie chcę żadnej kroplówki! - zaprotestowała Jessica, co odwróciło uwagę pielęgniarki od zaginionego pakietu. - Znam prawo i wiem, że mogę się nie zgodzić. Teraz z niego korzystam i mówię „nie”. Słyszała pani?
- Ale w ten sposób podajemy wszystkie leki i...
- Nic z tego. Czy już pani zapomniała, że ktoś grzebał przy kroplówce, a potem szarpał się ze mną?
- Jak to „szarpał się”? - zapytała matka.
- Moim zdaniem pani córka miała halucynacje wywołane lekami - cicho wyjaśniła pielęgniarka.
- Wcale nie...

Mark uznał, że poruszane tematy nie dotyczą jego pracodawcy, cichcem więc wymknął się z pokoju. On także doszedł do wniosku, że „napad” na Jessicę musiał być wynikiem jej halucynacji. Tak, to było jedyne logiczne wytłumaczenie. Co prawda, można podstawić kogoś - niby sprzątaczkę, hydraulika czy montera - kto miałby za zadanie zająć się panną Ford, ale w tym przypadku to chyba lekka przesada. Gołym okiem widać, że kobieta nic nie wie o uzależnieniu pani Cooper. Zbyt długo i dobrze znał Cooperów, aby podejrzewać ich o zlecenie zabójstwa. Postanowił jednak mieć na wszystko oko, przynajmniej tak długo, aż upewni się, że ma rację. Doświadczenie podpowiadało mu bowiem, że nawet najbardziej przekonany o swoich racjach człowiek może się mylić.

Na korytarzu skinieniem głowy pozdrowił szpitalnych ochroniarzy, a potem podszedł do automatu telefonicznego tuż za stanowiskiem pielęgniarek. Uznając, że to najbezpieczniejsze - nikt przecież nie nagrywa rozmów prowadzonych ze szpitala - wystukał numer do laboratorium, w którym pracował jego kolega Harvey Brooks. Cały czas nie spuszczał też oka z drzwi do pokoju numer 337. Potem, już ze swojego telefonu z szyfratorem, połączył się z Lowellem.

Rozdział 8

Wystraszona Jessica powoli otworzyła oczy. W ciemnym szpitalnym pokoju panowała absolutna cisza. Ze snu wyrwał ją strach spowodowany nocnym koszmarem. Przez chwilę jeszcze nie wiedziała, czy to jawa, czy sen. W głowie wciąż słyszała wołanie jakiejś kobiety: „Musimy się stąd wydostać...”. Nie wiedziała jednak, kto krzyczy. A może знаła ten głos?

Skupiła się i nagle przeszedł ją zimny dreszcz, a serce zabiło gwałtowniej. Sen natrętnie powracał. Jess otrząsnęła się i rozejrzała. Instynkt podpowiadał, że tak jest lepiej.

Leżała w białym pokoju z zielonymi zasłonami. Choć były zaciągnięte, przez szpary sączyło się słabe światło z zewnątrz. Aparatura medyczna nie pracowała, ponieważ nie zgodziła się na podłączenie do żadnego urządzenia. Po prostu bała się. Przy łóżku czuwała jej matka. W mroku wyglądała na niezwykle zmęczoną. Miała wory pod oczami, co zdarzyło się chyba po raz pierwszy w życiu, a bruzda na czole zdawała się głębsza niż zazwyczaj. Szminka z ust dawno się starła, a zawsze tak starannie zakręcone i ułożone włosy były teraz proste i przylizane. Jej obecny wygląd dowodził tylko, jak bardzo przeżywała wypadek córki.

Judy Ford sięgnęła po dzwoniący telefon; Jessica domyśliła się, że to ten właśnie dźwięk szczęśliwie wyrwał

ją ze straszego snu. Obecność matki ją uspokoiła. Matka miała wiele wad, ale w obronie dzieci była gotowa na wszystko. I Jessica wiedziała, że dopóki jest przy niej, może się czuć spokojna.

- Słucham.

Matka mówiła bardzo cicho. To przecież nie było normalne. A więc coś jest nie tak. Jessica lekko się spięła. Nagle ich spojrzenia się spotkały i mimo panującego mroku Jess dostrzegła lekki uśmiech matki. Taki wyraz twarzy z pewnością nie mógł oznaczać złych wieści.

- Kto mówi?... Sądziłaś idiotko, że nie poznam po głosie, czy to naprawdę ciotka mojej córki? -

Kobieta z furią rąbnęła słuchawką. Gdyby Jess miała więcej siły, pewnie podskoczyłaby tak samo do góry. - Przeklęte pismaki!

- Co się stało?

- Te dranie na wszystkie sposoby próbują wyciągnąć informacje na twój temat. Ron nie mógł zawieźć dzisiaj dzieci do szkoły, bo przed domem stał wielki wóz transmisyjny! Aby ich przepędzić, musiał wezwać policję.

Sarah była w separacji z Ronem i w związku z tym od trzech tygodni mieszkała z dziećmi u matki, za to Grace, która tam dotychczas urzędowała, przeniosła się do Jess.

- Telewizja? - Przed oczami Jess mignął obraz wypalonego samochodu, wywołując nieprzyjemne dreszcze i ucisk w brzuchu. - Pewnie na wszystkich kanałach mówią tylko o śmierci pani Cooper? - Nagle uświadomiła sobie, że jako jedyna osoba, która przeżyła wypadek, znalazła się na celowniku hien dziennikarskich. - Czy reporterzy są też w szpitalu?

- Byli tu jeszcze przede mną i wciąż zjeżdżają nowe ekipy - potwierdziła matka. - Nawet zrobienie tych kilku kroków do samochodu na parkingu to prawdziwy koszmar. A widzisz te sklezione taśmą zasłony? Wyobraź sobie,

że jeden z tych drani wlaźł do sali chorych w skrzydle naprzeciwko twojego pokoju i stamtąd próbował cię fotografować. Kilka razy chcieli też dostać się bezpośrednio do ciebie, ale zatrzymywała ich ochrona.

- Ochrona?

- Tak. Dwaj tajniacy pilnują cię na zmianę. Każdy siedzi pod drzwiami osiem godzin - wyjaśniła z wyraźną dumą, że władza aż tak interesuje się losami jej córki.

Pani Ford знаła prezydenta jedynie z telewizji, dlatego też świadomość, że córka pracuje z osobami znającymi ludzi władzy, wprawiała ją w dumę. Szczególnie duże wrażenie wywarł na matce fakt, że Jessica poznała panią Cooper.

- Naprawdę?

Judy przytaknęła, choć i bez tego potwierdzenia było jasne, że mówi prawdę. Jessica poczuła się nieswojo, a nawet się przestraszyła. Nie wiedziała tylko, dlaczego panikuje na myśl o tajnej policji.

- Wyobraź sobie, że są tu na polecenie samego prezydenta. - Panią Ford rozpierała sięgająca nieba dumą. - Jak mi powiedzieli, chcą nam pomóc i będą pilnować cię tak długo, aż wyzdrowiejesz. A jak się teraz czujesz, moja droga?

No właśnie. Nie najlepiej. Wciąż była dziwnie podenerwowana i miała zawroty głowy. Do tego wszystko ją bolało - głowa, żebra i dolna część kręgosłupa, gdzie ból był wyjątkowo przykry i rwący.

- Moje nogi... - jęknęła, przypominając sobie, że były bezwładne. Bała się, ale próbowała nimi poruszyć.

Okupione przenikliwym bólem zwycięstwo polegało na przesunięciu prawej nogi o parę centymetrów i zgięciu palców u lewej. Więcej prób nie podejmowała, a z uwagi na matkę nawet nie syknęła.

- Rano przyszedł lekarz ze zdjęciami rentgenowskimi i powiedział, że na szczęście nie ma żadnych złamań.

Zalecił środki przeciwbólowe i sterydy, zapewnił, że kłopoty z chodzeniem miną, choć początkowo będziesz zeszywniała i obolała. A potem całkowicie wyzdrowiejesz. Taka perspektywa podniosła Jess na duchu.

- To dobrze - odetchnęła z ulgą. Strach, że będzie do końca życia jeździć na wózku inwalidzkim, nagle ustąpił. Ponieważ nie zanosiło się na to, że umrze lub zostanie sparaliżowana, a bardzo chciała wyzdrowieć, postanowiła zrobić pierwszy krok.

- Czy możesz podnieść mi zagłówek? - zwróciła się do matki. - I jak teraz? - Dużo lepiej.

Jessica mogła już skoncentrować się na poruszeniu nogami. Zaciśnęła zęby, napięła mięśnie i zgięła trochę prawe kolano. Z lewą nogą poszło gorzej, ale i tak udało się ją przesunąć w bok o parę kolejnych centymetrów. Zaraz też pojawił się znany dobrze ból i mrowienie w obu kończynach, ale przekonała się, że wszystko jest, a raczej będzie w porządku.

- Gratuluję! - pochwaliła ją matka.

Jess znieruchomiała na chwilę, czekając na ustąpienie bólu, potem ponownie spróbowała podnieść lewe kolano, zgiąć palce u obu nóg i poruszać na boki stopami. Tym razem ból okazał się nieco mniejszy. Podparła się więc na rękach i wygodniej usadowiła. W końcu odgarnęła włosy ze spoczonej twarzy. Czuła się nieco zeszywniała i jak na razie wszelkie ruchy sprawiały trudność, ale nie zważając na to, uniosła ręce i potarła twarz. Po takiej gimnastyce doszła do wniosku, że musi trochę poleżeć.

- Chciałabym się wykapać.

- Proponuję, abyś na razie umyła twarz i ręce. Zaraz przyniosę miskę i mydło - powiedziała matka.

No tak, chcąc skorzystać z natrysku, musiałyby wstać z łóżka, przejść do łazienki i spędzić tam na stojąco trochę czasu, a na razie nie miała na to siły. Musiała więc poprzestać na misce z wodą i mydle.
- Dobrze.

Kiedy pani Ford zapaliła światło w łazience, Jessica aż drgnęła. W pokoju zrobiło się dużo jaśniej. Spojrzała na zegarek. Nie mając szkieł kontaktowych, widziała jedynie zamazane cyferki. Zmrużyła oczy i przechyliła lekko głowę. Piąta dwadzieścia trzy. Przenikające przez zasłony słabe światło wskazywało, że za oknem był dzień. A więc to popołudnie, a nie rano. Normalnie w niedzielne popołudnie przygotowywałyby się do poniedziałkowych rozpraw sądowych. Chwilę się zastanawiała, nim doszła do wniosku, że najpewniej zaaplikowano jej leki, po których spała ponad dwanaście godzin. Swoją drogą - postanowiła - nigdy więcej nie pozwoli podłączyć się do tego cholerstwa. Ale wyspała się za wszystkie czasy.

Obok zegarka dostrzegła swoje zapasowe okulary w dużych czarnych oprawkach. Pewnie to Grace przyniosła je do szpitala. Zachwycona założyła je i od razu świat stał się piękniejszy, bo wyraźny. Okazało się, że przy łóżku leży też pilot do telewizora.

Najpierw Jessica uznała, że nie powinna oglądać wiadomości, potem jednak pokusa okazała się silniejsza od jej woli i...

Na ekranie ukazała się uśmiechnięta pani Cooper, wymieniająca uścisk dłoni z prezydentem Chile, Jorgem Peresem de Torosem. Chwilę potem, na szerszym ujęciu, zobaczyła jej świecąca cekinami białą wieczorową suknię, lśniące blond włosy, gładką, opaloną skórę i śmiejące się oczy. Choć wiadomości jej nie zaskoczyły, to widok żywej Annette Cooper wywołał niemiłe wspomnienia. Nie odrywając oczu od ekranu, obserwowała, jak prezydentowa

mówi coś do męża, który śmieje się i z aprobatą kiwa głową. Z telewizora płynęły słowa: „... jeszcze dwadzieścia cztery godziny temu małżonka prezydenta brała udział w...”. Tego było już za wiele, Jessica zmieniła kanał.

Tym razem pokazywano Biały Dom i gromadzące się tłumy. Wiele osób miało łzy w oczach. Prawdopodobnie był to przekaz na żywo, gdyż zachodzące słońce ozdobiło właśnie niebo mieszaniną kolorów: pomarańczowego, fioletowego i złotego, a sam budynek rzucał na trawnik wydłużone cienie. Komentator informował:.....tysiące

ludzi zebrało się tutaj, aby oddać hołd zmarłej, której ciało wystawiono na widok publiczny w budynku parlamentu. Annette Cooper zginęła w wypadku samochodowym, zaraz po...”.

Jessica znów zmieniła kanał. Była zdenerwowana, podskoczyło jej ciśnienie i spocily się dłonie. A do tego poczuła mdłości.

Teraz pokazywano nocne zdjęcia z miejsca wypadku i pokiereszowany, przewrócony samochód leżący na dnie wąwozu.

Jess poczuła na plecach dreszcze. Kamerzysta stał na skraju drogi, powyżej dymiącego jeszcze wraku. Na zbliżeniu widać było sflaczałe opony, wypaloną trawę, strażaków, lekarzy, policjantów, żołnierzy i krzątających się wokół samochodu techników policyjnych. Jessica nie miała najmniejszych wątpliwości. To nie była rekonstrukcja miejsca wypadku, lecz autentyczne zdjęcia pokazujące czarnego lincolna, którego Davenport wysłał po Annette Cooper. Nocne ciemności rozjaśniały rozstawione wszędzie lampy i światła reflektorów krążących w powietrzu helikopterów. Oglądała więc film nakręcony niemal bezpośrednio po wypadku.

Prawdopodobnie leżała wtedy nieprzytomna gdzieś w trawie, na zboczu wąwozu.

„...wstępne badania pokazują, że samochód mknął z prędkością około stu czterdziestu kilometrów na godzinę, przy obowiązującym w tym miejscu ograniczeniu do siedemdziesięciu. Pojazdem kierował Raymond Kenny, od czternastu lat pracujący w firmie Executive Limo. Na ulicy Breton mężczyzna stracił panowanie nad kierownicą i pojazd stoczył się po przydrożnej skarpie. W wypadku śmierć poniosły trzy osoby, w tym żona prezydenta, która jechała do szpitala we Fredericksburgu, gdzie zamierzała odwiedzić umierającą znajomą...”.

Jessica nie wierzyła własnym uszom.

Zakreśliło się jej w głowie, więc zamknęła oczy i zacisnęła dłonie, starając się opanować. Jednocześnie odruchowo wyłączyła telewizor. Najwyraźniej w ten sposób organizm sam chronił się przed nadmiarem wrażeń. Niestety, uczucie spadania w czarną otchłań wcale nie ustąpiło, a do tego wrócił wyraźny obraz wypadku.

Rozdział 9

Była noc i Jessica ponownie mknęła samochodem. Coraz szybciej i szybciej, aż poruszała się tak szybko, że migające za oknem pagórki, łąki i drzewa rozmyły się w ciemnościach. Jej serce z niespotykaną siłą pompowało krew. Wreszcie poczuła wstrząs i samochód zatańczył na drodze. Potem krótki, przerażający krzyk, pisk hamulców i...

- Jess? Co się dzieje?

Przez głowę Jessiki ponownie przebiegły usłyszane w telewizji informacje: „żona prezydenta jechała do szpitala we Fredericksburgu, gdzie zamierzała odwiedzić umierającą znajomą...”.

Przecież to kłamstwo, pomyślała nagle niezwykle trzeźwo.

Czemu nas oszukują?

- Córeczko? - Pani Ford szła stronę łóżka, niosąc plastikową miskę wypełnioną wodą, którą przy każdym kroku wychlapywała na podłogę, kostkę mydła, mały niebieski ręczniczek i duży ręcznik w tym samym kolorze. - Czy ty mnie w ogóle słyszysz?

A więc matka sądziła, że Jessica jej nie widzi. Później to przemyśle, stwierdziła i zebrała siły.

- Co? Ach tak. Wszystko w porządku - zapewniła, choć w rzeczywistości tak nie było. Nie chciała jednak, aby matka

wiedziała, że kręci się jej w głowie i paraliżuje ją strach. Właściwie to nie umiałaby opisać stanu, w jakim się znalazła. Na razie, by opanować rozhuśtane emocje, wzięła głęboki oddech. Nie bardzo rozumiała, czemu ukrywa przed matką prawdę, ale musiało tak pozostać.

Po zboczu wąwozu zbiegają jakieś czarne postacie, nikt jej nie zauważa...

- Widzę, że coś jest z tobą nie tak. Wyglądasz gorzej niż wtedy, gdy leżałaś nieprzytomna.

- Trochę boli mnie głowa - powiedziała tylko część prawdy.

Miała spocone dłonie i suche usta, a serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. Do tego czuła się mocno zagubiona i zdezorientowana.

Kim byli ci ludzie? Czy to jawa, czy sen? Powrócił przeżyty koszmar, ale Jessica już nie chciała rozwiązywać tej zagadki. Nie chciała poznać odpowiedzi na dręczące ją pytania.

- A może wezwać pielęgniarkę? - dopytywała się coraz bardziej zmartwiona matka.

- Nie, nie trzeba.

Nie chce już spadać, broniła się, zmuszając umysł do walki ze wspomnieniami.

Czuła przez skórę, że nikt nie powinien dowiedzieć się, że pamięta przebieg wypadku, że wciąż pojawiają się nowe fragmenty układanki, których jednak nie umie złożyć w logiczną całość. Teraz zobaczyła ogień. Na początku niewielki płomień, który nagle zmienił się w słup ognia, obejmujący cały samochód... Jess zamknęła oczy, mocno zacisnęła pięści i przygryzła język. Ból spełnił pokładane w nim nadzieje i ostatecznie rozwiął natarczywie powracający koszmar.

- Jessica?

- To nic takiego. Po prostu boli mnie głowa.

- Leki przeciwbólowe, które dostałaś wcześniej, pewnie już nie działają. Może chcesz drugą dawkę?

- Nie trzeba. Wszystko jest dobrze. Już nie czuję bólu. Pani Ford wyraźnie jej nie wierzyła, więc Jessica zmusiła

się do uśmiechu i zmieniła temat.

- To miło, że czuwaliście przy mnie, gdy byłam nieprzytomna.

- A jak ty to sobie wyobrażasz? Nikt nie zdołałby mnie stąd wyrzucić. Zwłaszcza po twoich opowieściach o nocnym napastniku. - Matka ofuknęła córkę i zaproponowała, że ją obmyje.

- Spróbuję sama - zdecydowała Jess, robiąc dobrą minę do złej gry. Zaczesała włosy, potem zmoczyła ręczniczek w gorącej wodzie. - Może mi się tylko zdawało, że ktoś tu był - rzuciła niby od niechcienia, unikając wzroku matki. Doskonale jednak wiedziała, że nie miała żadnych halucynacji.

Odkąd usłyszała podawane w telewizji kłamstwa na temat pani Cooper, postanowiła zachować szczególną ostrożność i nie upierać się przy swojej wersji. Była jedyną ocalałą osobą, a niektórzy uznali ją też za jedyne go świadka wypadku. Jessice nie podobała się sytuacja, w jakiej się znalazła. Szczerze mówiąc, była przerażona i nie czuła się bezpiecznie. Groziły jej bliżej niesprecyzowane, zakulisowe działania, których wcale nie chciała znać. Postanowiła więc trzymać rodzinę z daleka od wszelkich z tym związanych kłopotów. Dobrze wiedziała, że człowiek mający bliskich jest łatwym celem dla wszystkich, którzy chcą go do czegoś zmusić.

Annette Cooper potajemnie uciekła z Białego Domu - coraz bardziej była o tym przekonana.

- Bez względu na to, co się tutaj naprawdę wydarzyło, nie wyjdę z tej sali aż do końca - oświadczyła pani Ford, szukając w torebce grzebienia.

- Kocham cię, mamo - zadeklarowała Jessica. Była dumna z matki, która bez wahania opowiedziała się po jej stronie.

- Ja też cię kocham, Króliczku.

Tak mówiono na nią w domu, choć siostry uważały, że „Króliczek” wcale do niej nie pasuje i że Jessica nie przypomina bohatera kreskówki - jest chuda, całkowicie pozbawiona seksapilu, stroni od płci przeciwnej i nałogowo czyta książki.

Siostronie, zawsze mogłam na was liczyć, pomyślała, odpowiadając sama sobie głosami rodzeństwa: „Nie ma za co, Klóliczku*”.

- Popatrz, co ci jeszcze przyniosłam - powiedziała zadowolona z siebie matka, pokazując różową szczoteczkę do zębów. Położyła ją obok pasty do zębów i szczotki do włosów.

- Super!

Jessica umyła zęby, a miętowy zapach pasty, na który zwykle nie zwracała uwagi, był teraz niezwykłym doznaniem i przypominał spokojne, codzienne życie.

Poczuła się jak nowo narodzona i po raz pierwszy od chwili odzyskania przytomności naprawdę ucieszyła się, że przeżyła. Na samą myśl o tym, w jakim smutku pograżyłyby się mama i siostry, ścisnęło ją w gardle. To prawda, że każda z nich, także i ona, ma niezły charakter. To prawda, nieraz sobie dokuczały, lecz nieoczekiwanie Jess zrozumiała, że to się teraz zupełnie nie liczyło.

Ważne było to, że w godzinie próby rodzina przy niej trwała.

Na myśl o tym, że Annette Cooper nie miała takiego wsparcia, zrobiło się jej smutno. Aby ukryć napływające do oczu łzy, nachyliła się nad miską i ochlapała twarz wodą. Skóra w kilku miejscach zapiekła, a to sprawiło, że zapomniała o płaczu.

*** Celowe zniekształcenie słowa „Rabbit” na „Babbit”.**

Nagle znalazł się kolejny fragment układanki - przypomniała sobie, że prezydentowa uciekała przed pilnującym ją tajniakiem.

- Pewnie jesteś zmęczona, mamó? - zapytała, chcąc w ten sposób odpędzić natrętne myśli. - Czy ty w ogóle spałaś?

- Tak. Wcześniej była tu Maddie, więc zdrzemnęłam się. Jakaś godzinę temu pojechała z Grace do domu po kilka rzeczy.

Maddie była z nich najmłodsza i niedawno obchodziła osiemnastkę. Tydzień temu wściekła się, że Grace, której w tajemnicy powiedziała o swojej ciąży, wypaplała wszystko Sarah, a ta naturalnie powtórzyła matce. Jedyne, co usprawiedliwiało Grace, choć może nie do końca, był fakt, że nie miała z kim poplotkować, bo Jessiki nie było akurat wtedy w domu. Poza tym wojna domowa to u nich jak najbardziej naturalny stan. Tyle że wyjawienie tajemnicy odbyło się w niefortunnym czasie, bo zaraz po przyznaniu Maddie studenckiego stypendium oraz wybraniu jej do wygłoszenia mowy pożegnalnej w szkole średniej. Pewnie dlatego awantura była naprawdę gigantyczna. Teraz jednak spory przycichły. No cóż, stało się i już. Pewnie za dwadzieścia lat wszyscy będą się tylko uśmiechać na wspomnienie obecnych emocji, a dzisiejszy „problem” stanie się pupilkiem rodziny.

Jess namydliła ręce i delikatnie rozprowadziła mydło po twarzy.

I znów coś sobie przypomniała. O chodzących za nią taj-niakach pani Cooper mówiła „więzienni strażnicy”, a poza tym Pierwsza Dama była wtedy na coś wściekła, i to na coś znacznie bardziej istotnego niż zwykła sprzeczka z mężem. Wygląda na to, że chciała się od niego uwolnić.

- Mamó, kategorycznie się nie zgadzam, abyś nie przespała drugiej nocy - zaprotestowała Jessica. - Przecież jutro idziesz do pracy i musisz wypocząć.

Pani Ford od trzech lat prowadziła świetlicę dla dzieci, w czym pomagały jej Maddie i Grace, studentka uniwersytetu w Maryland. Wcześniej pracowała jako kierowniczka zmiany w należącej do Czerwonego Krzyża fabryce obuwia. Jessica studiowała wtedy na pierwszym roku prawa, dorabiając wieczorami u Davenporta. Potem matka pracowała gdzieś na pół etatu, była też kelnerką, pomocą w klinice weterynaryjnej, sprzedawczynią w sklepie sieci Macy's i dostarczycielką pizzy. Potrafiła zaczepić się w kilku miejscach jednocześnie, a mimo to nigdy pieniędzy nie starczało. Nawet wtedy, gdy siostry podejmowały pracę zarobkową i oddawały kasę matce. Wszystko zmieniło się dopiero z chwilą ukończenia przez Jessicę studiów i podjęcia pracy u Davenporta. Teraz rodzina była zadowolona.

Tak na marginesie, to ciekawe, czy wciąż jestem na liście płac, zastanowiła się. Być może w mojej sytuacji nie powinnam o tym myśleć, ale... potrzebuję pieniędzy. Potrzebuję ich moja rodzina. I tak naprawdę nie znam człowieka, który by ich nie potrzebował.

- Nie pracujemy ani dzisiaj, ani jutro. A pewnie i do końca tygodnia. Poinformowałam wszystkich rodziców. Okazali się wyrozumiali i przyjęli to ze spokojem. Chcąc uczcić pamięć Annette Cooper, wielu przedsiębiorców także dało swoim pracownikom wolne. A wszyscy przecież wiedzą, że jedyną osobą, która przeżyła wypadek, jest moja córka.

Jess nie bardzo rozumiała, o co chodzi.

- Czyżby dzisiaj był poniedziałek?

- A myślałaś, że co?

- Sądziłam, że niedziela - wyznała, opłukując twarz. Po czym wzięła szczotkę i sycząc z bólu, usiłowała rozczesać włosy. A więc minęły już dwa dni. Po raz pierwszy w życiu nie poszła do pracy. Choć z drugiej strony miała

takie zajęcie, które eliminowało potoczne znaczenie dnia roboczego.

- Czy dzwonił może pan Davenport albo ktoś inny z firmy?

- Dzwoniło bardzo wielu ludzi, ale łączono tylko rodzinę.

Było aż tyle telefonów? Pewnie media chciałyby wyciągnąć ode mnie wszystko, co tylko wiem o wypadku, stwierdziła Jess.

To zburzyło z trudem wypracowany, pozorny spokój.

Ktoś - Jessica jeszcze nie wiedziała kto - puścił w obieg fałszywą informację o rzekomym wyjeździe pani Cooper do szpitala. Owszem, Jessica mogła nie pamiętać przebiegu wypadku, ale doskonale wiedziała, co działo się wcześniej. Annette Cooper potajemnie wymknęła się z rezydencji, a Davenport wysłał Jess, aby gdzieś z nią pojechała. Jessica nie pamiętała dokąd, ale z pewnością nie jechali do żadnej chorej we Fredericksburgu. Być może ktoś się pomylił, a być może celowo wprowadzają społeczeństwo w błąd. Mówiąc językiem Davenporta, ktoś chyba robi przekręt. Brak jasnej odpowiedzi na dręczące ją pytania mocno niepokoił Jess. Dodatkowo pamiętała czarne postacie przeszukujące wrak, irytację pani Cooper i jej słowa o roli więźnia w Białym Domu oraz groźną wizytę nieznanego mężczyzny grzebiącego przy kropłównie.

Zagubiona, nie umiała powiedzieć, czy rzeczywiście wokół niej działo się coś niepokojącego, czy też sama mieszała fakty z fikcją. Obstawiała jednak gorszy scenariusz, bo jeszcze nigdy nie miała tak jasnych wskazówek. Obmyślając plan działania, doszła do wniosku, że musi się z kimś podzielić swoimi informacjami, bo w razie czego sama nie da rady. Przypadkowo wplątała się chyba w sprawę, która ją przerasta.

- Mamo, możesz już to zabrać?
- No, od razu wyglądasz dużo lepiej - stwierdziła pani Ford. - Co prawda wciąż nie jesteś tamtą dziewczyną sprzed wypadku, ale jest lepiej.
- Cieszę się, że tak mówisz. Aha, spójrz w lustro, bo chyba rozmazałaś sobie tusz.
- Niemożliwe. Zaraz to poprawię.

W ten sposób Jessica zyskała jakieś dziesięć minut. Krótka chwila, nim matka doszła do łazienki, wydała się jej wiecznością. Ledwie Judy zamknęła za sobą drzwi, Jessica sięgnęła po telefon i wybrała prywatny numer swojego szefa, który dostała od niego w ostatnią sobotę podczas tamtej nocnej rozmowy telefonicznej. Dzięki temu mogła połączyć się z Davenportem bez pośrednictwa jego długoletniej sekretarki Marian Young. W sobotę od razu zapisała numer w pamięci swego telefonu, ale na szczęście zapamiętała go także, bo teraz dzwoniła ze szpitalnego aparatu. Miała szczęście, bo abonent odebrał już po drugim sygnale.

Rozdział 10

K o mówi? - rzucił do słuchawki Davenport, sam się nie przedstawiając. Pewnie na wyświetlaczu zobaczył nieznany numer i zdziwił się, bo ten telefon podawał wyłącznie wybranym osobom pokroju Annette Cooper. A może przestraszył się, że zdobyli go jakoś dziennikarze.

- Tu Jessica Ford - przedstawiła się. Usłyszała westchnienie ulgi.

- To ty? Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że to prawdziwy cud, że żyjesz?

- Oczywiście - odpowiedziała i patrząc na drzwi do łazienki, od razu przeszła do rzeczy: - Czuję, że wokół mnie i w sprawie wypadku dzieje się coś złego. Najpierw jakiś facet zakradł się w nocy do mojego pokoju, tu, w szpitalu, i próbował coś wstrzyknąć do kroplówki. Być może chciał mnie zabić, a poza tym...

- Ale jak mogło dojść do takiego strasznego wypadku? Annette i pozostali... - przerwał poruszony Davenport. Jessica pomyślała, że chyba nie słyszał tego, co mu powiedziała. A może znów jest wstawiony, jak wtedy, podczas tamtej sobotniej rozmowy telefonicznej. - Bardzo się cieszę, że wyszłaś z tego cała. Wierz mi, to wielka radość... - Zdumiona Jessica usłyszała łkanie.

- Oglądałam wiadomości w telewizji i usłyszałam, że podobno pani Cooper jechała do szpitala odwiedzić swoją znajomą, a przecież oboje wiemy, że...

- Ani słowa więcej! - wręcz histerycznie rzucił opanowany zazwyczaj Davenport. - Nic nie mów przez telefon. Ktoś może nas podsłuchiwać.

Na te słowa serce Jessiki zabiło szybciej. Chciała nawet się rozejrzeć, by sprawdzić, czy jest sama.

- A kto miałby to robić?

- Żli ludzie.

- Co takiego? - Puls przyspieszył jeszcze bardziej. Jak widać, Davenporta także dopadł strach. A przecież chciała od szefa usłyszeć zapewnienie, że się myli.

- Tak, tak. Są w tym kraju złe siły. Ludzie, którzy potrafią być niebezpieczni. - Jessica usłyszała, jak Davenport coś przetyka.

- Ale ja nie mam komu o wszystkim opowiedzieć. Jest pan jedyną osobą, której ufam...

- Nie wolno ci paplać przez telefon!

Znalazła się w potrzasku i nie wiedziała, co robić. Uznała, że Davenport może się w każdej chwili rozłączyć, jeśli znowu poruszy temat, od którego uciekał.

- A możemy się spotkać?

- Pomyślę o tym - odpowiedział, wychylając kolejną porcję jakiegoś płynu. - To najlepsze rozwiązanie.

- Czy będzie pan w biurze? Może bym tam podjechała - zaproponowała odruchowo, lecz w chwilę później dodała: - Nie, to niemożliwe. Zapomniałam, że w ogóle nie mogę chodzić. To może pan mnie odwiedzi w szpitalu?

- Wykluczone. Zaraz pisałyby o tym wszystkie gazety. I tak udało im się ustalić, że to ja wysłałem samochód po Annette i wydzwaniamą do mnie na wszystkie oficjalne numery. Nie dam się przydybać u ciebie. Jeszcze nie teraz. A poza tym jestem poza miastem - wyjaśnił,

oddychając ciężko. Po chwili dodał spokojnym już głosem: - W czwartek odbędzie się pogrzeb Annette. Spotkajmy się wieczorem.

Pogrzeb, jak echo powtórzyła w myślach.

- Gdzie? - spytała szeptem.

- U mnie.

Wiedziała, że Davenport miał na myśli waszyngtońskie mieszkanie kupione bez rozgłosu; oprócz tego miał nieruchomości w Georgetown i Wirginii. Oficjalnie w mieszkaniu zatrzymywali się jego klienci, jeśli tylko musieli przenocować w mieście. Jess jednak wiedziała swoje. Dla żonatego mężczyzny było to idealne miejsce na intymne schadzki. W każdym razie odwiedziła go tam dwukrotnie. Raz wieczorem, kiedy to dostarczyła jakieś papiery, a drugi raz wcześniej rano, jeszcze przed pracą. Za każdym razem kątem oka zauważyła stół zastawiony dla dwóch osób, stojącą w kubelku z lodem butelkę alkoholu i bukiet świeżych kwiatów. Wchodziła wprawdzie tylko do przedpokoju, gdzie wręczała żądane dokumenty ubranemu w szlafrok szefowi, ale drzwi do pokoju były zawsze uchylone. Zaraz potem wracała do swoich zajęć. Taki właśnie panował zwyczaj w kancelarii. Nowi pracownicy, których interesował awans, mieli po prostu wykonywać polecenia, bez zadawania zbędnych pytań.

- Pamiętasz adres?

- Oczywiście - zapewniła. Davenport z pewnością celowo nie wymienił nazwy ulicy. Znów zimny dreszcz przeszedł jej po plecach. Niespodziewanie poczuła się podsłuchiwana przez niewidocznych szpiegów.

Choć zachowanie szefa dowodziło, że nie tylko ona wpada w paranoję, wcale jej to nie pocieszyło.

- Podobno mają cię niedługo wypisać ze szpitala. Pojedziesz wtedy do mnie. Na razie nie dzwoń do biura. Wyślę po ciebie sekretarkę. Niestety, nie będziesz mogła

pojechać do domu. I uważaj na dziennikarzy, są wszędzie. Ten cyrk potrwa jeszcze przez kilka tygodni.

Dopiero teraz dotarło do Jess, jak bardzo zmieni się jej życie. Musi unikać mediów, nie może wrócić do siebie...

- Zgoda - odpowiedziała po dłuższej przerwie. -1 jeszcze jedno.

-Tak?

- Musisz zapomnieć o wszystkim, co widziałaś i słyszałaś tej feralnej nocy.

- Rozumiem - odpowiedziała i od razu przypomniała sobie rozmawiającego z hotelowym odźwiernym tajniaka, który w chwilę później biegł w ich kierunku. Tajniak nazywał się Prescott i Jess pomyślała, że nie wystarczy, że tylko ona zapomni o wszystkim. Pozostawali inni, stojący przy drzwiach oddźwierny i... - Przecież i tak dowiedzą się, że pani Cooper była w hotelu.

- Zamilcz! - stanowczo przerwał Davenport. - Nie wolno ci mówić o tym ani przez telefon, ani w jakimkolwiek innym miejscu. Nikt się nie może dowiedzieć, jak było: ani policja, ani prasa, ani twoja rodzina, rozumiesz? Milczysz jak grób. Niczego nie widziałaś, niczego nie słyszałaś, niczego nie wiesz.

- Jasne, jasne - zapewniła, nieźle już wystraszona. Tym bardziej że bał się nawet tak dobrze ustawiony człowiek jak Davenport.

W tle usłyszała przytłumiony dźwięk dzwonka do drzwi.

- Muszę kończyć, ktoś do mnie przyszedł. W czwartek będę w Waszyngtonie, wtedy porozmawiamy, a na razie wszystko, co wiesz, zachowaj dla siebie. I nikomu ani słowa. - Rozłączył się bez pożegnania.

Jak się okazało, w samą porę. W tej samej chwili rozległo się gwałtowne stukanie do drzwi.

Przerażona wypuściła słuchawkę z ręki. Wpatrzona w drzwi zastanawiała się, kto może pukać, zamiast od razu wejść do środka. Z pewnością nie był to ani ktoś z rodziny, ani pielęgniarka... Może jakiś sprytny reporter, któremu udało się zmylić ochronę? A może jeszcze ktoś inny? Ktoś mający złe zamiary...

Serce biło jej jak młot.

Ktoś nacisnął klamkę...

Wstrzymała oddech. Gdyby była zdrowa, mogłaby postąpić zgodnie z regułą „walczyć albo uciekać”. Niestety, zwłaszcza ta druga opcja nie wchodziła w grę. Drzwi już się uchylły, a Jessica nie mogła nawet kiwnąć palcem. Już chciała wołać matkę, gdy ta akurat wyszła z łazienki.

- Jak to dobrze, że... - wyszeptała Jessica.

Pani Ford od razu zauważyła uchylone drzwi, podeszła i bez wahania otworzyła je na oścież.

W milczeniu patrzyła na kogoś, potem jej twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. Jess odetchnęła. Wiedziała, że ktoś obcy nie spotkałby się z tak życzliwym powitaniem matki. Kiedy jednak usłyszała jego imię, zdrętwiała z przerażenia.

- Witam pana, panie Marku - powiedziała pani Ford. Do środka wszedł Mark Ryan. Zanim zamknął za sobą

drzwi, Jessica dostrzegła jeszcze pielęgniarkę, usiłującą właśnie zatrzymać idącą korytarzem nieznaną kobietę, i leniwie opartego o ścianę rosłego, łysego tajniaka, który z poważną miną patrzył na przybyłego. Jess od razu przeszły ciarki.

Zastanawiała się, czy tajniacy mają za zadanie nie dopuszczać nikogo do niej, czy może ją izolować od ludzi.

- Mam dla pani wiadomości. - Mark uśmiechnął się leciutko, wyraźnie zagadując panią Ford. Potem spojrzał na Jessicę i dodał: - To zainteresuje też panią.

Jessica z rezerwą spojrzała w jego stronę.

- Proszę mówić córce po imieniu - zaproponowała pani Ford.

Jess doskonale wiedziała, co matce chodzi po głowie. Zawsze tak dziwnie się zachowywała w obecności przystojnych mężczyzn. Teraz też wciągnęła brzuch, wyraźnie się rozpromieniła i zaczęła gwałtownie gestykulować, co miało zwrócić uwagę na jej okazałą biżuterię. Nie obyło się również bez uwodzicielskiego mrugania oczami. Cóż, Ryanowi nie można było odmówić urody. Był szczupłym, krótko ostrzyżonym ciemnym blondynem, choć pewnie w dzieciństwie jego włosy były dużo jaśniejsze. Miał wyraźne rysy twarzy i niebieskie oczy pod jasnymi brwiami. Do tego dobiła go świetna opalenizna. Wyglądał na tyle dobrze, że z pewnością niektóre kobiety na jego widok natychmiast myślały o konieczności stosowania kremu przeciwzmarszczkowego. Ale miał też nieco za gruby nos i zbyt wąskie usta, a wokół oczu już pojawiły się zmarszczki. Był wysoki, miał pewnie z metr dziewięćdziesiąt wzrostu, szerokie ramiona i był dobrze zbudowany, a granatowy garnitur, biała koszula i granatowy krawat w paski jedynie podkreślały wysportowaną sylwetkę. Krótko mówiąc - facet jak z żurnala.

Po raz pierwszy Jessica zobaczyła Marka, gdy Annette Cooper przyszła do biura Davenporta. Spojrzał wtedy na nią przelotnie, i to wszystko. Towarzyszył jednak pani Cooper także podczas drugiego spotkania. Poprosił wtedy o szklanekę wody dla niej, a dziękując, kiwnął głową i uśmiechnął się tak, że Jessica nie zapomniała tego do dziś. Kiedy dowiedziała się o umówionej kolejnej wizycie pani prezydentowej, nie mogła się doczekać spotkania z Markiem, chociaż nikomu o tym nie wspomniała. A podczas rozmowy gościa z szefem posłała Ryanowi uśmiech, który ten natychmiast odwzajemnił, całkowicie ją tym obezwładniając. Podczas kolejnego spotkania to on przejął

inicjatywę, co tylko dolało oliwy do tłącego się już ognia. Kiedy więc Davenport poszukiwał ochotnika do zanieśienia Annette Cooper jakichś papierów, natychmiast się zgłosiła, choć wiedziała, że będzie musiała odrobić stracony czas i pewnie zostanie w pracy do późnej nocy. Oczywiście chodziło wyłącznie o spotkanie z tym mężczyzną. I choć trudno jej było przyznać się do tego nawet przed samą sobą, po prostu zadurzyła się w nim. Mark był wtedy w pracy, ale - ku jej zaskoczeniu - zachował oschłą, kamienną twarz. Po prostu jej nie poznał. Niezła wpadka, co?

Po powrocie do biura obiecała sobie, że już nigdy więcej nie spojrzy na żadnego przystojnego faceta i nie będzie uśmiechała się do obcych.

A teraz co? Leżała w szpitalu, przyodziana w koszmarne zielone wdzianko, miała brudne włosy i posiniaczoną twarz ze świeżo pozszywanymi ranami, zero makijażu, a dodatkowo na nosie koszmarne okulary w czarnej oprawie.

Chociaż, czym właściwie się martwię, pytała samą siebie. I doznając olśnienia, uznała, że wcale jej na nim nie zależy.

Wprawdzie to on odnalazł ją półprzytomną na miejscu wypadku i pozostał przy niej do przyjazdu karetki, to on rzucił się na pomoc niczym Terminator, gdy walcząc z nocnym napastnikiem, wrzeszczała na cały szpital, a serdeczne zachowanie matki i zwracanie się do niego po imieniu dowodziło, że był tu nie tylko ten jeden raz. A mimo wszystko nic nie wskazywało na to, że przypominał sobie młodą pracownicę kancelarii prawnej, do której przychodził z panią Cooper. Trochę to bolało. Nie odpowiadała jej rola przedmiotu, którego się nie zauważa.

- Czy zgadza się pani na to? - Ryan zwrócił się do Jessiki. Dopiero po chwili zrozumiała, że ma na myśli propozycję matki.

Prawdę mówiąc, tylko niechęć do późniejszego wysłuchiwania lamentów matki skłoniła Jess do wyrażenia zgody.

- To świetnie. Mam na imię Mark.

Niezły numer, pomyślała, będę ci mogła mówić po imieniu. Ale wyróżnienie.

- Miałaś nam coś powiedzieć - zaczęła oschle.

Marzyła o zdjęciu okularów, ale bez nich nie widziałyby dobrze. Mark podszedł bliżej, a za nim, przesadnie poruszając biodrami, szła matka, która z pewnością już wcześniej robiła wszystko, aby zawrzeć z nim bliższą znajomość. I nie miało w tej chwili znaczenia, jakie okoliczności ich połączyły. No cóż. Tak było zawsze i pewnie tak już zostanie.

Jess próbowała spojrzeniem zwrócić matce uwagę, aby się opanowała, ale pani Ford nie reagowała na wysiłki córki, bacznie za to przyglądała się tyłkowi Ryana.

- Pamiętasz, mówiłaś, że ktoś usiłował wstrzyknąć coś do twojej kroplówki.

A więc o to chodzi. Potwierdziła, że wszystko pamięta.

- Muszę się do czegoś przyznać. Zabrałem wtedy pakiet zawieszony na stojaku i zaniósłem do laboratorium. Okazało się, że były w nim wyłącznie zalecane przez lekarza leki.

- To świetnie - odpowiedziała zadowolona pani Ford.

Rozczarowana Jessica zacisnęła usta.

- A więc zmyśliłam ten napad?

- Wszystko wskazuje na to, że miałaś halucynacje.

- Ale ja nie mówiłam, że facet wstrzyknął coś do pakietu. Gdy zorientowałam się, że coś jest nie tak, grzebał przy rurkach wkłutych w moją dłoń.

- Zgadza się i dlatego sprawdziłem wszystko. Żadna z części kroplówki nie była naruszona i w żadnej z nich

nie znaleziono śladów obcej substancji. Laboratorium daje na to pełną gwarancję.

Jessica zamyśliła się. Z tysiąca myśli przebiegających przez jej głowę dwie okazały się najważniejsze.

Pierwsza - nie miałam żadnych przywidzeń, i druga - a może jednak? Ostatecznie zostały trzy możliwości: wszystko nieświadomie zmyśliła, laborant się pomylił lub Ryan kłamał.

Tylko po co miałyby to robić? Przecież wyraźnie widziała mężczyznę, który na ciemny garnitur założył przykrótki fartuch lekarski, i widziała też jego czarne buty.

- To naprawdę wspaniałe wiadomości - cieszyła się Judy Ford, gromiąc córkę wzrokiem. - Już nie musimy obawiać się żadnego zabójcy.

- Co ty nie powiesz - warknęła Jess.

- Sądziłem, że wyniki badań cię uspokoją - wyjaśnił Mark, uśmiechając się zniewalająco.

Jess nie miała jednak ochoty ponownie nabrać się na ten sztuczny uśmiech. Nie odwzajemniła uprzejmości i nawet odwróciła oczy od swojej przesadnie zachwyconej Ryanem matki.

Pograżyła się w rozważaniach: to tajniacy noszą ciemne garnitury i czarne buty. Którego z nich miała na myśli pani Cooper, mówiąc o więziennych strażnikach? No i po co tajniacy pełnili wartę pod drzwiami szpitalnego pokoju, może tylko po to, aby śledzić każdy jej ruch?

- Owszem, uspokoiły mnie. - Jess starała się mówić przekonująco. Nie wierzyła jednak ani jednemu jego słowu. Może w ogóle niczego stąd nie zabierał i nie robił żadnych badań? Co prawda Ryan mógł stać po jej stronie, ale mógł też być wrogiem.

W końcu był tajniakiem.

Gdyby się okazało, że za wszystkim stoi ta właśnie instytucja - choć nie umiałaby określić, co rozumie przez

„za wszystkim” - Ryan automatycznie byłby w to zamieszany. Również w śmierć Annette Cooper. W tym momencie przestraszyła się własnych domysłów, chociaż uświadomiła sobie nagle, że od początku coś jej nie pasowało w sprawie... wypadku. Serce Jess zabiło mocniej, w ustach jej zaschło. Miała jedynie nadzieję, że niczym się nie zdradziła.

Ryan nie spuszczał z niej oczu, zupełnie jakby z wyrazu twarzy chciał odczytać jej myśli.

I oto po raz pierwszy w życiu Jessica była zadowolona z tego, że ma na nosie okulary. Wiedziała, że nawet rentgenowskie spojrzenie Supermana nie mogłoby pokonać jej soczewek.

- Jessica? - Wyraźnie zaniepokojony Ryan zwrócił się do niej, ignorując matkę.

Słyszając w jego głosie pełen wdzięku południowy akcent, Jessica uznała, że to wyuczony manewr podrywacza. Mało tego, jego głos wydał jej się wręcz prowokujący i doskonale uzupełniający się ze znanym jej uwodzicielskim uśmiechem. Musiał pewnie trenować mimikę przed lustrem, pomyślała.

- Wszystko w porządku - odpowiedziała. Pani Ford od razu skarciła córkę wzrokiem.

- Tak, to prawda - zwróciła się do Marka. - Lekarze mówią, że córka długo tu nie zabawi. Musi jeszcze trochę poleżeć i skorzystać z pomocy rehabilitanta. Ma pewne kłopoty z chodzeniem i kilka innych dolegliwości. Poza tym wciąż jest obolała.

Jess wściekła się, nie mogąc wybaczyć matce paplaniny.

- Przykro mi to słyszeć, ale poprawa zdrowia pani córki bardzo mnie cieszy. - Ryan uśmiechnął się do Judy Ford. Następnie spojrzał na Jessicę, a kiedy dojrzał na jej posępnej twarzy przelotny uśmiechopodobny grymas, zapytał: - Czy pamiętasz jakieś szczegóły wypadku?

Mówił ciepłym tonem, przesywając ją jednak wzrokiem na wylot.

Tu cię mam, robaczku, triumfowała Jess.

- Niczego nie pamiętam.

- I oby tak zostało - wtrąciła jej matka. - A po cóż miałabyś pamiętać te okropności? Ja wzdramam się nawet na samą myśl o tym, co się mogło z tobą stać. Lepiej o niczym nie wiedzieć i niczego nie pamiętać.

- Masz rację, mamó - powiedziała Jess tonem, który od razu wydał się podejrzany pani Ford. Jessica jednak nic sobie z tego nie robiła i była nawet gotowa wysłuchać reprimendy.

- Gdybyś jednak coś sobie przypomniała, daj mi znać

- poprosił Mark. - Musimy ustalić wszystkie okoliczności zdarzenia. Byłoby też dobrze, abyś nie rozmawiała z mediami, bo cię zamęczą. Zostaw to nam.

Wiem, o czym mówisz, robaczku.

- Obiecuję, że będziesz pierwszą osobą, której powiem wszystko, co tylko sobie przypomnę - zapewniła, ciesząc się jak dziecko z udanego psikusą.

- I jeszcze jedno. Wiem, że być może jest za wcześnie na takie rozmowy, ale rodzina Cooperów chciałaby, żeby...

- Ryan przerwał, bo ktoś bez pukania otwierał drzwi. Nie było mu to na rękę. Chciał powiedzieć Jessice, czego nie powinna robić.

Rozdział 11

To Dobrze, że nie śpisz - już od drzwi zawołała Grace, niosąca pizzę. Jak zawsze ubrana w obcisłe dżinsy, wysokie buty i czarną skórzaną kurtkę. Za nią pojawiła się Maddie dźwigająca dużą papierową torbę, a na ramieniu okazałą czerwoną torebkę mamy z kosmetykami. Jess uśmiechnęła się, torbę pamiętała od zawsze.

No, skoro wylądowały tu kosmetyki mamy, to już na pewno nie umrę, zażartowała w myślach.

- Cześć! - powitała przybyłe siostry.

- Cześć Jess! Cześć Mark! - powiedziała Grace, uśmiechając się do Ryana i kładąc karton z pizzą na wolnym łóżku. Z mlekiem matki chyba wysłała zainteresowanie przystojniakami, a ci nie pozostawiali obojętni. Zawsze ktoś się przy niej kręcił. Ryan odpowiedział takim samym wyćwiczonym uśmiechem, jakim wcześniej obdarzył Judy i Jess, która musiała przyznać, że wciąż wyglądał zabójczo. Wyraz twarzy Grace wskazywał na to, że i jej Ryan wpadł w oko i wcale nie przeszkadzał jej fakt, że miała przecież chłopaka. Nie pomogło też bogate doświadczenie.

- Na dole była niezła heca. Wiedzą już tam, kim jesteśmy, więc ledwo się do ciebie precisnęliśmy - poinformowała Grace, niby bezwiednie przeczesując włosy palcami. Otworzyła karton.

- O czym ty mówisz? - spytała Jess.

- O dziennikarzach. Zaczaili się na nas na parkingu i od razu zarzucili pytaniami: jak się czujesz, kto cię odwiedza, czy mówisz coś na temat wypadku. Oczywiście milczaliśmy jak grób - pochwaliła się i rozradowana spojrzała na Ryana. Jessica domyśliła się, że to on przekonał jej rodzinę do milczenia. - Wpadłam też do Bruce'a Mińskiego. Prosił, aby powiadomić go, kiedy będzie mógł cię odwiedzić. Mówił, że nie udało mu się dodzwonić ani do szpitala, ani na twój telefon komórkowy. Powiedziałam więc, że i tak by z tobą nie pogadał, bo byłaś nieprzytomna.

Bruce był analitykiem finansowym zatrudnionym w jednej z większych firm zajmujących się rachunkowością. Firma ta pracowała dla Davenporta. Spotkali się już trzykrotnie na kawie i raz Jess zaprosiła go do siebie, mieli przejrzeć papiery finansowe potrzebne do sprawy, w której na prośbę Davenporta miał zeznawać szef Mińskiego. Facet był wyraźnie zainteresowany Jessicą, ona raczej nie, gdyż uznała, że są zbyt do siebie podobni. Oboje okazali się pracoholikami i oboje też nieco niezręcznie czuli się w obecności płci przeciwnej płci. Zdaniem Jessiki mogli być swego rodzaju dziwakami, ale raczej oddzielnie.

- Nie chcę, aby tu przychodził, i zupełnie nie wiem, gdzie jest mój telefon.

- Szkoda, bo to miły facet. A do tego nosi te małe oku-larki...

Jess skrzywiła się i zaraz poczuła dotkliwy ból. Uznała jednak, że może to lepiej, gdyż brak grymasu niezadowolenia na twarzy, a więc zignorowanie Grace, jest lepszą taktyką.

- Mówiłam jej, że powinniśmy pójść do bocznego wejścia, ale ona nie chciała - żaliła się Maddie, kładąc czerwoną torbę obok pizzy i od razu zaglądając do środka. - Coś mi mówi, że lubi kamery.

- To teraz można stać się bohaterką telewizyjnych wiadomości, po prostu wchodząc do szpitala? - pytała zdezorientowana Jess.

Maddie znalazła wreszcie jednorazowe tekturowe talerze i wyjęła je z torby.

- Nie masz pojęcia, co się dzieje na zewnątrz - wtrąciła Grace. - Pewnie nikt nigdzie nie pracuje: ani w mieście, ani w kraju, a może i na całym świecie. Właściwie to masz niebywałe szczęście, że tutaj leżysz, bo nie bierzesz udziału w tym szaleństwie. Dziennikarze bardzo chcieliby z tobą porozmawiać. W końcu jesteś jedyną osobą, która przeżyła.

- Grace, nie męcz siostry. - Matka skarciła ją wzrokiem.

Widząc to, Jess pomyślała, że pewnie coś przed nią ukrywają, ale nie dopytywała się, o co chodzi.

- A więc jemy - zarządziła Grace, nakładając kawałek pizzy na talerz. I dodała, zwracając się do Jess:

- Przyniosłam twoją ulubioną: pepperoni na kruchym cieście.

Zapach pizzy wypełnił pokój i Jess nagle poczuła, że jest głodna. Ostatni raz burczało jej w brzuchu w sobotę około ósmej, gdy przyrządzała w piekarniku kanapki z serem. Czytała wówczas akta przegranych przez kancelarię spraw, szukając argumentów, którymi można by podważyć zapadłe wyroki. To było na kilka godzin przed katastrofą.

- Komu wiśniową colę? - spytała Maddie. Najmłodsza z sióstr niewiele odbiegała urodą od Grace. Zwracała na siebie uwagę przede wszystkim delikatnymi rysami, które nie wymagały żadnego makijażu. Miała długie blond włosy zaczesane gładko do tyłu i podtrzymywane wąską fioletową opaską. Wysoka i zgrabna doskonale wyglądała w szkolnej białej koszuli, granatowej marynarce i spódnicy w kolorze khaki. Do tego białe skarpetki i trampki.

Gdy wyszło na jaw, że jest w ciąży, Jess odchorowywała to przez cały tydzień. Teraz było jej naprawdę miło, że siostra jest obok.

- Poproszę - powiedziała Jess.

Maddie wzięła puszkę w dłonie i wyciągnęła ją w kierunku siostry. Jess zrozumiała, że to próba zawarcia pokoju - tylko ona wiedziała, że Jessica lubi wiśniową colę. Dziewczyny po raz pierwszy spróbowały tego napoju w wakacje. Jess zastąpiła wtedy matkę, która nie mogła się wyrwać z pracy, i odwiedziła wraz z Maddie kilka uczelni, którymi siostra była zainteresowana. Obie miały wielkie plany dotyczące przyszłości Maddie, choć dziś Jess przyznawała sama przed sobą, że to były tylko jej marzenia. Ostatni raz rozmawiały jakiś tydzień przed wypadkiem. Zebrała się wtedy u Jessiki cała rodzina i doszło do prawdziwej kłótni w związku z ujawnieniem się stanu przyszłej studentki. Skończyło się tym, że zapłakana dziewczyna wybiegła na ulicę i zaszyła się na tydzień u swojego chłopaka. Na marginesie warto dodać, że nikt nie miał pojęcia o istnieniu dwudziestoletniego narzeczonego, pracującego w jakimś warsztacie samochodowym. Dlatego właśnie Maddie jako ostatnia z rodziny dowiedziała się o wypadku siostry.

Ale co było, minęło.

- Proszę. - Maddie podała Jess napój, a na stoliku przy łóżku czekała już pizza, którą położyła tam Grace. - Proszę się częstować. - Maddie zachęcała Ryana, uśmiechając się szeroko.

Czyżby i ją zauroczył, zmartwiła się Jessica.

- Dzięki, ale muszę już iść. - Ryan spojrzał na Jessicę. - Gdybyś coś sobie przypomniła lub czegoś potrzebowała...

- Wiem, mam zadzwonić.

- Zostawiłem numer twojej mamie.

- Jess, może za wcześnie na takie jedzenie - zaniepokoiła się nagle pani Ford. - Może lepiej spytać pielęgniarek. - Nic się nie martw. Wszystko będzie dobrze.

Judy odprowadziła wzrokiem wychodzącego Ryana.

- Do widzenia! - rzuciła.

- Cześć Mark! - zawtórowały Grace i Maddie. Ryan pomachał ręką na pożegnanie i zniknął za drzwiami.

- Smakowity kęs - wyznała Grace, przysiadając na łóżku siostry. I nie miała na myśli oczywiście pizzy. - Chętnie bym go schrupała na kolację.

- Jest dla ciebie za stary - skarciła ją matka.

- Może nie powinnam tego mówić, ale skoro zaczęłaś... to dla ciebie jest za młody - odwzajemniła się Grace.

- Nie ma obawy, facet wcale mnie nie interesuje - wyjaśniła pani Ford i z dumną miną odgryzła kawałek pizzy.

- Po prostu jestem mu wdzięczna za opiekę nad Jess. - A potem, zwracając się do najstarszej córki, dodała: - Ty też mogłabyś okazać odrobinę wdzięczności. Zachowywałaś się bardzo opryskliwie.

Jess postanowiła nie reagować. Skoro nie mogła powiedzieć matce prawdy, wołała milczeć. A poza tym, czyż można mówić z pełnymi ustami?

- Moim zdaniem spodobałaś mu się. Był tu kilka razy

- zagadała Grace.

To się nawet zgadza, pomyślała Jess. Przecież ten człowiek truchleje na samą myśl o tym, że mogłaby cokolwiek pamiętać i jeszcze gadać o tym naokoło. Zaraz pojawiły się też inne przemyślenia: A cóż takiego by się stało, gdybym coś zapamiętała? Cóż jest w tym złego? Czyżby to wcale nie był wypadek?

Ostatnia myśl wywołała przejmujący dreszcz. Wróciły podejrzenia, które tak usilnie odrzucała. I wreszcie poddała się - przyznała sama przed sobą: to nie był wypadek.

Przełknęła kęs pizzy, niemal się nim dławiąc. Jasno sformułowała podejrzenie i nic już nie zdoła wybić jej tego z głowy. Oczywiście nie miała żadnych dowodów i nawet nie chciała ich mieć. Zdawała sobie sprawę, że byłoby to nie na rękę tym, którzy zorganizowali wypadek. I doskonale też wiedziała, że w razie czego i tak nie zdołałaby niczego nikomu udowodnić.

Rozdział 12

Właściwie to nie skłamałem, uspokajał sam siebie Ryan.

Wszystko było zgodne z faktami, pocieszał się, wciąż jednak rozważając, czy dobrze zrobił. Wyrzucał sobie, że nie o wszystkim wspomniał. Zatem jest kłamcą. To prawda, że badania nie wykazały obecności żadnych obcych substancji w kroplówce. W porządku okazała się zarówno zawartość woreczka, jak i wychodzące z niego rurki. Ryan zataił jednak brak wenflonu, a miał niemal stuprocentową pewność, że nie było go już wtedy, kiedy dyskretnie pakował wszystko do kieszeni. Początkowo nawet myślał, że zaplątał się gdzieś w kieszeni garnituru albo wypadł na parking, gdzie przekazywał Brookesowi materiał do badania, ale wszystko sprawdził i niczego nigdzie nie znalazł. Do tego kumpel nieźle go objechał za sposób, w jaki obchodził się z dowodami, i natychmiast wsadził kroplówkę do specjalnej plastikowej torebki. Jedno było pozytywne, że badania niczego nie wykazały. A Brooks naprawdę był bardzo dokładny i solennie zapewnił, że znalazł jedynie sól fizjologiczną.

I tu zaczynały się schody.

Ryan zapoznał się ze szpitalną kartą Jessiki, z której wynikało, że po przyjęciu na oddział dostała kroplówkę

z wieloma lekami. Brooks tymczasem zarzekał się, że żadnego z nich nie znalazł. Ani jednego. W kroplówce była tylko sól fizjologiczna. Najmniejszego nawet śladu krwi, a przecież po wkłuciu igły pielęgniarka nabiera trochę krwi, aby upewnić się, że wenflon jest drożny. Jak widać, w przypadku Jess było inaczej. No i przepadł też wenflon, bez którego nie można podawać kroplówki.

Co to mogło oznaczać? Ryan znalazł odpowiedź. Ktoś podmienił kroplówkę i w efekcie on wyniósł ze szpitala nie to, co trzeba. Bo nie do tego sprzętu podłączono Jess.

Możliwe naturalnie były też inne rozwiązania. Najbardziej prawdopodobne wydało mu się jednak podmienienie kroplówki, i to w bardzo krótkim czasie - między zerwaniem przez Jess wenflonu a jego przybyciem do pokoju.

A to, niestety, oznaczało, że istotnie ktoś tam był. Jessica niczego nie zmyśla.

Mało tego, Ryan zakładał, że intruz chciał pozbawić ją życia, a gdy zorientował się, że nie da rady, zdołał podrzucić nową kroplówkę, a tamtą zabrać. Musiał zdawać sobie sprawę z tego, że ujawnienie zawartości kroplówki rzuciłoby nowe światło na sprawę wypadku prezydentowej. I do tego zdołał jakoś wymknąć się na zewnątrz.

Ryan przymknął oczy i po raz setny odtwarzał wnętrze pokoju, takie, jak je po raz pierwszy zobaczył. Przypomniawszy sobie, że był bardzo spięty, że ostrożnie rozglądał się dookoła, zachowując czujność i gotowość do walki. Sam pokój rysował się w jego pamięci jako mieszanina rozpraszających uwagę półcieni. Zapamiętał zasłony, które poruszyły się, gdy gwałtownie otworzył drzwi, przesunięte łóżko i otwarte drzwi do łazienki.

Skupił się wtedy na szukaniu rannej. Być może napastnik wykorzystał to i umknął, gdy klęczałem obok leżącej na podłodze Jessiki? Ale zaraz odrzucił taką możliwość. Przecież tuż za nim biegły pielęgniarki,

które z pewnością rozpoznałyby obcego. A może facet ulotnił się później, wykorzystując zamieszanie, gdy w pokoju zebrało się już więcej osób. Wystarczyłoby sprawdzić nagrania z kamer i ustalić, kim są osoby, które wtedy pojawiały się przed drzwiami pokoju Jess. Problem polegał na tym, że ktoś skasował nagrania ze wszystkich kamer na tym piętrze. Błąd obsługi czy coś poważniejszego? Obstawiał drugi wariant.

- Lowell, nie wmawiaj mi, że nic się w szpitalu nie stało - natarł na siedzącego obok szefa, pijącego kawę i spokojnie przeglądającego menu.

Spotkali się w jednej z restauracji w dzielnicy zwanej Anacostia, gdzie rzadko kiedy zaglądali dziennikarze.

- A ty ciągle jeszcze o tej sprawie? Ile razy mam ci powtarzać, że bez względu na to, czy ktoś tam na kogoś napadł, czy nie, nie zajmujemy się tym przypadkiem.

Ryan spojrzał na Lowella, ale nie zdążył mu odpowiedzieć, bo zauważył zbliżającą się do nich kelnerkę. W knajpie nie było zbyt wielu gości. Przy jednym stoliku siedziało dwóch mężczyzn, prawdopodobnie kierowców, którzy pałaszowali obfite śniadanie, przy drugim para emerytów jedzących pączki i przeglądających gazety, a trzeci okupował jakiś zaniedbany, prawdopodobnie bezdomny mężczyzna ślęczący nad kawą.

- Może kawy? - zaproponowała kelnerka.

Tego właśnie potrzebował Ryan - kofeiny. Był zmęczony, gdyż całą noc przesiedział w Quantico, gdzie przewieziono wrak samochodu. Choć oficjalnie nie mógł oglądać auta, to dzięki kolegom nie tylko jeszcze raz rzucił na nie okiem, ale przeczytał też opinię biegłych techników. Według nich przyczyną wypadku była nagła zmiana toru jazdy, prawdopodobnie spowodowana wtargnięciem na drogę jakiegoś zwierzęcia, choć oczywiście były to tylko spekulacje. W tej sytuacji informowanie opinii publicznej, że Annette

Cooper jechała w odwiedziny do leżącej w szpitalu znajomej miała ręce i nogi, uznał Mark. A przecież doskonale wiedział, że nie była to prawda, mimo że - co wcześniej sprawdzono - w tamtym szpitalu istotnie leżała jakaś znajoma prezydentowej. Dlatego sprawa wypadku wciąż nie dawała mu spokoju. Obiecał sobie, że nie spocznie, dopóki nie wyjaśni wszystkiego.

- Jessica Ford nie ma pojęcia o uzależnieniu Annette Cooper i niczego też nie pamięta. Zupełnie niczego, więc nie jest groźna - oświadczył ponurym tonem, gdy odeszła kelnerka.

Lowell wytrzymał jego spojrzenie.

- Na pewno?

Kelnerka znów się pojawiła przy ich stoliku.

- Co panowie zamawiają?

Lowell wymienił kilka pozycji z menu, po czym założył na głowę bejsbolówkę z nazwą drużyny Orioles i zdjął marynarkę. Ryan pomyślał, że chce w ten sposób zachować anonimowość; w niebieskiej koszuli i krawacie nie wyróżniał się spośród innych klientów. Rumianą twarz Lowella z łatwością rozpoznawano w kręgach rządowych, ale tu był jednym z wielu nieznanym nikomu klientów. Dlatego właśnie umówili się w tej knajpie. Mieli nadzieję, że nikt nie dowie się o ich spotkaniu.

- A dla pana?

Ryan wybrał jajka na boczku, tost i sok pomarańczowy. Musiał coś zjeść, bo prawdę mówiąc, od chwili gdy znalazł się na miejscu wypadku, ani nie jadł, ani nie spał. Do tego wciąż męczyła go myśl, że wszystko stało się na jego zmianie.

Gdy tylko kelnerka odeszła, wlepił wzrok w Lowella.

- Oczywiście, że niczego nie pamięta.

- Skoro tak jest, to może mi powiesz, dlaczego wczoraj dzwoniła do Davenporta i mówiła, że telewizja kłamie, podając historyjkę o znajomej w szpitalu.

Ryana zatkało.

- Podsluchujecie jej rozmowy?

- Jasne. Za dwa dni pogrzeb i nikomu nie są potrzebne żadne rewelacje.

Mark był wprawdzie tego samego zdania, czuł jednak, że ktoś tu nieczysto pogrywa. Cóż, on też miał sposoby, aby w razie czego zrobić wokół tego zadymę. Na razie próbował podejść Lowella:

- A więc jednak usiłowano zgładzić Jessicę?

- Ależ skąd! Przecież mówiłem, że nie. Nikt nie zakradał się do tej... no, jak jej tam... do tej panienki. Za kogo mnie bierzesz?

Kelnerka przyniosła zamówione potrawy, upewniła się, że niczego więcej nie chcą, i odeszła.

- Chciałbym, żebyś zapewnił, kogo trzeba, że ta kobieta nie jest groźna. Powiedz im, że wszystko mam pod kontrolą.

- Pamiętaj, że to ja tu dowodzę - odpowiedział Lowell, polewając jajka keczupem.

Mark odwrócił wzrok, bo na ten widok żołądek podszedł mu aż do gardła. Stwierdził, że niczego nie zdoła przełknąć.

- Musisz wydebić od niej podpis na zobowiązaniu do milczenia - ciągnął Lowell. - Możesz jej obiecać każdą sumę. Poza tym powinna, aż do czasu wygaśnięcia emocji związanych z wypadkiem, opuścić miasto. Sprawdziłem, jej rodzina nigdy nie śmierdziała groszem. Pewnie ucieszy się z twojej propozycji.

- Taki dokument ma zasadniczą wadę: istnieje. Jeżeli podsunę jej coś takiego, będzie to oznaczało, że jest co sobie przypominać - stwierdził Mark. - A gdyby wpadł przypadkiem w ręce dziennikarzy, media zaraz by się rozwrzeszczały o spisku i próbie ukrycia faktów przed opinią publiczną.

- Owszem. Chcemy zachować dla siebie uzależnienie Cooper od prochów, bo po nie przecież wysłała na miasto.

- To pewne?

- Wszystko na to wskazuje. Znasz może inny powód, dla którego cichcem znikałaby z rezydencji? Przecież miała przy sobie kupę gotówki.

- Rozumiem.

Ryan się zamyślił. Uświadomił sobie, że nie wie jeszcze paru rzeczy, na przykład tego, jak pani Cooper się w tamten wieczór czuła i czy oprócz Prescottta ktoś jeszcze pilnował jej podczas spaceru? A wszystko dlatego, że wysłano go na przymusowy płatny urlop. Najwidoczniej zaczęto ode mnie, uznał. Zajmował się wprawdzie panną Ford, robił to jednak nieoficjalnie, na wyraźne polecenia Lowella. Szef, tak jak wszyscy pozostali, wiedział, że jest lojalny i nie narobi kłopotu.

Analizując sytuację, Mark doszedł do wniosku, że po uszy siedzi w gównie, i do tego sam też musi sobie radzić z hordami dziennikarzy. Najgorsze jednak było to, że odcięto go od źródeł informacji. A dręczyło go tyle pytań dotyczących tamtej feralnej nocy. Nie mógł na nie odpowiedzieć bez przejrzenia nagrań z kamer zainstalowanych w rezydencji, a jako urlopowany nie miał do nich dostępu. Wszystkie trafiły do specjalnie utworzonej grupy dochodzeniowej. Co prawda szef zapewniał, że sprawę bada się na najwyższym szczeblu, ale odmówił włączenia Ryana do grupy.

Wciąż powtarzał, że ma się zajmować wyłącznie Jessicą Ford, a śledztwo pozostawić innym. Tyle że ci specjaliści nie wiedzieli o uzależnieniu prezydentowej, nie mogli więc pójść właściwym tropem. A może o to właśnie chodziło? A może z wiekiem stawał się coraz bardziej podejrzliwy? I doświadczony, ma się rozumieć.

- Co proponujesz? - spytał Lowell, nabijając parówkę na widelec i odgryzając duży kawałek.

- Można zaoferować jej pieniądze, ale trzeba znaleźć pośrednika. Przyjęcie forsy bezpośrednio od nas rodziłoby zbyt wiele pytań. Lepiej nie pobudzać panny Ford do myślenia. Przecież zadowolimy się milczeniem i czasowym tylko zniknięciem.

- Zgoda. Zajmiesz się wszystkim?

- Jasne.

- A więc sprawa załatwiona - podsumował Lowell, połykając ostatni kąsek, wypijając do końca kawę i wstając od stołu.

- Jeśli tylko nic się jej nie stanie.

- Przecież jak na razie nic się nie stało.

Czujna kelnerka ruszyła do nich z rachunkiem, ale Lowell zdążył już wyjść. Mark czuł boleśnie ściśnięty żołądek, niczego przecież nawet nie tknął. Musiał chociaż zapalić. Obiecał sobie wprawdzie cztery lata temu, że już nigdy tego nie zrobi, ale teraz dałby wszystko za jednego.

Już dawno odkrył, że bardzo źle znosi stres.

- Czy nie smakowało panu? - spytała kelnerka, stojąc nad nim z rachunkiem. Lowell, jak widać, uznał, że został przez swego podwładnego zaproszony.

- Prawdę mówiąc, wcale nie byłem głodny - odpowiedział, kładąc na stół dwie dwudziestki.

Gdy owiał go rześki kwietniowy wiatr, roześmiał się, stwierdzając, że właściwie niczego podczas tego spotkania nie załatwił.

Oto wstawało słońce, zaczynał się nowy dzień i Ryana czekał pogrzeb Prescottta.

Rozdział 13

Okazuje się, że wyprowadzenie dziennikarzy w pole wcale nie jest takie trudne, stwierdziła Jessica, wyglądając przez szybę helikoptera. Udało się jej też wymknąć Ryanowi, który nieustannie krążył wokół niej i rodziny. Wykorzystała chwilę, gdy nie było go w pobliżu i natychmiast wsiadła do helikoptera. Szpital opuszczała w wyjątkowo dogodnym momencie, akurat wtedy, gdy na cmentarzu trwały uroczystości pogrzebowe Annette Cooper.

Na samą myśl o tym poczuła mdłości. Choć może to nie dlatego, tylko z powodu bujania maszyną przelatującą właśnie nad Potomakiem. Odkąd podjęła pracę u Davenporta, już kilka razy latała śmigłowcami, a mimo to panorama Waszyngtonu, a zwłaszcza miniaturowy z tej wysokości budynek Kongresu, zawsze robiły na niej ogromne wrażenie.

Podobnie było i dzisiaj.

- Pan Davenport oddał ci swoje mieszkanie do dyspozycji. Uważa, powinnaś zostać w nim przynajmniej kilka tygodni - poinformowała ją Marian, siedząca obok Jessiki sekretarka szefa.

- To miło z jego strony.

Ta wysoka, szczupła, zawsze elegancka sześćdziesięcioletnia panna była całkowicie oddana Davenportowi. Dbała przede wszystkim o niego, a dopiero potem o firmę.

Dziś także wyglądała niezwykle schludnie. Na głowie miała misterny kok, ubrana była w szary kostium i bluzkę w kolorze lawendy, a jej makijaż był staranny, ale nierzucający się w oczy. Marian zawsze była gotowa na każde zawołanie szefa, ale gdy nie była mu akurat potrzebna, po prostu stawała się niewidoczna. Szef jednak co chwila ją wołał. Gdy tylko jakaś sprawa nie trafiła do działu analiz, w którym pracowała Jessica, można było w ciemno obstawiać, że zajęła się nią właśnie Marian. Do tego sekretarka znała Davenporta lepiej niż jego młoda, trzecia żona. To ona wysyłała w jego imieniu prezenty, robiła rezerwacje, odbierała telefony, ustalała kalendarz spotkań i robiła z nich notatki. No i była niezwykle dyskretna. Gdyby kiedykolwiek okazało się, że Davenport ma przed Marian jakieś sekrety, Jessica pewnie by w to nie uwierzyła.

Marian wyjaśniła Jess, że szef przysłał po nią helikopter w trosce o to, by jak najmniej osób wiedziało, gdzie teraz zamieszka.

No i będę bezpieczniejsza, pomyślała Jessica. Zastanawiała się, czy Davenport podzielił się z sekretarką obawami dotyczącymi wypadku Annette Cooper, me zamierzała jednak nagabywać Marian w tej sprawie. Najpierw pogada z szefem. On będzie już wiedział, co powinna zrobić i kogo ewentualnie poinformować o swoich podejrzeniach, i to bez narażenia się na odstrzał. Jak na razie nie mogła nikomu wierzyć - ani policji, ani pracownikom Federalnego Biura Dochodzeniowego, a już na pewno nie tajniakom z Białego Domu. Tyle razy nachodzili ją w szpitalu, ale w kółko powtarzała, że niczego nie pamięta, i może dlatego dali jej wreszcie spokój.

A przecież zdołała ich zmylić i opuścić szpital o dobę wcześniej, niż to było zaplanowane. Na samą myśl o tajniakach czuła ciarki. Ci faceci w czarnych garniturach

łazili za nią wszędzie - na prześwietlenia, analizy i zabiegi rehabilitacyjne. I bez przerwy ją obserwowali. Nawet pół godziny temu, kiedy wsiadała do windy. Jessica nie знаła ich wszystkich, ale i oni nie mogli wiedzieć o niej wszystkiego. Nie oponowali więc, gdy powiedziała, że chce na osobności porozmawiać ze znajomą; kiedy została sama, natychmiast pobiegła na lądowisko dla helikopterów i w ten prosty sposób uwolniła się spod krępującej obserwacji.

Ucieczka ze szpitala, bo Jess tak właśnie traktowała wcześniejsze opuszczenie placówki, przywróciła jej spokój i poczucie wolności. Aż trudno uwierzyć, że tak łatwo poszło. Z pewnością ułatwiła to nieobecność Ryana, który był akurat na pogrzebie Annette Cooper. Kto wie, co by się działo, gdyby wciąż tkwił obok niej.

Jessica nie poinformowała ani matki, ani sióstr, gdzie dokładnie się zatrzyma, powiedziała tylko tyle, że na razie zamieszka w jednym z mieszkań Davenporta. Grace spakowała więc najpotrzebniejsze rzeczy siostry i przyniosła je do szpitala. Kiedy jednak po łzawym pożegnaniu z matką, Sarą, Grace i Maddy, Jessica miała już zniknąć, Judy Ford oznajmiła zniechęcona, że jedzie z córką. Na szczęście zdołały ją przekonać, że pan Davenport wie, co mówi - sam wielokrotnie już wychodził z najróżniejszych opresji i w tej sytuacji należy przyjąć jego plan działania. Judy Ford, chociaż bardzo niechętnie, ustąpiła. O dziwo, pomogły w tym składane przez dziennikarzy okupujących szpital i dom pani Ford propozycje przeprowadzenia z nią wywiadów, poparte naturalnie znacznymi sumami.

- Nic się nie martw, mamó. Dam sobie radę - zapewniała ją Jessica. Chciała jak najszybciej rozstać się z rodziną, obawiając się, że przypadkowo wygada cokolwiek na temat wypadku. A to - jak dedukowała - mogłoby spowodować na nich kłopoty. Prawdę mówiąc, podejrzewała, że już samo przebywanie z nią może się źle dla nich skończyć.

I co najważniejsze, była przekonana, że wcale się nie myli.

- Szef prosił - odezwała się Marian - abyś się nie martwiła o pensję. Wczoraj dopilnowałam, aby znalazła się na twoim koncie. Dodał też, że otrzymasz sowitą rekompensatę.

Jessicę bardzo ucieszyła taka perspektywa; chyba normalne odczucie w przypadku człowieka, którego rodzina przez całe życie ledwo wiązała koniec z końcem.

- Rekompensatę? - powtórzyła, starając się ukryć podniecenie.

- Brałaś udział w wypadku samochodowym, za który odpowiada firma będąca właścicielem wozu i zatrudniająca kierowcę. Normalnie taka procedura trwa miesiącami, a czasem nawet latami, ale szef przyspieszył wszystko i wystarczy, że podpiszesz odpowiednie dokumenty - wyjaśniła nieco zirytowana Marian.

Jess zwróciła uwagę na to, że język, jakim posługiwała się kobieta, był charakterystyczny dla prawników, wśród których przepracowała tyle lat.

- A jakie to dokumenty? - zaniepokoiła się nagle. Z doświadczenia wiedziała, że zazwyczaj dobre informacje wiążą się z kłopotliwymi warunkami. - A ile dostanę?

- O wszystkim powie ci pan Davenport.

- Kiedy się spotkamy?

- Gdy tylko uzna za stosowne.

- Nie mogę się już doczekać - zapewniła, starając się panować nad głosem.

Dotychczas Jessica i Marian wyraźnie się lubiły, chociaż nie można by tego nazwać przyjaźnią, teraz jednak Jessica zastanawiała się, czy w głosie Marian nie brzmia nutki zazdrości i niepokoju o pozycję zajmowaną w życiu szefa. W końcu powierzał Jessice coraz poważniejsze zadania.

Rozmowa się urwała. Jessica spojrzała w dół i niezmiernie się zdziwiła, widząc zupełnie puste ulice - obwodnicę, drogę numer 295 i inne ważniejsze drogi dojazdowe. Wszystkie samochody stały na poboczach, a niezliczone migające światła dowodziły, że to policjanci blokowali przejazd. Równie niezwykle wyglądało centrum miasta, dosłownie zatłkane tysiącami ludzi, szczelnie wypełniających przestrzeń od pomnika Lincolna aż do Kapitolu.

Był to w końcu dzień żałoby, wolny od pracy.

Jessica widziała auta posuwające się w żałobnym kondukcje, z góry przypominające maleńkie modele samochodowe, które uwielbiał jej siostrzeniec. Kawalkada, prowadzona przez ozdobiony flagami samochód, powoli zmierzała w kierunku gmachu Kongresu, gdzie wystawiono trumnę na widok publiczny, potem miała pojechać do katedry.

Była pierwsza trzydzieści i do ceremonii zostało jeszcze pół godziny. Do uszu Jess docierał jakiś bliżej niezidentyfikowany dźwięk, z trudem przebijający się przez wycie silnika śmigłowca. Po chwili dopiero zrozumiała, że to bicie dzwonów.

Nagle miała już tego dość. Poczula narastający żal. W jednej chwili znów była w hotelowym barze i obserwowała ubraną w dres kobietę, która wychylała kolejkę za kolejką... Przymknęła oczy i cicho pomodliła się za Annette Cooper, za jej ochroniarza i za kierowcę. Podziękowała też za ocalenie.

Kiedy otworzyła oczy, napotkała nieprzyjazne spojrzenie Marian.

- Radziłabym nie obnosić się z taką miną przy szefie. Pan Davenport sądzi bowiem, że gdyby wtedy osobiście pojechał do hotelu, z pewnością nic by się nie stało.

Jej słowa oznaczały ni mniej, ni więcej oskarżenie o spapranie roboty. Jess wiedziała jednak swoje, ale

- istotnie - do tej pory nie zastanawiała się, czy i Davenport myślał

podobnie jak ona. W każdym razie nie ponosiła najmniejszej winy za wypadek. Niczemu nie mogła zapobiec. Przecież i ona była w spadającym do wąwozu samochodzie, tyle tylko, że przeżyła.

I jak na razie nadal jeszcze żyje.

Ta refleksja wywołała zimny dreszcz, który przeszedł jej po plecach.

- Gdyby to pan Davenport pojechał, z pewnością podzieliliby los tamtych.

Marian nie zareagowała na te słowa. Zaciśnęła tylko wargi i tępo patrzyła przed siebie. Za to Jessica podziwiała błękitne niebo i białe obłoki. Dzień był pogodny, z lekkim wiatrem przesuwającym chmury. Wystarczył moment na dachu szpitala, aby zdążyła poczuć świeże zapachy wiosny: zieleniejącej trawy, rozwijających się listków i kwiatów.

Pogrzeb zdecydowanie nie pasował do budzącej się do życia przyrody.

Nagle rozległ się dźwięk telefonu. Jessica była zaskoczona, chociaż po chwili uznała, że to oznaka powrotu do normalnego życia. Sięgnęła do torebki i spojrzała na wyświetlacz - Laura Ogilvy, jedna z koleżanek z pracy. Marian nie kryła zainteresowania, kto też może dzwonić, a to spowodowało, że Jessica po prostu zignorowała Laurę.

- Nie odbierzesz? - spytała wyraźnie zaintrygowana Marian.

- Mam słabe baterie, poza tym nie jestem w nastroju na ploty.

I rzeczywiście. Bardziej niż rany fizyczne dokuczał jej stan psychiczny. Dobrze wiedziała, co się dzieje i co się jeszcze może wydarzyć. Niestety, pamiętała też tamten feralny wieczór....

Helikopter dotarł do celu, którym był ogromny kompleks biurowo-mieszkaniowy Watergate. Miejsce znane

z tego, że tu właśnie, w jednym z budynków, miały miejsce nielegalne działania prezydenta Richarda Nixona skierowane przeciwko Partii Demokratycznej, co skończyło się dla niego dymisją.

Pilot posadził maszynę na dachu jednego z wysokościowców. Jessica zauważyła na dole fontannę, trawniki i strzyżone żywopłoty. Łopaty wirnika obracały się coraz wolniej, po chwili pilot otworzył drzwi. Jessica zdążyła się już wypiąć z pasów bezpieczeństwa. Pilot wyciągnął wózek inwalidzki, potem wysiadła Marian, a po niej Jess. Od razu poczuła chłodny, przenikliwy wiatr, który zdawał się walczyć ze słoneczną pogodą. Z trudem podeszła do wózka i z prawdziwą ulgą usiadła. Marian z zaciętą miną niosła za nią torebkę. Chwilę później znalazły się w mieszkaniu.

- Skoro jesteśmy na miejscu, mogę już powiedzieć, że szef jest dziś cały dzień zajęty i z pewnością nie przyjedzie. Zadzwoń dopiero koło szóstej i wtedy będę wiedziała coś więcej - poinformowała sekretarka.

Jessica, nie zwracając na nią uwagi, rozglądała się po pokoju. Białe skórzane sofy i krzesła, stół o szklanym blacie. No i wielkie, panoramiczne okno. Oczywiście zwróciła uwagę na delikatne zaakcentowanie przez Marian, że to ona pierwsza pozna instrukcje szefa; miała więc rację, że tamta boi się o swoją pozycję w firmie. Z okna rozciągał się piękny widok na kanał Georgetown i Wyspę Roosevelta na Potomacu; pewnie to z powodu żałoby na rzece nie dostrzegła żadnej łódki ani barki. Marian tymczasem usiadła na kanapie i włączyła telewizor.

Pokój wypełniły monotonne dźwięki marsza pogrzebowego. Kamera pokazywała właśnie wejście do neogotyckiej katedry. Serce Jess zabiło gwałtownie, a w gardle pojawiła się bolesna suchość. Mocniej zacisnęła dłonie na poręczach wózka.

Po obu stronach szerokich schodów stali bez ruchu żołnierze piechoty morskiej. Za trumną, niesioną przez sześciu oficerów, szedł blady jak ściana prezydent, za nim syn i córka z rodzinami, potem Wayne Cooper, prezydencka siostra Elizabeth i pozostali członkowie rodziny, których Jessica nie знаła. Konduktowi towarzyszyli liczni tajniacy, a każdy z nich miał w uchu małą słuchawkę. U stóp schodów stał karawan, a za nim cała kawalkada samochodów. Po drugiej stronie ulicy parkowały wozy transmisyjne z talerzami anten satelitarnych na dachach. Wokół nich, tuż za barierkami pilnowanymi przez mundurowych, usadowili się dziennikarze relacjonujący na bieżąco uroczystości. Jess nie zauważyła żadnych innych pojazdów. Ulica była pusta. Ciekawscy zajmowali chodniki, wzdłuż których także ustawiono bariery, a wszędzie kręciła się policja. Kamera powoli przesuwała się ponad ludźmi.

„...i oto obserwujemy tragiczny koniec tej sensacyjnej historii. Ciało z trumną Annette Cooper wnoszone jest właśnie po schodach katedry. Pięć lat temu jej mąż został wiceprezydentem, zastępując zmarłego Thomasa Haynesa. Wtedy mieliśmy okazję bliżej poznać panią Cooper. W listopadzie bieżącego roku David Cooper złożył przysięgę prezydencką i już wkrótce jego żona podbiła serca obywateli. Za życia zajmowała się problemami edukacji, literaturą i...”.

- Nasz szef także jest na pogrzebie. Ja też zostałam zaproszona, ale musiałam pojechać po ciebie - poinformowała zła jak osa Marian.

- Bardzo mi przykro z tego powodu. - Jessica wyraźnie próbowała ratować sytuację, chyba jednak robiła to nieudolnie, bo Marian bez słowa wróciła do oglądania transmisji.

Kiedy Jessica powtórnie spojrzała na ekran, zobaczyła nagle coś zupełnie innego - nocne zdjęcia, czerwono

-niebieskie światła karetki ratunkowej i ciemnowłosą kobietę wnoszoną do ambulansu. Osłupiała - relację z pogrzebu przerwano, pokazując zdjęcia z miejsca wypadku samochodowego. Jakby tego było mało, na noszach leżała właśnie ona, Jessica, a komentator informował: „... .ocalała to Jessica Ford. Prowadzący śledztwo mówią, że panna Ford nie pamięta tamtego wieczoru. Wiadomo jednak, że to na prośbę długoletniego przyjaciela i prawnika Annette Cooper towarzyszyła wtedy Pierwszej Damie podczas wyjazdu do szpitala...”.

Po tych słowach pokazano Davenporta wchodzącego akurat do katedry razem z żoną Brianną, wysoką, atrakcyjną blondynką, była modelką. Prawnik także wyglądał imponująco - pięćdziesięcioośmioletni mężczyzna, pięknie opalony, z nieco tylko przerzedzonymi siwymi włosami i sumiastymi wąsami tego samego koloru. Oboje ubrani na czarno, w dużych przeciwsłonecznych okularach idealnie pasowali do pozostałych żałobników.

Z ekranu dobiegały dźwięki fanfar. David Cooper skłonił przed trumną głowę. Laurie Donaldson i Brad Cooper wzięli ojca za rękę.

Jess odwróciła wzrok od telewizora. Znów stanęła jej przed oczami Annette Cooper, którą nie tak dawno przecież poznała. Czując napływające do oczu łzy, wyszła do sąsiedniego pokoju, gdzie wreszcie się wypłakała.

I to ją zaskoczyło, bo przecież nie należała do płaczących kobiet. Zawsze była opanowana, praktycznie podchodząca do życia, taka typowa najstarsza córka, która przeżyła wszystkie rodzinne burze i do której siostry zwracały się po rady. Matka często żartobliwie nazywała ją rodzinnym pogotowiem ratunkowym. Tymczasem od wypadku wszystko się zmieniło.

Gdy zaspana wróciła do salonu, zegar wskazywał dziewiątą. Pamiętała, że w pewnej chwili obudziła ją Marian,

informując, że koło dziewiątej przyjdzie Davenport, i proponując przyniesienie kolacji z miasta, ale ona nie chciała nic jeść. Teraz wzięła długi prysznic, potem się ubrała. Ponieważ w szpitalu dostała nowe szkła kontaktowe, okulary schowała do torebki, zrobiła też skromny makijaż, kamuflujący nieco żółciejące już siniaki. Grace była tak dobra, że zapakowała jej ulubione ubrania - czarną spódnicę od Armaniego (kupioną na wyprzedaży) i białą jedwabną bluzkę. Do tego dorzuciła czarne szpilki, które zresztą tamtego tragicznego dnia zabrała sobie bez pytania. Myśli Jess powróciły do sobotniego wieczoru. Wtedy miała na sobie trampki, które wraz ze zniszczonym ubraniem oddano potem jej matce w szpitalu. Lubiła sportowe stroje, więc przebierając się w śmigłowcu, z przyjemnością włożyła nowe trampki i dres; nie mogła tego zrobić w szpitalu, bo z pewnością wzbudziłoby to podejrzenia dyżurujących tam tajniaków. Na spotkanie z szefem włożyła jednak przygotowane przez siostrę ubranie, po prostu chciała wyglądać dobrze. Ponadto sądziła, że tak powinien postępować pracownik oczekujący awansu.

W pokoju grał telewizor, lampka stojąca przy łóżku rzucała ciepły blask. Ktoś też zaciągnął zasłony w oknie. Na kanapie, z podkurczonymi nogami siedziała Marian, trzymając w ręku pilota do telewizora. Na ekranie prezentowano rodzinne filmy przedstawiające Annette Cooper. Jessica nie mogła na to spokojnie patrzeć.

- Czy jest już pan Davenport? - zapytała, chociaż wyraźnie były same.

Marian przytaknęła. Potem wstała, włożyła buty, marynarkę i wyłączyła telewizor.

- Czeka na ciebie o wpół do dziesiątej.

- Gdzieś wychodzimy?

Sekretarka sięgnęła po pęk kluczy leżących na stole i podeszła do drzwi. Jess obróciła wózek w taki sposób, aby nie stracić jej z oczu.

- Nie „my”, tylko „ty” - odpowiedziała wyraźnie rozzłoszczona sekretarka. - To z tobą chce porozmawiać szef, a nie ze mną. A ja cię tam tylko zawiozę.

- Jasne - odparła Jess, choć nie bardzo jej się to podobało. Na samą myśl o wsiadaniu do samochodu wróciło wspomnienie wypadku. Zacisnęła jednak zęby, postanawiając się opanować. I to natychmiast. Ale coś jeszcze ją niepokoiło: miała wątpliwości, czy to na pewno Davenport zaproponował spotkanie na mieście. Być może to podstęp Marian, nadmiernie dbającej o własną pozycję w firmie? Ale natychmiast odrzuciła taką myśl. Nie dajmy się zwariować, zganiła samą siebie. I tak jedyną osobą, której mogła zaufać, był Davenport. A Marian była lojalna wobec szefa i całkowicie mu oddana. Innymi słowy, mogłaby wziąć udział w zamachu na jej życie tylko wtedy, gdy zleceniodawcą był Davenport.

No to się pocieszyłam, doszła do wniosku Jessica.

- Jedziesz? - spytała zniecierpliwiona Marian.

- Jadę - odpowiedziała Jess, manewrując wózkiem. W windzie Marian stała z rękami założonymi na piersi, unikając wzroku Jess.

- Dokąd jedziemy? - spytała nieco zdenerwowana Jess. Sądziła, że rozmowa odpędzi od niej złe myśli.

- Czyżbyś nie lubiła niespodzianek? - fuknęła sekretarka, obrzucając ją niechętnym spojrzeniem.

Jess postanowiła dotrzymać jej placu, a przy okazji wyjaśnić co nieco.

- Czy zrobiłam ci coś złego, że tak mnie traktujesz? Marian spięła się i po chwili odpowiedziała:

- Pewnie myślisz, że jesteś bardziej potrzebna szefowi niż ja, bo jesteś po studiach, co? A więc musisz wiedzieć, że prawda jest zupełnie inna. Pan Davenport zaproponował ci posadę nie ze względu na studia, tylko dlatego, że potrzebował kogoś, kto wykona pracę, której nikt inny nie chciał się podjąć.

No i się dowiedziała. Zrozumiała wreszcie, dlaczego na studiach wbijano jej do głowy, że w pracy nie należy zadawać pytań ani wykazywać inicjatywy. Chyba że jest się przygotowanym na każdą ewentualność.

- To nie ma dla mnie znaczenia. Lubię to, co robię - odparła. Znała swoje miejsce w firmie i od pierwszego dnia dążyła do jego zmiany.

W odpowiedzi usłyszała jedynie parsknięcie. Winda zjechała do garażu.

Szybko i bez przeszkód dojechały do centrum. Na ulicach panował tłok, gdyż zakończyły się już uroczystości pogrzebowe i ludzie wracali do domów. Tłumy wypełniały chodniki i parki, o wypadek nie było więc trudno. Na budynkach powiewały spuszczone do połowy flagi państwowe, drzewa i latarnie przystrojone były wieńcami, czarnymi wstążkami, posążkami Buddy, krzyżykami i wszelkimi możliwymi symbolami religijnymi, ale miasto wracało do normalnego życia, tonąc w morzu świateł i dźwięków. Ludzie znów jak co dzień pędzili gdzieś przed siebie, z niezliczonych restauracji i knajpek wydobywały się zapachy jedzenia, po ulicach snuły się spaliny, a nad wszystkim dominowała woń rzeki.

Gdy wjechały do podziemnego garażu, Jessica zorientowała się, że są w wieżowcu, w którym mieściła się siedziba firmy. Marian otworzyła kartą magnetyczną szlaban i podjechała do służbowej windy; Jess jeszcze nie miała takiej karty.

- Pan Davenport czeka u siebie w biurze - poinformowała Marian, wręczając Jess klucz. - Ja zostanę tutaj i potem cię odwiozę.

Rozdział 14

W iezowiec, w którym kancelaria prawna Davenport, Kelly i Bascomb wynajmowała cztery kondygnacje, był teraz całkowicie wyludniony, wzbudzając strach. Jess dotarła windą na dziewiętnaste piętro, gdzie znajdowało się biuro Davenporta i pozostałych partnerów oraz nieco skromniejsze biura ważniejszych pracowników. Pokój Jessiki, który ona sama nazywała „klitką”, mieścił się trzy piętra niżej; jako początkujący pracownik nie mogła liczyć na nic więcej. Jess jechała słabo oświetlonym, długim, pustym korytarzem, a stukot silniczka wózka odbijał się echem od ścian wyłożonych imitacją szylkretu i od marmuru podłogi. Kolejne mijane drzwi prowadziły do biur i sal konferencyjnych, teraz naturalnie zamkniętych. Normalnie o tej porze przebywałoby tu pewnie kilku pracoholików, do których Jessica zaliczała także i siebie, oraz nocni strażnicy i ekipa sprzątająca. Tymczasem dzisiaj, z uwagi na ceremonię pogrzebową, wszyscy mieli wolne, a puste korytarze robiły przygnębiające wrażenie. Okna biura Davenporta wychodziły na Connecticut Avenue, a szef miał prywatną windę, którą mógł zjechać bezpośrednio do garażu. Dotarcie na miejsce zajęło Jess sporo czasu. Nie czuła się zbyt dobrze, jadąc na spotkanie wózkiem, pamiętała jednak, że poranna próba zrobienia

kilku kroków do łazienki i z powrotem omal nie zakończyła się upadkiem. Nie miała więc ochoty kusić losu i pokonywać na piechotę dystansu dzielącego biuro szefa od windy. Poza tym Davenport nigdy nie prosił wezwanych na rozmowę młodych pracowników do zajęcia miejsca na fotelu, a ona stania z pewnością nie wytrzyma. Z drugiej strony doskonale wiedziała, że okoliczności ją usprawiedliwiają, choć wołałaby... Wreszcie pozbyła się rozterek, uznając, że może wjechać do biura na wózku.

Zdenerwowanie powróciło, gdy dotarła do korytarza prowadzącego wprost do biura Davenporta. Było znacznie okazalsze od innych. Na podłodze leżał dywan w złocistym odcieniu, sufit zdobiły kasetony, a na ścianach wisiały niezliczone obrazy. Mosiężne tabliczki zamocowane na mahoniowych drzwiach, które kolejno mijała, informowały, czyje tam są gabinety. Na końcu widoczna była winda, którą wjeżdżali interesanci. Jessica dotarła wreszcie do recepcji, gdzie klienci firmy czekali zwykle na spotkanie z Davenportem, a przyjmowały ich urzędujące za mahoniowym blatem recepcjonistki Denise Capie i JoAnne Subtelny; zawsze wiedziały, kto może wejść od razu, a kto musi poczekać. Znajdujące się na prawo od recepcji drzwi prowadziły do biura Marian.

Jessica zatrzymała się i przez chwilę kontemplowała otoczenie.

Wokół panowała martwa cisza. Na całym piętrze nikogo nie było. Za drzwiami pozamykanych biur nic się nie działo. Gdy wjeżdżała do recepcji, zauważyła uchylone drzwi gabinetu szefa. O dziwo, w środku było ciemno.

Coś było nie tak.

Zatrzymała wózek. Nie bardzo wiedziała, co robić. - Jessica?

Słyszając głos Davenporta, niemal podskoczyła z wrażenia. A więc jest u siebie. Wiedziała, że szef ma przy

biurku monitor, dzięki któremu może w każdej chwili sprawdzić, co się dzieje w recepcji.

- Dzień dobry! - odpowiedziała.

- Wejdz, proszę.

Ma się rozumieć, najpierw muszę jednak się uspokoić, pomyślała.

Minęła recepcję i natarła wózkiem na drzwi, otwierając je na oścież. Znalazła się we wspaniałym umeblowanym pokoju. W ciemności dostrzegła dwie identyczne kanapy, cztery krzesła i barek. Za jednymi uchylonymi drzwiami zobaczyła łazienkę, za drugimi małą kuchnię. Na prawo znajdował się gabinet, oświetlony teraz jakimś dziwnym światłem. Wszystko się wyjaśniło, gdy Jessica wjechała do środka - przez narożne okna, wielkie od podłogi aż po sufit, wpadało do wnętrza światło ulicznych neonów i lamp. Sceneria sprawiała niesamowite wrażenie. Jess bezwiednie zatrzymała się, podziwiając piękny widok: oświetloną kopułę Kongresu, pomnik Waszyngtona i Biały Dom. Kątem oka zauważyła nieznaczny ruch z lewej strony. To Davenport, pomyślała, widząc ciemną sylwetkę na tle okna.

Niespodziewanie ogarnęło ją przerażenie. Czyżby nie byli sami? Wstrzymała oddech i ostrożnie rozejrzała się dookoła.

Było ciemno, ale uznała, że są sami. Nadal jednak nie czuła się zbyt pewnie.

- Napijesz się czegoś? - zapytał Davenport, zapalając lampkę na biurku.

Siedział na swoim zwykłym miejscu, ale wyglądał zupełnie inaczej - zawsze był elegancko ubrany i porządnie uczesany, a tym razem miał zwichrzone włosy, pogniecioną i rozpiętą pod szyją koszulę oraz rozluźniony krawat. Przed nim stała pusta szklaneczka. Pokazując na butelkę whisky, proponował Jess kolejkę.

- Nie, dziękuję.

Davenport nalał sobie solidną porcję alkoholu. Musiał już pić od jakiegoś czasu, bo Jessica zauważyła drżącą dłoń, lekki rumieniec na twarzy i nerwowy tik policzka. Kto wie, czy nie wypił zbyt wiele, bo butelka była już prawie pusta.

- Wydaje mi się, że śmierć pani Cooper to nie był przypadek - wypaliła bez ostrzeżenia. Nie mogła już dłużej zwlekać, jeszcze chwila, a pewnie nigdy by się już nie zdecydowała tego powiedzieć.

Davenport zrobił dziwną minę i wychylił więcej niż połowę zawartości szklaneczki.

- Cóż, Annette miała swoje problemy - zaczął, obracając szklanekę w dłoni.

Potem z żalem spojrzął na Jess pozostającą w cieniu. Za nią, po lewej stronie stał regał na książki, a na półkach niezliczone segregatory i rodzinne zdjęcia z zeszłorocznego safari w Kenii. Na ścianie po prawej wisiały fotografie przedstawiające Davenporta z członkami kolejnych rządów działających na przestrzeni ostatnich piętnastu lat. Było też zdjęcie z obecnym prezydentem. Davenport zawsze powtarzał, że najważniejsi dla niego są wpływowi klienci, a fotografie tylko to potwierdzały.

- Rozmawiając z nią wtedy w hotelowym barze, wyczułam, że jest zdenerwowana i czegoś się boi. Była tam, bo chciała zgubić pilnującego ją tajniaka. Powiedziała nawet, że jest więźniem - ciągnęła zirytowana Jess. - Poza tym...

- Nie powinienem jej spławiać - przerwał Davenport. - Annette nie była szczęśliwa. Całe życie kłóciła się z Da-videm. A przez ostatnie miesiące awantury wybuchały codziennie. Nie sądziłem jednak, że kroi się coś takiego.

Davenport był już dobrze wstawiony i Jess nie miała pewności, czy zdaje on sobie sprawę z tego, co mówi. Poczula się nieswojo.

- Wydaje mi się, że to było morderstwo. - Na wszelki wypadek powiedziała to głośno.

Davenport przechylił butelkę, nalewając resztę alkoholu do szklaneczki.

- To nieważne - mruknął. Pusta butelka uderzyła o szklany blat biurka. - Jak ja mam dosyć tego bogoojczyź-nianego pieprzenia i tego: „z prochu powstałeś, w proch się obrócisz”. Nie znam takiego głupka, który chciałby się ubrudzić. - Z wysiłkiem usiłował się uśmiechnąć.

Ten facet zaraz zwalił się na podłogę, pomyślała przerażona Jessica.

- Jestem pewna, że ci sami ludzie chcieli i mnie pozbawić życia, dodając czegoś do kroplówki w szpitalu

- ciągnęła jednak z uporem.

Nie wierzyła w oświadczenie Ryana dotyczące wyników testów poszczególnych części kroplówki.

Albo ją oszukał, albo testy były do dupy. Ona wiedziała swoje. Widząc, że Davenport chyba już nie kontaktuje, pochyliła się w jego kierunku i starała się za wszelką cenę zmusić go do skupienia się na tym, o czym mówiła.

- Wydaje mi się, że ktoś próbuje zatrzeć ślady morderstwa. Ci sami ludzie, obawiając się, że zbyt dużo pamiętam, polują teraz na mnie.

- Przecież mówiłem ci, żebyś trzymała język za zębami

- odparł, sięgając po kolejną butelkę.

-1 dlatego powtarzałam wszystkim, że niczego nie pamiętam, ale to nieprawda...

- Annette zażądała, żebym osobiście po nią przyjechał -przerwał gwałtownie - ale ja miałem już tego wszystkiego dosyć i zadzwoniłem do ciebie.

Davenport łyknął solidną porcję i wydał pijacki dźwięk zadowolenia. Jess omal nie padła trupem. Do tej pory zawsze widziała w nim dżentelmena... Jeszcze się łudziła, że to załamanie nerwowe, a nie stan upojenia alkoholowego.

- Pamiętam, że ktoś za nami jechał. Doskonale pamiętam, że...

- Chroniłem cię, jak mogłem najlepiej. Daję ci słowo - mówił Davenport, opróżniając kolejną szklaneczkę i ku zdziwieniu Jess, wycierając usta rękawem. - Chroniłem także Annette, która zawsze znajdowała we mnie wiernego słuchacza. Pomagałem jej i doradzałem, ale gdy zadzwoniła wtedy, nie zjawiałem się na wezwanie. Teraz już jej nie ma. Moja droga Annette nie żyje.

Twarz mężczyzny wykrzywił grymas żalu, z oczu popłynęły łzy. Jessica była mocno rozczarowana. Okazało się, że nadzieja na pomoc ze strony doświadczonego i ustosunkowanego prawnika była płonna. A przecież to przez niego znalazła się w tarapatkach. Liczyła, że opowie mu wszystko, co zapamiętała, a on jej doradzi, jak z tego wybrnąć, tymczasem znalazła się w opustoszałym biurówcu sam na sam z załamany i pijany facetem.

Mimo wszystko podjęła jeszcze jedną próbę.

- Być może to nie jest najlepsza chwila, ale muszę komuś opowiedzieć wszystko, co wiem. Miałam nadzieję, że będę mogła z panem porozmawiać. Nie chcę rozmawiać z żadnym tajniakiem, bo sądzę, że to właśnie oni próbowali mnie zabić w szpitalu. Zresztą Annette Cooper też im nie ufała, uciekała przecież przed przydzielonym jej tajniakiem. Muszę więc ich unikać. Nie mogę iść ani do FBI, ani na policję. To przecież jedna sitwa. Za bardzo boję się przecieku i chciałabym jeszcze trochę pożyć. Z drugiej strony nie mogę milczeć, bo chodzi o morderstwo Pierwszej Damy i dwóch towarzyszących jej osób. Zresztą moje milczenie nie ma znaczenia, bo oni obawiają się konsekwencji tego, co pamiętam. Sądzą, że fakty mogłyby rzucić na nich cień. A ja obawiam się, że znów zechcą mnie zabić. Tak na wszelki wypadek. Mówię o tych ludziach, o których i pan wspominał. To pewnie ktoś ze sfer rządowych. Uważam, że...

- Lepiej daj spokój - przerwał szlochający Davenport.
- I tak niczego nie rozumiesz. Nie masz ani męża, ani dzieci. Nikt o tobie nie słyszał i jeszcze się niczego nie dorobiłaś. Nie masz najmniejszego pojęcia o zasadach rządzących ludźmi władzy. Nic też nie wiesz o tym, jak zachowują się ludzie postawieni pod murem - zaszlochał. Wreszcie opanował się, chyba zawstydzony.

Jessica sama sobie nie wierzyła.

- Ma pan rację. Nie mam o tym pojęcia - mówiła, z trudem panując nad nerwami, choć właśnie zaczęło do niej docierać, że nikt nie może jej pomóc i że Davenport jakoś dziwnie się zachowuje. Poza tym była niemal pewna, że tajniacy zrobią wszystko, żeby ją wytropić i zabić. Mieli przecież takie możliwości, a litość była im obca. A młoda, bezbronna kobieta z pewnością nie mogła przeciwstawić się tak wielkiej machinie. - Jestem pewna, że grozi mi poważne niebezpieczeństwo. I pan o tym też wie. Poza tym pan także podejrzewa, że to nie był zwykły wypadek. Musimy z tym gdzieś iść. Tylko gdzie? Trzeba przecież głośno powiedzieć, że to było morderstwo.

- Podekscytowana spojrzała w twarz Davenporta i przerażona stwierdziła brak jakiegokolwiek reakcji.

- Do niedawna sądziłem, że jestem odważny. - Sięgnął po butelkę i unikając wzroku Jess, nalał sobie resztę whisky.

- A okazało się, że jestem zwykłym tchórzem - wyznał. Głośno przełknął alkohol i znów wytarł usta rękawem.

Jessicę ogarnęła czarna rozpacz.

- Może powinien pan porozmawiać z prezydentem i powiedzieć mu prawdę - zaproponowała w desperacji.

Davenport parsknął z pogardą, a Jess nagle olśniło

- skoro w sprawę zamieszane jest FBI, to równie dobrze o wszystkim mógł wiedzieć i prezydent.

- Musi być ktoś, z kim moglibyśmy porozmawiać

- ciągnęła. - Osoba, która mogłaby wszcząć w tej sprawie śledztwo i...

Davenport opróżnił kolejną szklaneczkę whisky.

W tej sytuacji Jessica postanowiła opowiedzieć wszystko dziennikarzom. Z jednej strony dawało to możliwość powiedzenia tego, co widziała i co podejrzewała, z drugiej, jak sądziła, powinno powstrzymać tych, którzy chcieli ją zlikwidować. Doszła też do wniosku, że w tej sytuacji nie będzie już potrzebowała pomocy Davenporta. Przede wszystkim musiałby wytrzeźwieć i otrząsnąć się, a ona nie mogła już dłużej zwlekać. Obawiała się tajniaków, którzy w każdej chwili mogli wpaść na jej trop i uciszyć na zawsze. Być może nawet planowali zamach po opuszczeniu przez nią szpitala, pomyślała z walącym sercem. Zaraz jednak zreflektowała się i postawiła odwrotną hipotezę: a może się mylę i FBI to moja jedyna nadzieja, a ja zbyt pochopnie wymknęłam się spod ich opieki?

Rozważania Jess przerwał dźwięk otwieranej przez Davenporta szuflady biurka.

- Już nic więcej nie da się zrobić - bełkotał, chwiejąc się na nogach. - Nie mam wyjścia. Muszę myśleć o przyszłości własnych dzieci.

Nagle Jessica zobaczyła w jego ręku broń. Usłyszała jeszcze:

- Boże, wybacz mi.

Zamarła w bezruchu, czując mocny skurcz żołądka.

- Ależ panie Davenport...

Podniósł trzęsącą się dłoń do góry i skierował rewolwer w jej stronę. Potem nacisnął spust.

Rozdział 15

Rozległ się huk wystrzału, pocisk musnął lewy policzek Jess. Z krzykiem rzuciła się na ziemię, jednocześnie poczuła silne uderzenie w plecy. Ktoś mocno przygniatł ją do podłogi. Ten ktoś bez wątpienia uratował jej życie, ale teraz dusił ją ciężarem swojego ciała, powodując potworny ból.

- Rzuć broń, Davenport! - Usłyszała męski głos, a potem drugi, stłumiony wystrzał. Miała nadzieję, że leżący na niej mężczyzna zjawił się z pomocą, a nie w innym celu. Zaraz potem, gdzieś nad jej głową, rozbiło się jakieś szkło i z brzękiem posypało się na podłogę.

Instynktownie skuliła się na tyle, na ile mogła to zrobić, będąc przygniatana do ziemi. Z trudem oddychała. Nagle zeszywniała na myśl, że druga kula mogła trafić jej obrońcę.

- Na szczęście zdążyłem - usłyszała głos nieznajomego. W pokoju było cicho jak makiem zasiał. Nikt już nie strzelał, nie rozbijał szkła. Jessica słyszała jedynie łomot własnego serca. I nic więcej. - Jesteś cała?

Nie musiała podnosić wzroku, aby wiedzieć, że to Ryan. I nie miała też wątpliwości, że do końca życia zapamięta jego niski głos. Wciąż leżąc na podłodze, Ryan szukał wzrokiem widocznych ran na ciele Jess. Był skupiony, a jego oczy miały trudny do określenia wyraz. W prawej dłoni

ciągle trzymał wielki czarny pistolet; Jessica odetchnęła, widząc, że nie jest w nią wymierzony. Ich spojrzenia wreszcie się spotkały i mogła szczerze odpowiedzieć, że ma się dobrze. Ryan uśmiechnął się.

- To wspaniale.

Dopiero w tym momencie Jessica uświadomiła sobie, że Ryan osłonił ją własnym ciałem przed kulą Daven-porta.

- Panie Davenport... - zawołała i urwała przerażona. Spojrzała w stronę biurka, za którym przed chwilą jeszcze stał chwiejący się na nogach Davenport, celując do niej. Nigdzie go nie dostrzegła. Czy to on strzelił także po raz drugi? A może to Ryan okazał się szybszy?

-Nie ma co wołać - zapewnił Ryan, zręcznie wstając z podłogi. Jak zawsze ubrany był w czarny garnitur, białą koszulę i krawat. Pewnie zjawił się tu bezpośrednio po pogrzebie Annette Cooper. Jessica musiała przyznać, że wyglądał bardzo atrakcyjnie

- Gdzie jest Davenport?

- Wskoczył przez okno, które wcześniej rozwalił, strzelając w nie.

Jess z trudem usiadła na podłodze. Ryan ostrożnie wychylał się przez wybite okno. Jess słyszała szum wiatru, odgłosy ulicy i docierające z dołu krzyki przechodniów. Wiatr porwał papiery z biurka Davenporta, unosząc je do góry.

- Dasz radę iść? - zapytał Ryan, a wyciągając rękę, dodał: - Musimy się stąd natychmiast ulotnić, bo zaraz wpadnie tu ochrona budynku, policja i nie wiadomo kto jeszcze.

- Davenport strzelał do mnie.

- To już wiem.

Wystraszona Jessica chwyciła dłoń Marka i wstała. Przeszył ją trudny do zniesienia ból.

Zaniepokojony

Ryan natychmiast obrzucił ją baczny spojrzeniem, ale na szczęście nie znalazł żadnych widocznych ran.

- Gdzie jest ten cholerny wózek - zaklął.

- Davenport popełnił samobójstwo - powiedziała zdumiona Jessica. Czuła się bardzo dziwnie: przed chwilą człowiek, którego znała, wyskoczył przez okno, a świat wygląda tak, jakby nic się nie stało - gwiazdy świecą, neony rozświetlają miasto... Serce Jess waliło jak oszalałe, z trudem oddychała. Coś jednak pchało ją do okna. Musiała stanąć nad czarną przepaścią i spojrzeć w dół. Nie mogła uwierzyć, że Davenport skoczył z dziewiętnastego piętra.

- Daj spokój. Lepiej tego nie oglądać. - Ryan zmusił ją, by usiadła na wózku, potem odszukał jej torebkę. - Nie rób głupstw. Musimy stąd zniknąć.

- A co ty tu właściwie robisz? - Dopiero teraz zadała to najważniejsze pytanie.

- Oprócz tego, że uratowałem ci życie, nic takiego. Myślę jednak, że będziemy musieli poważnie porozmawiać. Chcesz gadać teraz, czy może odłożymy to i wreszcie się stąd wyniesiemy?

Jess posłała mu spojrzenie typu „nienawidzę cię”, więc Ryan uznał, że mogą opuścić gabinet Davenporta. Ruszył w kierunku drzwi.

- Jesteś gotowa? - Z bronią gotową do strzału Mark ostrożnie zajrzał do sąsiedniego pokoju.

-Tak.

- No to wrzucaj czwórkę i wiejemy. Trzymaj się blisko mnie.

Ruszył do przodu, czujnie rozglądając się dookoła. Jess po raz ostatni spojrzała za siebie, potem wjechała za Ry-anem do słabo oświetlonej recepcji. Wtedy przypomniała sobie, że jadąc na spotkanie z szefem, wyczuwała obecność kogoś trzeciego. To musiał być Mark Ryan.

Już drugi raz w tym tygodniu stanęła oko w oko ze śmiercią. Czyżbym była w czepku urodzona, zastanowiła się.

- Nie możesz jechać nieco szybciej?

- Nie mogę!

Jessica wiedziała, że muszą teraz, i to za wszelką cenę, wydostać się z budynku. Teraz korytarz wyglądał w jej oczach zupełnie inaczej - przyćmione światło i dwa rzędy pozamykanych drzwi wywoływały strach. Właściwie w tej chwili bała się wszystkiego i wszystkich.

Strzelec mógł czać się za każdym rogiem...

- Trzeba uważać na kamery, są tu wszędzie - powiedziała.

- Czy to Davenport zaprosił cię na spotkanie? - Tak.

- W takim razie nie mamy się czego obawiać. Stawiam dziesięć do jednego, że teraz żadna z kamer na tym piętrze nie działa.

To prawda, pomyślała. Davenport z pewnością zadbał o to, by nie było żadnego nagrania. Przecież zwabił mnie tu, aby zabić. Pierwsza kula chybiła, ale gdyby miał szansę wystrzelić jeszcze raz, zapewne zrealizowałby swój plan. To Ryan uratował mi życie. Spojrzała na idącego obok mężczyznę. Jego napięta twarz, bacznie obserwujące wszystko oczy i dłoń pewnie trzymająca broń świadczyły, że bez wątpienia uratuje i ją, i siebie.

- Mam klucz do prywatnej windy Davenporta, wjechałam nią na górę.

- Nie możemy z niej skorzystać. Gdyby nas namierzono, zatrzymano by windę i wtedy znaleźlibyśmy się w potrzasku.

Jessica doskonale słyszała jego słowa, ale nagle coś zwróciło jej uwagę. Instynktownie spojrzała w stronę wind. Nad drzwiami tej z lewej strony paliło się światelko - pierwsze piętro, drugie piętro...

- Niech to szlag trafi! - zaklął Ryan, który także dostrzegł zmieniające się numery pięter. - Zatrzymaj się!

- Co takiego?

Ryan szybkim ruchem schował pistolet i złapał rączki wózka.

- Trzeba zostawić wózek, bo tylko zawadza. Obejmij mnie - rozkazał.

Zanim Jessica się zorientowała, już była w ramionach Ryana.

- Dlaczego?

- Musimy natychmiast zniknąć.

Z Jess w ramionach biegł na drugi koniec korytarza. Przede wszystkim musieli oddalić się od windy, którą najwyraźniej ktoś jechał do góry.

- Tylko jak się dostaniemy na dół, skoro winda odpada? - wydukała w rytm kroków Marka.

- Zejdziemy po schodach. -Jak?

- Właśnie tak.

- To winda szybkobieżna, zaraz tu będzie - ostrzegła.

- Niestety - odpowiedział, przyspieszając.

- Zostawiliśmy wózek.

- Mówi się trudno.

Wreszcie dotarli do końca korytarza. Rozległ się dźwięk zatrzymującej się windy i otwierających się drzwi.

- Już tu są - wyszeptała wystraszona Jessica.

- No to znikamy.

Ryan po cichu otworzył drzwi z napisem „Wyjście awaryjne”. Znaleźli się w części budynku wykonanej z żelazobetonu, mającej w założeniu chronić zarówno przed ogniem, jak i przed wszelkimi wybuchami. Jess jeszcze mocniej chwyciła za szyję Ryana, bo zaczęła się szaleńcza gonitwa w dół.

Nagle przypomniała też sobie

o Marian i podskakując wraz z Markiem, przerywanym głosem powiedziała:

- Na... parkingu... przy... prywatnej... windzie... Davenporta... czeka na mnie... pewna... osoba.

- Kto taki?

- Marian Young, sekretarka Davenporta. To ona przywiozła mnie tutaj. - W tym momencie zadała sobie pytanie, czy Marian była we wszystko wtajemniczona? Poczowała nieprzyjemny ucisk w żołądku. To niemożliwe. Chociaż... wszystko jest możliwe, skoro Davenport usiłował ją zabić.

- Sama?

- Była sama.

- Rozumiem - odpowiedział krótko.

Kiedy dotarli wreszcie na pierwsze piętro i wypadli z klatki schodowej, Mark dyszał już niemiłosiernie. Jessica usłyszała wycie karetki pogotowia, słychać też było pokrzykiwania zgromadzonych ludzi.

To było im na rękę, w tej sytuacji nikt nie będzie zwracał na nich uwagi.

Na razie jednak byli na pierwszym piętrze. Jess pomyślała, że to idealne miejsce na zasadzkę. Ściany, podłoga i betonowy sufit były w jednym kolorze. Migoczące światło karetki oświetlało jedynie miejsce, w którym stali, reszta ginęła w czarnym jak smoła mroku. Jessica miała nadzieję, że nikt ich nie śledził.

- Przyjechałeś samochodem? - spytała, wciąż usiłując przeniknąć wzrokiem ciemności.

- Jasne. Stoi po drugiej stronie ulicy.

Ryan ostrożnie ruszył w stronę wyjścia. Tylko kilka schodów dzieliło ich od Connecticut Avenue, po przeciwnej stronie parkingu, gdzie czekała Marian. Jess zrobiło się nawet przykro na myśl, że kobieta nie wie jeszcze, jak bardzo wszystko się nagle zmieniło.

Ryan otworzył kolejne drzwi. Od ostatnich dzieliło ich tylko kilka metrów zacienionego parteru.

- A może powinniśmy poinformować Marian o tym, co się stało?

- Masz jeszcze jakieś inne równie fajne pomysły? Jessica rozejrzała się dookoła, szukając samochodu Marian. Dostrzegła go daleko, z prawej strony. Wszystkie światła były wyłączone. Jess wyteńczyła wzrok, ale nie dostrzegła w aucie sylwetki Marian. Kobieta musiała jednak w nim siedzieć, bo przecież obiecała poczekać do końca spotkania. Ryan tymczasem otworzył ostatnie drzwi i w jednej chwili znaleźli się w tłumie gapiów przyglądających się czemuś leżącemu na ulicy.

Jess poczuła mocny ucisk w żołądku. Choć nie widziała obiektu ich zainteresowania, doskonale wiedziała, co to było. Coraz wyraźniej słychać było syreny nadjeżdżających samochodów. Z kolei karetka stała na tyle blisko, że jej syrena zagłuszała rozmowy gapiów.

- Już możesz mnie postawić, po chodniku dam radę iść - wyszeptała do ucha Ryana. Kilka osób spojrzało w ich kierunku. - Patrzą na nas - dodała półgłosem.

Mark ostrożnie ją postawił, cały czas jednak podtrzymywał ją ramieniem. Potem spojrzał na nią pytająco. Kiwnęła głową i ruszyli naprzód. Musieli przebić się przez tłum.

- Patrz w dół. Nikt nie może cię rozpoznać.

A o to akurat nie było trudno, bo stacje telewizyjne co parę minut nadawały audycje na temat wypadku i pokazywały jej fotografię.

Jessica nie miała zbyt wiele czasu, aby podjąć decyzję, czy jest bezpieczniejsza z Markiem, czy też bez niego. Na jego niekorzyść przemawiało to, dla kogo pracował. Nie miała też wątpliwości, że skłamał na temat wyników testów kroplówki. Z drugiej strony to właśnie on już dwukrotnie uratował jej życie. Poza tym, gdyby chciał zrobić jej

krzywdę, to już dawno by to zrobił. A więc to przyjaciel, a nie wróg, zdecydowała ostatecznie. Spuściła głowę, a bujne włosy skutecznie chroniły jej tożsamość przed wścibskimi spojrzeniami przechodniów.

- Uwaga, krawężnik! - szeptem ostrzegł ją Ryan.

Z trudem pokonała przeszkodę. Potem ruszyli w kierunku auta Marka. A nie było to łatwe, bo tłum ciągle narastał. Wreszcie wykorzystali lukę, jaka powstała, kiedy przejeżdżał wóz policyjny, i szybko pokonali cały dystans. Z radiowozu wysiadło dwóch umundurowanych mężczyzn. Jeden z nich od razu przystąpił do odsuwania gapiów, drugi spoglądał w stronę chodnika.

Jessica podążyła za jego wzrokiem i zobaczyła leżącego na brzuchu mężczyznę. Zrobiło się jej niedobrze i odwróciła głowę. Gdy ponownie podniosła wzrok, zobaczyła przeciskającą się przez tłum Marian.

- John! - krzyk Marian Young odbił się echem po ulicy. Przerazona kobieta biegła wprost w kierunku zwłok Davenporta.

Jessica wiedziała, co się wydarzy, ale nie mogła nic zrobić.

Jadący ulicą mały brązowy samochód ominął stojącego policjanta, wpadając wprost na Marian.

Kobieta poszybowała w górę, upadła na dach auta i w chwilę potem zsunęła się na jezdnię. Kierowca dodał gazu i zniknął w ciemnościach.

Rozdział 16

Marian! - krzyknęła Jessica, wyrywając się Ryanowi. Kilku przechodniów spojrzało w jej stronę.

- Cicho! - Mark przytrzymał ją. - Nie możemy przecież zwracać na siebie uwagi!

Zbyt słaba Jessica nawet nie usiłowała z nim walczyć, tylko w cichym przerażeniu wpatrywała się w ciało Marian. Natychmiast obok pojawili się kolejni gapie, a dwaj policjanci, którzy przed chwilą zjawili się w związku ze śmiercią Davenporta, teraz biegli na miejsce kolejnego wypadku. Jeden z nich przyklęknął przy ofierze, a drugi wstrzymał ruch na całkowicie już teraz zablokowanej ulicy. Marian leżała bez ruchu, z nienaturalnie zgiętą lewą nogą. Przeważona Jess zobaczyła wyciekającą spod jej głowy ciecz.

To była gęsta, ciemna krew.

- Zapisalem numery sprawcy! - oznajmił jakiś mężczyzna, przepychając się przez tłum w kierunku najbliższego policjanta.

- Przepuście karetkę! - krzyknął ktoś inny.

- Nie rozglądaj się! - Ryan skarcił Jess. W tym momencie minęła ich karetka pogotowia, za nią pędziły dwa radiowozy.

- To niemożliwe - bełkotała zdenerwowana Jessica. - Muszę się dowiedzieć, co się stało z Marian.

- I co jeszcze? - Mark był wściekły, bo musieli przedzierać się przez coraz większy tłum ludzi. - Nic tam po tobie.

Mocno przyciskał Jess, być może obawiał się, że zechce jednak wyrwać mu się i pobiec do martwej Marian. Jess szła jednak pokornie u jego boku; była w tak wielkim szoku, że czuła już wyłącznie strach. Mark przyspieszył kroku. Nieoczekiwanie zaczęło padać. Drobnym, zimnym kapuśniaczkiem siekł Jess po twarzy.

- Jak ten kierowca mógł uciec z miejsca wypadku? - pytała po raz kolejny z niedowierzaniem. - Przejechał Marian i po prostu uciekł.

- Nie ma co tego roztrząsać.

Jessica wciąż nie mogła pozbierać myśli.

- Jak sądzisz, czy przeżyła? - pytała wreszcie, przecierając mokre oczy.

- Nie wiem, ale nie martw się, na miejscu są już lekarze.

Kiedy znaleźli się wreszcie za rogiem, niespodzianie uderzył ich podmuch wiatru. Po plecach Jess przeszedł dreszcz. Nagle ogarnął ją strach, bo oto znaleźli się sami na pustej ulicy, daleko od tłumu. Drżąc, rozejrzała się dookoła. Po obu stronach stały wysokościowce, nad nimi górowało zachmurzone niebo, a na chodniku wały się puste puszki i stosy odpadków.

Chroniąc się przed deszczem, Jessica przytuliła się do Ry-ana. Od razu zrobiło jej się nieco cieplej.

Była przerażona. Śmierć Marian dowodziła, że Jess wpakowała się w niezłą kabałę. Kto wie, co ją może czekać. Nie widziała dla siebie bezpiecznego miejsca. A może już ktoś za nimi idzie?

Spojrzała do tyłu i aż podskoczyła z wrażenia, na szczęście była to tylko biała plastikowa torba, którą wiatr pędził w ich kierunku. Daleko z tyłu wciąż pulsowało upiorne niebieskie światło karetek pogotowia.

Mark skręcił w prawo i nagle znaleźli się na parkingu, który oświetlały dwie wysokie latarnie. Jess znów pomyślała, że to idealne miejsce na zasadzkę, nie miała jednak czasu na wpadanie w panikę, bo właśnie zatrzymali się przed ciemną toyotą.

Gdy siedzieli już w środku, Mark automatycznie zablokował drzwi. Zaskoczona tym dźwiękiem Jess drgnęła.

- Czy śmierć Marian to przypadek? - spytała, rozglądając się nerwowo dookoła. Wciąż miała wrażenie, że zaraz ktoś wyskoczy na nich zza któregoś z aut. - Czy tamten celowo na nią najechał?

- Nie wiem. Być może to nie był zwykły wypadek.

- Ryan sprawnie cofnął, a potem wyjechał z parkingu.

- A teraz zapnij pasy.

Spojrzała na Marka i widząc, jak bardzo jest spięty, bez słowa wykonała jego polecenie.

- Dokąd jedziemy?

- Do mojego domu, niedaleko Dale. Zostaniesz tam do czasu, aż zrozumiem, o co w tym wszystkim chodzi.

Jess nawet nie próbowała dyskutować.

Wypadek na Connecticut Avenue zablokował najbliższe ulice, ale oni na szczęście jechali w przeciwnym kierunku. Mark prowadził pewnie, ale nie przekraczając rozsądnej prędkości. Jess niepokoiło jedynie to, że co chwila spoglądał we wsteczne lusterko. Tymczasem rozpadało się już na dobre. Jess drżała. I wcale nie z zimna, to nerwy dawały

o sobie znać. Nic dziwnego, przecież przed chwilą Jessica była świadkiem dwóch zgonów, a do tego omal sama nie straciła życia. Mark włączył ogrzewanie.

- Nie rozumiem, dlaczego Davenport chciał mnie zabić?

i dlaczego popełnił samobójstwo? To był jedyny człowiek, któremu wierzyłam.

- Skarbie, teraz możesz ufać jedynie swojej rodzinie i mnie - zapewnił Mark z uśmiechem.

Jess powoli odzyskiwała równowagę. Cóż, zanim obdarzy go zaufaniem, musi usłyszeć wyjaśnienie niektórych spraw.

- Możesz mi teraz powiedzieć, co właściwie robiłeś w biurze Davenporta?

- Chciałem trzymać rękę na pulsie.

- To znaczy?

- Właśnie to, co powiedziałem.

- Nie chciałabym, abyś pomyślał, że jestem niewdzięczna, ale to mi absolutnie nie wystarcza.

Kierowali się teraz w stronę obwodnicy.

- A jeśli usłyszysz coś, co ci się nie spodoba?

O tym nie pomyślała. Nagle uświadomiła sobie, że jest właśnie sam na sam z Markiem w samochodzie pędzącym autostradą. Do tego facet jest postawny, odpowiednio przeszkolony i ma spluwę, ona zaś jest tylko słabą kobietą po wypadku. Gdyby coś się działo, z pewnością nie ma żadnych szans.

- Mówi się trudno.

Mark parsknął śmiechem, a Jess poczuła się jakoś bezpieczniej.

- No dobra. Szedłem za tobą. Chciałem mieć pewność, że nic ci nie grozi. I jak się okazało, miałem nosa.

- A skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać? Przecież związałam ze szpitala, kiedy ciebie tam nie było, a oprócz mojego szefa i Marian nikt nie wiedział, dokąd polecimy.

- Ustalenie, gdzie jesteś, było dziecinnie proste. Dopiero teraz Jessica uzmysłowiła sobie, jaka była naiwna, czując się bezpiecznie w mieszkaniu Davenporta. Mark miał rację. Zlokalizowanie helikoptera, którym leciała, nie mogło być dla FBI problemem. Ciekawe, kto jeszcze wiedział, gdzie się zaszyla. Jak mogła być taka głupia?

- A jak ci się udało wejść do biurowca?

- Umiem robić takie sztuczki. Kiedy się zorientowałem, że jedziesz do biura Davenporta, poszedłem za tobą.

- A więc słyszałeś naszą rozmowę.

- Prawie całą.

Jess gorączkowo myślała: czyli Mark wiedział, że nie straciłam pamięci, a jednak mnie nie zabił. Ochronił też przed Davenportem, czego z pewnością by nie zrobił, gdyby zależało mu na mojej śmierci. Może warto więc mu zaufać?

- Uważam, że ktoś zorganizował zamach na Annette Cooper - rzuciła wreszcie wyzywająco.

- To już wiem. A dlaczego tak sądzisz?

Zanim odpowiedziała, jeszcze ciaśniej oplotła się rękami; mimo ogrzewania wciąż czuła przejmujące zimno.

- Ta kobieta wyraźnie przed czymś uciekała. Gdy ją zobaczyłam, była bardzo zdenerwowana i czegoś się bała.

Wciąż nie była do końca przekonana, czy powinna rozmawiać o tym z tajniakiem. Przecież podejrzewała, że to właśnie FBI stało za tym wszystkim. Poza tym była pewna, że Ryan okłamał ją w kwestii kroplówki. No i ta śmierć Davenporta. Czyżby i za to odpowiedzialni byli tamci? A skąd się wziął samochód, który wpadł na Marian?

- Pani Cooper uciekała przed twoim kolegą Prescott-em, ale on zauważył nas przed hotelem i zdążył wsiąść do samochodu.

Jessica przerwała. Chciała zobaczyć reakcję Marka, ale on z kamienną twarzą spokojnie prowadził auto. Nagle z prawej strony wyprzedziła ich olbrzymia ciężarówka. Mark zmienił pas, ustawiając się za nią.

- I co dalej?

- Prescott wskoczył na miejsce obok kierowcy. Pani Cooper siedziała za kierowcą, ja obok niej.

Wpadła w histerię. Kazała mu wysiadać, zakazała informowania

kogokolwiek o tym, gdzie jest, krzyczała, że jej życie należy wyłącznie do niej i obcym wara od niego. Prescott tłumaczył, że gdziekolwiek by pojechała, on ma obowiązek jej towarzyszyć. Zagroził, że sprowadzi kolegów i po prostu odstawią ją do domu. Wciąż powtarzał, że nie może jej zostawić. W końcu stanęło na tym, że pojedzie z nami, ale do nikogo nie zadzwoni. Wtedy pani Cooper wreszcie się uspokoiła. Po jakimś czasie zjechaliśmy z szosy numer 95 i znaleźliśmy się na jakiejś innej drodze. Prezydentowa cały czas z kimś rozmawiała przez telefon, potem straciła łączność, bo nie było zasięgu. Wtedy znów się wściekła i rzuciła telefonem, który wylądował pod przednim siedzeniem pasażera, akurat tam, gdzie trzymałam stopy. Na prośbę pani Cooper schyliłam się, żeby podnieść aparat, dlatego musiałam odpiąć pasy. W chwilę później oślepił nas od tyłu jakiś samochód. Prezydentowa wrzeszczała na Prescottta, że ją zdradził, ale ten zaprzeczał, upierał się, że do nikogo nie dzwonił. Kazała przyspieszyć, abyśmy urwali się tamtym. Pędziliśmy z zawrotną prędkością. Usiadłam i w chwili gdy sięgałam po pasy, coś nagle walnęło w nasz samochód. Obejrzałam się, ale to nie było jadące za nami auto. I trudno mi powiedzieć, co to było, ale zaraz potem samochód zatańczył na jezdni. Kierowca pewnie zaczął hamować i wtedy wylecieliśmy z drogi jak z procy. Pamiętam wszystko... pamiętam..

Jessica urwała. Pod wpływem wspomnień cała się trzęsła. Tępo spoglądając w dal, układała napływające obrazy w jedną całość. Za oknem rozpadało się na dobre. Przejeżdżali mostem nad Potomakiem. W wodach rzeki odbijały się światła. W pewnej chwili Jessica zobaczyła znak drogowy - 1-95. A więc jechali tą samą drogą, którą pokonywała wtedy z prezydentową. Pomyślała, że to deja vu.

- Będiesz mówić, czy mam zgadywać, co było dalej?
- Głos Ryana wyrwał ją z zamyślenia.

Przełknęła ślinę i spojrzała na Marka. Widziała jego twarz w świetle reflektorów nadjeżdżających z naprzeciwka samochodów. Aż trudno uwierzyć, że to ten sam przystojny mężczyzna, który przed wypadkiem nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Dziś, chociaż w przemoczonym ubraniu, spocony i zmęczony, nadal był jej zdaniem niezwykle pociągający. I - musiała to w końcu przyznać - godny zaufania.

Tak, Jessica Ford zdecydowała, że może zaufać Ryanowi. I nawet nie chciała myśleć o tym, co mogłoby się stać, gdyby się okazało, że postawiła na złego konia.

Odetchnęła głębiej i wróciła do opowiadania:

- Krzyczeliśmy. Gdy samochód wpadł na pobocze, nagle wyrzuciło mnie na zewnątrz. Zanim upadłam, widziałam jeszcze samochód staczający się ze skarpy. Potem uderzyłam o ziemię i...

- I straciłaś przytomność?

- Właśnie. I straciłam przytomność.

- Pamiętasz jeszcze coś? - Znów powróciła nieufność. Jessica oblizwała suche wargi. Miała w zanadrzu jeszcze ważniejsze informacje i tak naprawdę chciała je z siebie wyrzucić. - Jess? - ponaglił Mark, przeczuwając, że cisza, która zapadła, jest tylko pauzą w opowieści.

Jessica się wahała. A może znów zasłonić się brakiem pamięci i przejść od razu do momentu, w którym zobaczyła pochylającego się nad nią Marka? Ostatecznie jednak zdecydowała, że skończy swoją opowieść.

- Straciłam przytomność. Gdy otworzyłam oczy, było ciemno, zobaczyłam gwiazdy nad głową i poczułam okropny ból. Bolało mnie całe ciało. Potem na zboczach wąwozu pojawiły się jakieś małe światełka. To były latarki. Jacyś ludzie schodzili na dół. Próbowałam krzyknąć, ale nie mogłam wydobyć głosu. Ledwie oddychałam. Mogłam jedynie obserwować szybko poruszające się światełka. I wtedy usłyszałam krzyk.

Jessica przerwała. Przycisnęła dłonie do skroni i kilka razy odetchnęła głębiej. Tamten krzyk nadal brzmiał w jej głowie.

- Czy wszystko w porządku? - cicho zapytał Ryan. Jessica otworzyła oczy i opuściła ręce. W milczeniu

patrzyła przez okno na pozamykane o tej porze centra handlowe, warsztaty samochodowe i domy mieszkalne.

- Spojrzałam w tamtym kierunku. W blasku księżycy zobaczyłam samochód leżący na dachu, rozbity, ale koła jeszcze się kręciły. I paliło się jedno przednie światło. Wtedy właśnie ci ludzie dotarli na dno wąwozu i lepiej oświetlili wrak. Mogę przysiąc, że... że ktoś przeżył wypadek. Próbował wydostać się na zewnątrz. Ciszę rozdzierał niehumaniczny wprost krzyk.

Mocno zacisnęła pięści i spojrzała na Marka. Na ułamek sekundy ich spojrzenia się spotkały. Jessica nie umiała jednak powiedzieć, o czym świadczył wyraz jego twarzy. Nie odrywając oczu od niego, z trudem kontynuowała:

- Samochód dopiero zaczynał się palić, płomień był nie większy od płomienia pochodni, ale po kilku sekundach ogarnął już cały pojazd. - Jess aż zakłuło w sercu. - Nikt z przybyłych nawet nie próbował wydobyć pasażerów. Po prostu stali i patrzyli. Nagle krzyk stał się jeszcze bardziej przeraźliwy, a po chwili zapadła cisza. - Ostatnie słowa Jessica wypowiadała z wielkim trudem. Gardło miała tak suche, że mówiła szeptem. - Jestem prawie w stu procentach pewna, że krzyczała kobieta. To był głos Annette Cooper.

Na samą myśl o straszliwej śmierci w płomieniach znów przeszły ją ciarki.

Opowiedziała już wszystko. Wreszcie wyrzuciła to z siebie. Nie mogła już dłużej tłumić wspomnień. Może teraz łatwiej jej będzie zapomnieć. Oparła się wygodniej na zagłówek, zamknęła oczy i znów splotła ramiona. Oddychając powoli, uspokajała się.

Wdech-wydech, wdech-wydech... Miarowo i spokojnie.

- Widzę, że musisz trochę odpocząć - powiedział Mark, zjeżdżając z szosy.

Jessica nadal przeżywała tamte chwile i nie wróciła jeszcze do rzeczywistości, kiedy jednak światło z zewnątrz wdarło się do samochodu, otworzyła oczy. Podjechali właśnie do przydrożnego baru. Potem usłyszała dobiegający z okienka głos pytający o zamówienie.

- Napijesz się kawy? - spytał Mark, a gdy kiwnęła głową, poprosił: - Dwie duże kawy ze śmietanką i podwójny cukier. A czy ty w ogóle coś jadłaś? Lubisz hamburgery?

Jessica raczej omijała tego typu lokale, ale czuła się teraz tak bardzo osłabiona, że było jej już wszystko jedno.

- Może być, ale bez dodatków.

Po chwili Mark odbierał dwie duże torby i kubki z kawą.

Nie wysiedli z auta, a Jess bardzo to odpowiadało. Nadal nie czuła się bezpiecznie, w końcu ktoś mógł ich śledzić. Czego się właściwie bała? Strzału znikąd.

Głodny jak wilk Mark łapczywie pochłaniał swoją kanapkę, zagryzając frytkami. Jess skubnęła odrobinę, a na frytki nawet nie popatrzyła. Z przyjemnością napiła się za to ciepłej kawy. Dosłownie delectowała się każdym łykiem.

- I co, lepiej? - spytał po chwili Mark. -Tak.

- Czy chcesz jeszcze o czymś opowiedzieć?

Jess nie chciała ani mówić, ani pamiętać tego, co przeżyła. Przez chwilę gapiła się w ciemność. To wtedy jechała wtedy z Annette Cooper. Wreszcie odpowiedziała:

- Raczej nie.

- Gdy cię wtedy znalazłem, byłaś w bardzo złym stanie. Czy jesteś pewna, że widziałaś to wszystko, o czym przed

chwilą mówiłaś? Muszę się po prostu upewnić, że nie mówisz o rzeczach, które podsunęła ci wyobraźnia.

Jess poczuła nieprzyjemny skurcz żołądka, tym bardziej niebezpieczny, że przed chwilą trochę jednak zjadła.

- Tak jak z tym napadem w szpitalu?

- No właśnie.

- Nie mam stuprocentowej pewności, że czegoś nie pomyliłam, ale to byłoby chyba usprawiedliwione.

- Tymi samymi słowami uspokajała samą siebie, gdy zaczęła odzyskiwać pamięć. Wtedy jednak miała jeszcze nadzieję, że to wyłącznie jej wyobraźnia. - Mówię o tym, co widziałam.

- Pozwól, że uporządkuję wszystko: coś uderzyło w wasz samochód i szofer stracił panowanie nad kierownicą. Samochód stoczył się do wąwozu. Potem nieznane osoby z latarkami, prawdopodobnie pasażerowie śledzącego was auta, zbiegli ze zbocza. Słyszałaś też, że ktoś przeżył i wzywał pomocy. Nie wiesz jednak, czy nieznajomi „pomogli” pożarowi, czy tylko stali obok, patrząc na płonący wrak.

- Zgadza się - odpowiedziała, zaciskając pięści i walcząc z powracającym koszmarem.

- Utrzymujesz też, że jeszcze tej samej nocy ktoś usiłował zgładzić cię w szpitalu, ponieważ przeżyłaś wypadek i mogłaś widzieć osoby, które uważasz za morderców Annette Cooper.

- Tak. - I patrząc Markowi prosto w oczy, rzuciła wyzwanie: - A ty oszukałeś mnie, bujając o wynikach testów kroplówki.

- Nieprawda.

- Nie wierzę ci. Wtedy naprawdę ktoś na mnie napadł.

- Zaraz, zaraz! Nie kłamałem, tylko zachowałem dla siebie informację, że nie podawano ci lekarstw zaleconych przez lekarzy, tylko zwykły roztwór soli fizjologicznej. Wygląda na to, że albo laborant się pomylił, albo ktoś podmienił pojemniki z płynem.

Jess zamarła.

- Czyli wiedziałeś, że mówiłam prawdę! Dlatego mnie śledziłeś?

Nie odpowiedział, bo właśnie wjeżdżali do Dale. Oczekała chwilę, aż miną znane jej centrum handlowe, następnie wodne miasteczko Waterworks, potem skręcili w stronę Clearbrook, minęli skrzyżowanie, przy którym znajdował się sklep sieci 7-Eleven oraz sklep monopolowy i wreszcie znaleźli się na jakiejś wyludnionej drodze. Ponieważ Mark wciąż milczał, Jess przypomniała o swoim istnieniu:

- Czy dlatego znalazłeś się w biurze Davenporta?

Po obu stronach drogi ginącej gdzieś w ciemnościach rosły gęste krzaki. Dopiero po chwili Mark spojrzał na Jess, która wciąż nie mogła rozgryźć wyrazu jego twarzy.

- Poszedłem za tobą na wszelki wypadek. Nie chciałem, aby coś ci się stało.

Nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, dotarli do jakiegoś skrzyżowania i skręcili w wąską asfaltową aleję. Dopiero wtedy Jessica zauważyła, że są już za miastem. Za oknami panowała ciemna noc. Światła samochodu oświetlały dwa rzędy potężnych drzew rosnących po obu stronach drogi. Już miała zapytać, gdzie są, gdy Mark skręcił i auto zatrzymało się przed piętrowym, drewnianym domem z przybudówką.

A zatem to jest jego dom.

W żadnym z okien nie paliło się światło, cała zresztą okolica tonęła w ciemnościach. W zasięgu wzroku nie było nawet jednego domu. Jess ogarnął niepokój.

- Czy to jest twój... - zaczęła, ale nie dokończyła. Kiedy zgasły światła samochodu, zza dobudówki wyłoniły się dwie postacie.

Jess była przerażona.

Rozdział 17

Jak się macie? - Mark wyraźnie się rozluźnił na widok Susan Wendell i Paula Fieldinga.

Po samobójstwie Davenporta i śmierci jego sekretarki nie miał już najmniejszych wątpliwości, że za tymi wszystkimi wydarzeniami ktoś stoi. Na razie jednak nie wiedział kto i do czego ten ktoś zmierza. A kiedy zaczęło mu się nieco rozjaśniać w głowie, postanowił za wszelką cenę ochronić Jess. W tajemnicy przed nią wysłał SMS-a do Fieldinga, prosząc, by z Wendell i Matthewsem przyjechał do jego domu za miastem.

Mark był pewien, że Davenporta zmuszono do zabicia Jess i popełnienia potem samobójstwa. Miał też pewność, że śmierć Marian także nie była przypadkowa i że samochód do tego użyty został wcześniej skradziony. Wnioski nasuwały się same - były to dzieła wyrefinowanego zabójcy lub dowód istnienia większego spisku, którego organizatorzy z pewnością nie cofną się przed niczym.

Być może chodziło o tę samą osobę, która zorganizowała zamach na żonę prezydenta, jak twierdziła Jess. W każdym razie nie były to dobre wiadomości.

Jak na razie Mark odrzucał wersję Jess, gdyż nie widział motywu ewentualnego zabójstwa. Z pewnością nie było nim uzależnienie prezydentowej od środków przeciwbólowych. Prezydent i kilku najbliższych jego współpracowników

podjęli stosowne działania w tej sprawie, poza tym problem znany był tylko garstce ludzi. A gdyby nawet sprawa się wydała, to wielu polityków lub ich partnerzy miewali takie kłopoty, przyznawali się i nic strasznego się potem nie działo.

Gdyby to rzeczywiście było morderstwo, musiał istnieć motyw, którego jednak Mark nie znał. Trzeba też założyć, że wypadki ostatnich dni nie miały ze sobą nic wspólnego. Annette Cooper po prostu czmychnęła w miasto i zginęła w najzwyczajniejszym wypadku, na Jessicę Ford napadł jakiś psychopata, Davenport miał jakiś osobisty powód, aby skończyć ze sobą, a Marian Young po prostu wybiegła na ulicę wprost pod nadjeżdżający samochód.

No i mamy problem, doszedł do wniosku Mark.

- Czy to jest nasza szczęściara? - spytała Susan, kiwając głową na powitanie Jess.
- Tak jest - odpowiedział Mark, podchodząc do auta i otwierając drzwi. Jess nie czekała na jego pomoc, tylko samodzielnie wysiadała.
- Widzę, że znasz tych ludzi. - W głosie Jess Mark wyczuł niepokój.
- Tak, ale chyba powinienem cię uprzedzić, że tu będą.
- Powinieneś.

Jess miała na nogach czarne, wysokie szpilki, niezbyt wygodne dla osoby mającej kłopoty z chodzeniem. Mimo to, kiedy Mark podał jej ramię, stanowczo mu podziękowała.

- Dziękuję, spróbuję sama.

Przytrzymując się drzwi, postawiła jedną nogę na wybetonowanym podejździe. Mark cofnął się nieco. Obok niego natychmiast znaleźli się Susan i Paul, ochraniając w ten sposób Jessicę przed ewentualnym niebezpieczeństwem. Teraz nawet i on obawiał się strzału znikąd, chociaż nie

zamierzał informować o tym swojej podopiecznej. Po prostu nie chciał jej straszyć.

- Przedstawiam wam Jessicę Ford - powiedział, a następnie zwrócił się do Jess: - A to Susan Wendell i Paul Fielding, ludzie z mojej firmy.

- Miło mi - odezwał się Paul, a małomówna Susan ograniczyła się do ponownego kiwnięcia głową. Jess odpowiedziała tym samym.

Susan miała sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu i była dużo wyższa od Jessiki. Podobnie rośli byli Paul i Mark. Stojąca między nimi Jess przypominała Markowi młode drzewko otoczone przez wysokie, silne drzewa. Szczerze zatroskany postanowił, że bez względu na okoliczności tak poprowadzi sprawę, aby Jessica wyszła z opresji cało.

- A gdzie Matthews? - zapytał.

Jessica ostrożnie kuśtykała w kierunku domu, a Mark szedł obok, gotowy do natychmiastowej pomocy.

- Rozgląda się po okolicy - poinformował Fielding. Mark otworzył drzwi i przepuścił Jess przodem. Kiedy

wszyscy już znaleźli się w środku, zapalił światło w kuchni i zarygłował drzwi od środka.

Kiedy kupił ten dom, nic nie zmienił w jego wyposażeniu. W kuchni stał stary sprzęt, a podłódze leżało linoleum udające drewnianą klepkę, ściany zdobiła kwiecista tapeta, a okno kraciaste, czerwono-złote zasłony. Myślał nawet kiedyś o zmianach, ale na myśleniu się skończyło. Rzadko tu bywał, prawie wcale nie gotował, a nawet wtedy, kiedy mieszkała z nim Taylor, przeważnie jadali na mieście. O jedno tylko zadbał - wymienił wszystkie zamki w drzwiach. A kupił najlepsze, jakie tylko były na rynku.

Tymczasem Jess dotarła do stolika i przystanąła, opierając się o blat. Była mokra, wyraźnie zmęczona i blada,

a do tego z niepokojem patrzyła na towarzyszących jej ludzi.

- I co dalej? - spytała Marka, który wyczuł w jej głosie irytację.

Biorąc pod uwagę to, co ostatnio przeszła, nie dziwiła go jej nieufność. Do tego znalazła się w jednym pomieszczeniu z nieznaną, atletycznie zbudowaną blondynką w czarnym kostiumie i jej kolegą, który co prawda miał na sobie elegancki ciemny garnitur, do tego łagodne spojrzenie i łysą głowę, ale posturą mógł budzić respekt. Do tego wszystkiego spod żakietu Susan widoczna była kabura pistoletu. Jessica, mimo eleganckiego kostiumu i butów na wysokich obcasach, nie wyglądała na swoje dwadzieścia osiem lat.

- Na razie tu pomieszkamy. Ty odpoczniesz, a ja spróbuję ustalić, co się dzieje. A moi współpracownicy pomogą mi cię chronić - wyjaśnił.

Fielding i Wendell przytaknęli. Nagle coś cichutko pstryknęło. W jednej sekundzie Susan skupiła się, jakby czegoś słuchała, potem podniosła rękę, zbliżyła usta do rękawa i cicho odpowiedziała. Potem poinformowała pozostałych, że Matthews nie dostrzegł niczego podejrzanego i zaraz będzie.

- Ryan, chciałabym porozmawiać z tobą na osobności - zażyczyła sobie nagle Jessica.

- Nie ma sprawy - odpowiedział i dodał, zwracając się do pozostałych: - A wy się rozgościecie.

Susan i Paul znali dom Marka, bo bywali tu na wydawanych przez niego przyjęciach. Teraz jednak byli w pracy, i mieli tego świadomość. Za wszelką cenę musieli ochronić Jessicę Ford.

Mark i Jess przeszli do sąsiedniego małego pokoiku z pięknym wiktoriańskim oknem ozdobionym kolumnką pośrodku. Dawno tu nikt nie sprzątał. Pająki miały

wystarczająco dużo czasu, aby utkać imponujące pajęczyny wiszące w każdym kącie, a stół pokryty był grubą warstwą kurzu. Mark rozejrzał się wokół, a potem bez słowa poprowadził Jess do innego pokoju, w którym znajdowały się duży telewizor, kanapa i dwa wygodne fotele.

Było ciemno, zasłony w oknach zostały szczelnie zaciągnięte. Jedyne docierające tu światło to była słabiutka poświata z kuchni. Mark zapalił lampkę. Wąski krąg światła obudził śpiącą w rogu kanapy rudą, pręgowaną kotkę Zoey, która powitała przybyłych cichym miauknięciem. Jessica podskoczyła jak oparzona.

- Tam coś jest!

Mark uśmiechnął się uspokajająco. Tymczasem Zoey wskoczyła na podłokietnik kanapy i zaczęła ocierać się głową o jego nogę.

- Masz kota? - zdziwiła się Jessica.

Mark pochylił się nad swoją pupilką i drapał ją za uchem; natychmiast rozległo się radosne mruczenie.

- To kotka mojej córki - wyjaśnił.

- No proszę, do tego masz dziecko.

- Taylor ma już piętnaście lat i mieszka z matką w McLean. Kot został, bo moja eks jest uczulona na kocią sierść.

Prawda była nieco inna, Heather, żyjąca teraz z trzecim już mężem, nie chciała mieć poszarpanych pazurkami mebli ani zdewastowanych dywanów. Dlatego właśnie kociak, którego dwa lata temu Taylor przyniosła od sąsiadów, został u Marka. Heather bez oporów pozbyła się kotki, za to nie mieściło się jej w głowie, że mężczyzna mógłby zajmować się wychowaniem córki.

Przez jakiś czas Taylor regularnie przyjeżdżała w odwiedziny do ojca. Niestety, wiek robi swoje i dorastająca dziewczyna coraz rzadziej się zjawiała. Cóż, komu potrzebny jest stary, gdy można wyskoczyć z koleżankami na zakupy. I tak tylko kot stał się przynętą...

Jessica chciała jeszcze o coś zapytać, ale rozmyśliła się i wyszła do drugiego pokoju. Mark pomyślał, że pewnie chce sprawdzić, czy Susan i Paul są w pobliżu.

- Chciałaś chyba coś powiedzieć - zagadnął, stając obok z rękoma w kieszeniach.

Jess chwyciła go za koszulę na piersi, przyciągnęła do siebie i zapytała szeptem:

- Po co sprowadziłeś tych ludzi?

Mark musiał się pochylić, aby zrozumieć jej słowa.

- Widzisz, gdybym miał pewność, że poluje na ciebie jedna osoba, nie byłoby problemu. Sęk w tym, że może być kilku myśliwych, dlatego potrzebuję pomocy. Nie mogę czuwać w nieskończoność, muszę co jakiś czas się zdrzemnąć. I wtedy właśnie może coś się zdarzyć - wyjaśnił, a widząc zdziwienie Jess, dodał niezwykle uprzejmie: - Nie ma co wydziwiać, przecież tu chodzi o twój tyłek.

- Nikt nie wie, gdzie jesteśmy - rzuciła zdenerwowana, a potem natychmiast dodała: - A raczej nie wiedział, dopóki ich tu nie sprowadziłeś.

- Nie zapominaj, że mogliśmy mieć ogon. Poza tym jesteśmy pewnie na nagraniach z kamer zamontowanych w biurowcu, w którym miałaś spotkanie z Davenportem. Nie ukrywałem się też, przychodząc do ciebie do szpitalu, więc łatwo dojść do wniosku, że skoro nas tam nie ma, to być może jesteśmy gdzieś razem, na przykład właśnie u mnie. Nie moglibyśmy tu przyjechać i czuć się bezpiecznie, gdyby nie moi ludzie.

- A kto mnie ochroni przed tymi twoimi ludźmi? - spytała z przekąsem.

- Słucham?

- Słuchaj uchem, a nie brzuchem.

- Wygadujesz bzdury.

- Czyżby?

Z kuchni dobiegły jakieś odgłosy i Mark natychmiast stał się czujny.

- Jak się macie? Co u naszej podopiecznej? - rozległ się głos Matthews'a.

Odprężony Mark odwrócił się do Jess i zdumiony usłyszał:

- Nie wolno ci powtórzyć tym ludziom ani słowa z tego, co opowiedziałam.

Kiedy spojrzał jej w oczy, nie miał najmniejszej wątpliwości - Jessica nie żartowała. Jej brązowe dotąd źrenice nagle stały się zielone, co zresztą bardzo mu się spodobało. Ciekawe, czy to przyciemnione światło, czy wściekłość spowodowały taką zmianę, zastanawiał się Mark. To takie kobiece, kokietliwe, choć jednocześnie wrogie spojrzenie.

- Nie zamierzałem nikomu niczego mówić - zapewnił ją spokojnym głosem. - Uwierz mi, teraz jesteś już bezpieczna. Dopilnuję tego.

Jess nie wierzyła ani jednemu jego słowu.

- Ryan! - krzyknęła Susan. - To bez sensu, że siedzimy tu wszyscy razem. Musimy się rozdzielić.

Mark przyznał jej rację, potem zwrócił się do Jess:

- Już dobrze?

- A guzik prawda! - walnęła prosto z mostu. Zignorował to. Cóż, jej dobry humor nie był teraz najważniejszy.

- Możecie wejść - krzyknął do Susan.

- Pamiętaj! Niczego nie pamiętam, niczego nie wiem!

- powtórzyła dobitnie, wczepiając się w ramię Marka. Gdyby była nieco silniejsza, pewnie sprawiłaby mu ból.

- Zrozumiałeś?

- Jess...

- Zrozumiałeś?

- Zgoda - odparł, widząc, jak bardzo jej na tym zależy. Jessica natychmiast puściła go i zmieniła wyraz twarzy

na doskonale nijaki.

W tej samej chwili do pokoju weszła Susan, a za nią Matthews, facet ponad metr osiemdziesiąt, szatyn, jak wszyscy tajniacy w ciemnym garniturze.

- Czy mogłabym się wykapać? A może znajdziesz dla mnie jakieś suche ubranie? - jakby nigdy nic, słodkim głosem zapytała Jess.

- Na górze jest łazienka i sypialnia - poinformował Mark.

Matthews tymczasem jeszcze raz sprawdził, czy drzwi wejściowe są dobrze zamknięte, potem ostrożnie uchylił zasłonę i wyjrzał na zewnątrz. Susan z kolei usadowiła się w fotelu i odprowadzała wzrokiem ostrożnie wchodzącą po schodach Jess. Mark doskonale zdawał sobie sprawę, ile wysiłku kosztowało ją takie samodzielne wejście na piętro.

- Czy zainstalowałeś tu jakikolwiek system alarmowy? - spytał Matthews.

Nim ponownie zaciągnął zasłonę, Mark dostrzegł absolutne ciemności panujące na zewnątrz. Była dopiero jedenasta i do rana wszystko mogło się zdarzyć. Trochę go to denerwowało.

- Niestety, nie.

- Nie martw się, my jesteśmy lepsi niż alarm - rzuciła Susan.

- A jest tu jakieś inne wyjście? - dopytywał się Matthews.

- Tak, drugie drzwi na parterze.

Mark spojrział na słuchającą ich rozmowy i stojącą nieruchomo Jess. Podszedł do niej.

- Pomóc ci? - zapytał cicho.

- Nie trzeba - rzuciła, nie patrząc na niego. Wciąż się złości, pomyślał.

Ruszyła dalej, a on stał gotów do pomocy, bacznie obserwując każdy jej krok. Jessica mocno przytrzymała się poręczy i powoli podnosiła nogę za nogą. Mark

najchętniej by ją po prostu zaniósł na górę, ale nie ruszył się. Wiedział, że nadal jest na niego wściekła. Obserwował ją spod oka. Była drobnutka, miała wąskie ramiona i talię oraz zgrabne łydki. No i całkiem apetyczny tyłeczek. Za to nie spodobały mu się jej wysokie obcasy.

Do rzeczywistości przywróciło go pytanie Fieldinga:

- No to mów, co wiesz i co planujesz.

Jess znieruchomiała, ale nie odwróciła się. Mark dobrze wiedział, co się teraz dzieje w jej głowie i zamierzał dotrzymać słowa. Przewrotny zawsze ubezpieczony, powtarzał sobie całe życie. Oczywiście ufał swoim podwładnym, zawsze jednak mógł się przecież pomylić.

- Łazienka jest z prawej strony - poinformował jess. - A obok sypialnia.

- Dzięki - odpowiedziała, nadal stojąc plecami do mego, co - jak uznał - w tłumaczeniu z babskiego na nasze oznaczało, że wciąż się gniewa. - Wykąpię się i zejdę do was.

- Nie trzeba. Lepiej się wyśpij. A my tu posiedzimy do rana.

- No dobrze. To dobranoc.

Mark poczekał, aż Jessica zniknie za drzwiami i dopiero wtedy odwrócił się do swoich ludzi.

Najbardziej ożywiona była Susan. Mark nawet się zastanawiał, czy nie oznaczało to czasami, że jest najbardziej spostrzegawcza. Miał nadzieję, że nikt nie zauważył, jak przygląda się tyłeczkowi Jess.

Wykorzystując sytuację, kotka ocierała się o nogi swego pana. Nie zwracając na nią uwagi, Mark omówił z podwładnymi zadania na dzisiejszą noc. Wszyscy słuchali w skupieniu. Ponieważ po wypadku szefostwo odsunęło od pracy całą zmianę, która nie upilnowała prezydentowej, przydzielając im wyłącznie papierkową robotę, gotowi byli zrobić wszystko, byle tylko jak najszybciej wszystko wyjaśnić.

- Wendell, ty sprawdzisz, w jakim stanie jest Marian Young. - Mark zwrócił się do usadowionej wygodnie

w fotelu Susan, której nieco łobuzerskie zachowanie zawsze mu bardzo odpowiadało.

- Rozumiem - odparła, wychodząc do kuchni, skąd zapewne chciała telefonować.

- Jeżeli ktoś rzeczywiście chciał ją stuknąć - zaczął Fielding, wskazując wymownie głową na piętro - to z łatwością domyśli się, gdzie jej szukać. W firmie wszyscy przecież widzieli, że interesowałeś się tą panną.

- Paul ma rację. - Matthews wstał z kanapy. - Jesteśmy teraz tarczą strzelecką.

- Wiem i dlatego was tu ściągnąłem. Musimy przeżyć do rana, a jutro zmienimy miejsce pobytu.

- Nie ma obaw. - Fielding rozpromienił się i poklepał kaburę pistoletu. - Na wszelki wypadek wziąłem dodatkowy magazynek - powiedział, co zabrzmiało niezwykle dowcipnie, bo na strzelnicy zawsze pierwszy wystrzeliwał wszystkie naboje.

Do pokoju weszła Susan i oznajmiła:

- Marian Young nie żyje. Zmarła w drodze do szpitala. Po tej wiadomości atmosfera wyraźnie się zageściła.

Mark wyczekał na moment, kiedy został sam i po cichu skontaktował się ze swoim kolegą z FBI, a chcąc uniknąć ewentualnego podsłuchu, zadzwonił z komórki Susan, którą podwędził z kieszeni jej wiszącej w szafie marynarki. Prosił go o sprawdzenie, czy na spalonym wraku są jakieś ślady uderzenia z tyłu. Potem odłożył telefon na miejsce, wyjął z lodówki butelkę wody, zamienił jeszcze kilka słów z Wendell i poszedł na górę.

Musiał zadać Jess jeszcze jedno pytanie. I nie mogło to czekać do rana.

Rozdział 18

Jessica weszła do łazienki. Trzęsła się ze strachu, bolały ją plecy i nogi, serce pompowało krew z zawrotną prędkością. Miała wrażenie, że zaraz zemdleje. Nie mogła do tego dopuścić. Nie teraz i nie tutaj. Szukając otrzeźwienia, odkręciła kurki z wodą.

Gdyby tak mogła nagle znaleźć się w domu. Mogłaby nawet udawać, że nic się nie stało. Albo gdyby mogła cofnąć czas. Wtedy za nic w świecie nie odebrałaby telefonu od Davenporta.

To jednak było niemożliwe.

Jak na ironię kąpała się właśnie w łazience w domu tajniaka, któremu nie do końca wierzyła, przy każdym gwałtowniejszym ruchu zasłony drżała jak liść osiki i podskakiwała ze strachu przy każdym podejrzanym dźwięku. Na dole oprócz Marka było jeszcze troje ludzi z tej samej firmy. Choć zapewniał, że musiał ich tu sprowadzić, miała wątpliwości. Twierdził, że im ufa, że są po jego stronie. A co będzie, jeśli okaże się, że tak nie jest?

Jak na razie wiedziała tylko to, że Mark nie dybie na jej życie. Miała co do tego niemal stuprocentową pewność.

Niemal. Być może dlatego nie powiedziała mu, że to właśnie tajniaków podejrzewa o zabicie Annette Cooper.

Jeszcze nie wierzyła mu na całe sto procent. Przecież i on mógł się tylko dobrze kamuflować, a wyjawienie prawdy mogłoby go tylko sprowokować do działania. Mówiąc wprost, do zabicia jej. A może przesadzam, po raz kolejny się zamyśliła.

Wreszcie uznała, że i tak niczego sensownego nie wymyśli. Gorąca kąpiel przegoniła dreszcze i uspokoiła ją nieco. To było coś! Ustąpił też ból pleców i nóg. Pomogły naturalnie i tabletki przeciwbólowe, które zabrała ze szpitala.

Okryła się podniszczonym pomarańczowym ręcznikiem, który znalazła w szafce, z drugiego zrobiła turban. Podeszła do lustra, ale bez szkieł kontaktowych, które zawsze wyjmowała przed kąpielą, słabo widziała. Sięgnęła więc do torebki po zwykłe okulary i spojrzała przed siebie. Nie była zadowolona z tego, co zobaczyła. Poza szpecącymi okularami ujrzała kilka siniaków i szwy nad okiem. Była zła, a wszystko przez tego przystojniaka Ryana. Co prawda nie była aż tak naiwna, aby znów o nim myśleć jako o atrakcyjnym facecie, ale z przyjemnością wspominała chwilę, gdy szła wsparta na jego wysportowanym ciele.

Nie rozczulaj się, on cię jedynie chronił przed niebezpieczeństwem, przywróciła się do porządku. Znów pomyślała o skontaktowaniu się z mediami - dzieląc się informacją ze światem, pozbawiała potencjalnego napastnika motywu działania. Gwarancja przeżycia. Nie podjęła jednak ostatecznej decyzji. Postanowiła dobrze się wyspać i wtedy wrócić do sprawy. Uspokojona rozejrzała się po łazience i stwierdziła, że - sądząc po akcesoriach - musi tu się często kąpać kobieta. Pewnie jego córka. Sięgnęła do torebki po szczotkę do włosów, następnie włączyła suszarkę i szybko ułożyła włosy. Następnie umyła zęby szczoteczką, którą zawsze miała przy sobie, posmarowała usta balsamem o zapachu wiśni i przepłukała bieliznę.

Wychodząc, zabrała ze sobą uprane rzeczy, aby rozwiesić je w pokoju.

W korytarzyku za łazienką było ciemno. Jess słyszała, że tamci coś omawiają i znowu się wystraszyła. Na szczęście sypialnia była pod ręką. Powinnam wcześniej zapalić tam światło, a dopiero potem się wykąpać, pomyślała.

- Cześć! - usłyszała nagle z ciemności i aż podskoczyła z wrażenia. Na szczęście rozpoznała głos Marka i tylko dzięki temu nie padła jak długa. No nie, ten facet najspokojniej w świecie leżał na łóżku, na którym miała ona spać.

- Ty tutaj?

Niespodziewany gość zapalił lampkę i nagle Jessica zorientowała się, że jest to mała sypialnia z małżeńskim łóżem. Także tu okno było szczelnie zasłonięte.

- Niespodzianka! Przyniosłem ci coś do picia - wyjaśnił, pokazując butelkę wody. Leżał bez marynarki, za to w butach i białej, chciałoby się powiedzieć, przed chwilą prasowanej koszuli, której rękawy podwinął aż do łokci. - I piżamę.

Wstając, obserwował Jess przyglądającą się różowej piżamie - na różowym tle tańczyły czarne pudelki w tiulowych spódniczkach.

To pewnie piżama jego córki, ale dlaczego różowa, i do tego w czarne pieski? Dla piętnastolatki?

- Taylor pewnie się to nie spodoba.

- Nie ma obaw. Córka omija piżamkę z daleka. Gdy ją dostała w prezencie pod choinkę, omal nie padła ze śmiechu. Zapewniła mnie, że nigdy w życiu nie założy czegoś takiego.

Cóż, widać nie zauważyłeś dorastania córki, pomyślała.

Pokój Taylor znajdował się po drugiej stronie, a drzwi do niego były otwarte. W przeciwieństwie do innych

pomieszczeń, utrzymanych w spokojnych barwach, tam ściany były fioletowe i obwieszane plakatami grupy Day-Glo. Jeszcze na parterze Jess zauważyła stojącą na kominku fotografię siedzącej na koniu jasnowłosej dziewczyny w dżinsach oraz koszulce z czaszką i skrzyżowanymi pieszczelami. No tak, różowa bzdura z pewnością do niej nie pasowała.

- To miłe z twojej strony, dziękuję.

-Jeszcze chwilka. Woda i piżama są jedynie pretekstem.

- Słucham? - rzuciła szorstko. Czuła się niepewnie, stojąc tak owinięta tylko w kusy ręcznik.

Oczywiście nic nie umknęło jego uwadze. Jessica nieco się spięła, miała świadomość, że Mark dokładnie ją sobie obejrzał. Kiedy nagle ich spojrzenia spotkały się, przeszedł ją gorący dreszcz.

Instynktownie poprawiła ręcznik na wysokości biustu. Tak na wszelki wypadek. Potem odważniej już spojrzała na skupioną twarz Marka, zauważając drobne zmarszczki wokół oczu i nieznacznego zarost.

Na nieszczęście przypomniała sobie, że ma na nosie okulary. A to większy wstyd niż paradowanie w ręczniku. Wiele wysiłku kosztowało Jess zignorowanie tego druzgoczącego niedociągnięcia. Okulary zostały na swoim miejscu.

Nie szalej, skarciła się zaraz. Przecież nie przyszedł tu, żeby...

- Bądź tak dobra i zamknij drzwi.

A jednak wciąż jej się podobał. Zaatakowały ją frywolne myśli, ale jakże mogło być inaczej, skoro półnaga znalazła się w przytulnej sypialni z takim facetem. Sytuacja wypisz wymaluj z jej snów.

Dłużej tego nie wytrzymam, wołało w niej wszystko.

- Mam zamknąć drzwi?

- Tak jest. Nie chcę, aby ktoś nas słyszał. Ostrożnie zamknęła drzwi. Nieduży pokój zmałał jeszcze bardziej.

- I co dalej? - natarła, przytrzymując ręcznik.
 - Po pierwsze, dostałem wiadomość, że Marian Young nie żyje. Bardzo mi przykro z tego powodu. Chociaż od początku się tego spodziewała, nagle poczuła ogromny żal.
 - Biedna Marian. Nie zasługiwała na taki koniec.
 - Nikt nie zasługuje na coś takiego. - Mark spoważniał. - Czy możesz mi powiedzieć, dokąd wtedy jechała Annette Cooper?
 - Co? Co? - pytała zbита z tropu, bo myślała o czymś zupełnie innym.
 - Powiedziałaś, że Davenport miał jeszcze do ciebie zatelefonować i powiedzieć, dokąd masz jechać. Czy zrobił to?
- Jessica zamyśliła się.
- Nie. Pił całą noc i z tego, co wiem, wcale nie miał ochoty się z nią spotkać. Ale dzwoniła wtedy Marian. Najpierw do kierowcy, a potem do pani Cooper. Niestety, pani Cooper nie znosiła załatwiania spraw przez sekretarkę, więc zaraz dostała szału. Żądała rozmowy z Davenportem. Ale kierowca musiał znać cel podróży. Pewnie też powiedział o nim pani Cooper, bo ona gdzieś dzwoniła, sprawdzając jakieś przygotowania. Gdy jednak urwało się połączenie, rzuciła telefonem. Nie wiem jednak, z kim rozmawiała i dokąd jechaliśmy.
- To było niezwykle interesujące. Mark siedział zamyślony. Jessica za to wciąż walczyła z pokusą rzucenia się na niego. Siedział tak blisko. Skończyło się jednak na teoretycznych rozważaniach. Na szczęście.
- Mark nie zorientował się, jak niezręczna jest sytuacja. Cóż, teraz już z pewnością była dla niego wyłącznie ważnym świadkiem. Może to i lepiej, pomyślała.
- I nie słyszałaś żadnych nazwisk?
 - Nie.

- Może mówiła, co będziecie robić tam na miejscu? -Nie.
- Na pewno? Może jednak coś powiedziała?
- Niczego nie pamiętam.
- To niewiele.
- Nie będę przecież zmyślać.
- Trudno będzie zagwarantować ci bezpieczeństwo bez wyjaśnienia tego, co się stało.
- Może jest inny sposób. -Jaki?
- Chyba pogadam ze znajomym dziennikarzem z „Post”. Zastanawiam się nad tym, czy sprawa nie powinna ujrzeć światła dziennego. Może pójde też do telewizji. Niech się ludzie wszystkiego dowiedzą. A kiedy cały kraj będzie wiedział to samo, co ja wiem, to już nikt nie będzie chciał mnie zabić.
- To głupota. Nie możesz iść do mediów, nie mając dowodów.
- A to czemu? Ważniejsze jest moje życie niż jakieś tam dowody. Właściwie to już się zdecydowałam. Niespodziewanie Mark podszedł bliżej i chwycił Jess za ramiona. Poczowała ciepło jego dłoni. Z jednej strony ją to ekscytowało, z drugiej wywołało zaniepokojenie. I nic nie mogła na to poradzić.
- Powtarzam, nie wolno ci tego zrobić - mówił poważnym tonem. - Powtórzenie przed kamerami tego, co mi opowiedziałaś, bez jakichkolwiek dowodów, to wyzwanie rzucone bezwzględny i niebezpiecznym ludziom. Mogą się zdenerwować, wpaść na pomysł pozbycia się jedyne go świadka. Wierz mi, że wtedy zadziała zasada: nie ma świadka, nie ma problemu.
- Stawiam na to, że media nie odpuszczą...
- Może i tak, ale tobie nic po tym, bo będziesz już wachać kwiatki od spodu. A przecież nie o to chodzi, prawda?

Jej spojrzenie wyrażało zgodę.

- Dobrze, że się zdecydowałaś. Moi ludzie sprawdzają już to i owo. Jeżeli będzie jakiś dowód potwierdzający twoje słowa, droga wolna.

- Zgoda.

Mark przez chwilę w milczeniu przyglądał się Jess.

- Nic się nie martw. Trzymam rękę na pulsie - zapewnił wreszcie zdecydowanie łagodniejszym już tonem.

- Czy teraz dostanę bure?

- Może byś i dostała, ale boję się, że mogłabyś złamać mi rękę.

-Aha.

- Właśnie tak. A teraz pora spać. - W drzwiach odwrócił i dodał: - Wyglądasz super.

Zanim ochłoneła, zdążył wyjść. Chcąc nie chcąc, włożyła różową piżamkę i położyła się do łóżka.

Była tak zmęczona, że nawet nie chciało jej się myśleć o Marku.

Zresztą o niczym innym także.

Gdyby Mark jej tak bardzo nie interesował, z pewnością miałaby koszmary ze strzelającym do niej Davenportem w roli głównej, z pękającą na kawałki szybą w oknie jego biura, z jego ciałem leżącym bez ruchu na trotuarze i z Marian szybującą nad jezdnią. Jak nic wróciłyby też obrazy z wypadku samochodowego, który przeżyła.

Nie mogąc zasnąć, powtarzała sobie, że Mark obiecał zachować milczenie, więc pewnie dotrzyma słowa. Był przecież po jej stronie...

Potem przypomniała sobie, że dziś odbył się pogrzeb Annette Cooper.

Ponieważ i to nie pomagało, przeszła do liczenia owieczek: jedna owca, druga owca, trzecia...

Gdy się obudziła, nie od razu wróciła do rzeczywistości. Spała tak głęboko, że dopiero po chwili uprzytomniła sobie, gdzie jest i w czym łóżku śpi.

W pokoju panowały egipskie ciemności. Jedyne wokół drzwi widoczna była smuga światła. Założyła okulary i spojrzała na zegar. Z trudem odczytała podświetlone cyfry - czwarta czterdzieści dziewięć. Spała więc jakieś pięć i pół godziny. Nagle poczuła, że natychmiast musi iść do łazienki. Wstała i nie zapalając lampki, wyszła z pokoju.

W domu panowała całkowita cisza. Na piętrze nie paliło się żadne światło, tylko parter był oświetlony. Na dole siedzieli chroniący ją podwładni Marka. Siedzieli albo drzemali, kto to wie.

Po wyjściu z łazienki Jess poszła korytarzem, chcąc odnaleźć pokój Marka. Ciekawiło ją, czy śpi, czy może... Na wspomnienie jego ostatnich słów zrobiło jej się ciepło.

- On... - usłyszała niewyraźny głos z dołu.

- ...zrobić ci coś do zjedzenia? - To drugi głos, który także nie należał do Ryana.

- Jest zdecydowanie za wcześnie na jedzonko. - To chyba była Susan.

- Wręcz przeciwnie, na dobre jedzonko zawsze jest czas, dziecinko.

Jess stanęła jak wryta. I nagle ją olśniło. Już gdzieś słyszała to zdrobnienie. Serce biło tak gwałtownie, że aż dzwoniło jej w uszach. A potem skojarzyła miejsce, w którym usłyszała „dziecinę” po raz pierwszy.

Rozdział 19

Ten środek pomoże ci zasnąć, dziecinko. A teraz zamknij oczy".

Tak właśnie uspokajał ją nieznajomy w przykrótkim fartuchu lekarza. Ten sam, który miał na sobie spodnie od garnituru i wypastowane, świecące buty. A więc to był facet, który chciał ją zabić.

Jej zdenerwowanie sięgało zenitu.

W domu, do którego przywiózł ją Mark, najspokojniej w świecie siedział sobie niedoszły morderca.

Tym razem w roli obrońcy. Potwierdziło się jej podejrzenie, że to tajniak. A Mark ufał im wszystkim.

- ...z dwóch jajek i z kielbasą - usłyszała, gdy doszła wreszcie do siebie.

- Skoro ty gotujesz, zamawiam to samo.

- Ja nie lubię jajeczniczy na kielbasie. - Jess rozpoznała głos Marka.

Zatem i on był na dole. A wcześniej kłamał, opowiadając bzdury na temat wyników testów kroplówki.

- Może być boczek, jeśli masz.

- Powinien być w lodówce.

Jessica po cichu wycofała się do pokoju, ostrożnie zamykając za sobą drzwi. Oparła się o futrynę, starając się uspokoić.

I co teraz?

Od razu wykluczyła poinformowanie o odkryciu Marka. Gorączkowo zastanawiała się nad tym, jak stąd uciec, zanim tamten znów spróbuje wysłać ją do lepszego świata. Nie wykluczała zresztą, że wszyscy oni są w zмовie. Mark też. Powracało zdenerwowanie, pot na plecach i przyspieszony oddech.

Trzeba wiać, postanowiła.

Pomysłowi sprzyjały panujące za oknem ciemności i przekonanie tajniaków, że Jessica mocno śpi.

Obstawiała też, że przed ósmą rano nikt nie wejdzie na górę, ma więc jakieś trzy godziny.

Wyjdę stąd i co dalej?

Na pewno nie mogła wrócić do domu, gdzie zresztą jest Grace. Tam przede wszystkim by jej szukano.

Nie może też narażać matki, jadąc do niej. Z tego samego powodu odpadali przyjaciele i znajomi z pracy. Nie mogła przecież wciągać ich w bagno, w które sama wpadła.

Biorąc pod uwagę uprawnienia instytucji, w której pracuje morderca, nie będzie łatwe znalezienie bezpiecznego miejsca. A on już z pewnością postara się wykorzystać wszystkie możliwości, żeby dokończyć dzieła.

Pozostawało więc chyba tylko zapadnięcie się pod ziemię.

Z każdą minutą przybliżał się świt, nie było czasu na rozważania. Po drodze będzie musiała decydować, dokąd iść. Najpierw trzeba się ubrać i zabrać swoje rzeczy. Potem cicho wyslizgnąć się na zewnątrz.

Szkoda, że nie mam samochodu... Jej auto stało na parkingu przed domem, tyle że w Waszyngtonie.

Postanowiła nie zapalać światła. Może nikt by tego nawet nie zauważył, ale nie chciała kusić losu.

Niech jej opiekunowie pozostaną w błogiej nieświadomości. Z satysfakcją stwierdziła też, że nie dowiedzą się, iż odkryła obecność niedoszłego zabójcy.

A może nie brać samochodu? Zaraz to zauważą i zaczną szukać?

Po omacku sięgnęła do torebki po kluczyki. Był przy nich breloczek - mała latareczka, której producent zapewniał, że będzie świecić do końca świata. Nacisnęła przycisk i istotnie miała światło. Muszę szybko znaleźć się jak najdalej stąd. Gdybym dotarła do swojego auta, mogłabym pojechać jeszcze dalej, a potem gdzieś je ukryć, zmienić tablice rejestracyjne, a może i sprzedać, planowała. Wieczorem rozwiesiła mokre ubranie na parapecie, niestety, wszystko było wciąż mokre. Nawet te cholerne szpilki.

Czemu wzięłam te buty, wyrzucała sobie.

Przez chwilę pomyślała o wiszącym w szafie suchut-kim ubraniu Taylor. Obawiała się jednak, że ktoś może coś usłyszeć.

No dobrze, tylko jak się dostanę do Waszyngtonu?

Zajrzała jednak do szafy Taylor, ale oprócz wieszaków niczego tam nie było.

Mówi się trudno.

Wciągnęła wilgotne ubrania i boso, na palcach podeszła do okna. Przesunęła na bok grube, marszczone, białe zasłony. Okazało się, że na niebie świeci księżyc i przestało już padać. Srebrna poświata mogła pomóc w odnalezieniu drogi, jednak cicha, bezdeszczowa noc utrudniała to zadanie. W świetle latarki obejrzała okienny zamek. Był nowy, co oznaczało, że prawdopodobnie nie będzie z nim problemu. Mosiężna klamka też była nowiutka. Jess schowała latarkę do torebki i... bez trudu otworzyła okno.

Niestety, towarzyszyło temu przeraźliwe piszczenie starej ramy.

Jess zjeżyły się włosy na głowie.

Na szczęście nikt nie zareagował. Nikt nie krzyczał, nie biegł po schodach. Nie było słyhać nic poza wyciem

hulającego za oknem wiatru. Do pokoju wdarło się chłodne, wilgotne powietrze. No to spadamy. Na szczęście Jessica najpierw wystawiła rękę na zewnątrz, dzięki temu zorientowała się, że na oknie zamontowano siatkę przeciw owadom. Ostrożnie badała ją w ciemnościach, próbowała podnieść lub jakoś uchylić.

Trzeba ją przeciąć, postanowiła.

Znów sięgnęła do torebki. Tym razem po klucz do swojego mieszkania. Ostrożnie rozerwała siatkę w dolnym rogu, następnie wzdłuż ramy do drugiego rogu, a potem z obu stron do góry. Cichego dźwięku na pewno nikt nie usłyszał. Chyba że ktoś stojący pod oknem. Ze zdenerwowania Jessica ledwo nad sobą panowała.

Ruszaj się, dziewczyno.

Ostrożnie wyjrzała przez niewielki otwór. W powietrzu unosił się zapach mokrej ziemi, silny wiatr szarpał wierzchołkami pobliskich drzew. Było zimno. Okna sypialni wychodziły na położone z tyłu domu zadbane podwórko. Jess spojrzała na prawo, gdzie za patio dostrzegła sporą kępę chwastów i zaraz potem las. Od razu postanowiła dostać się do lasu.

O rany! Światło z kuchni, spanikowała.

Istotnie, część placu przed domem delikatnie oświetlało światło padające zza cienkich zasłon.

Wystarczy, że ktoś wyjrzy przez okno...

Mam nadzieję, że są zajęci gotowaniem lub jedzeniem.

Usiłowała sobie przypomnieć, gdzie co stoi w kuchni i wyszło na to, że nikt z nich nie patrzy na podwórko ani siedząc przy stole, ani stojąc przy kuchence, ani grzebiąc w lodówce.

Jess musiała zeskoczyć dokładnie w wybrane miejsce, gdzie panowała absolutna ciemność. Nawet gdyby

niechcący narobiła szumu i tak nikt jej tam nie dojrzy. Od ziemi dzieliły ją mniej więcej trzy metry. Przyjrzała się uważniej, ale nie znalazła żadnych przeszkód. Postanowiła zawisnąć najpierw na parapecie, wtedy pozostanie jej do pokonania tylko półtora metra. Miała nadzieję, że niczego sobie nie połamie i nie narobi hałasu.

A potem pobiegnie co sił w nogach.

Najpierw za okno poszybowwały szpilki. Jess nasłuchiwała, ale nic się nie działo. Mięka ziemia stłumiła upadek butów. Następnie zbadła dłonią brzeg parapetu, który zgodnie z przewidywaniami był bardzo chropowaty. Cofnęła rękę.

Zaraz, przecież mam ręcznik!

Przełożyła ręcznik przez wycięty w siatce otwór i rozłożyła go na zniszczonym parapecie.

Nie zawieź mnie, kochany ręczniczku.

Teraz musiała precyzyjnie się na drugą stronę. Na szczęście nie miała nadwagi. Przełożyła nogę i od razu zrobiło jej się zimno. Po chwili wisiała na rękach, mocno trzymając się parapetu. Teraz pozostawało jedynie zwolnić uchwyt. Gdy już spadła na dół, okazało się, że ręcznik leży obok. Tego jej jeszcze brakowało. Widocznej z kilometra pomarańczowej plamy. Jess wylądowała w mokrej trawie. Podniosła głowę, poprawiła przekrzywione okulary. Przykucnęła, nasłuchując chwilę. Na podwórku panowała cisza. Jak to na wsi przed świtem. Światło w kuchni oświetlało kawałek podwórka, ale nikt nie rzucił się do okna.

Odszukała buty, lecz na razie ich nie zakładała. Zwinęła pomarańczową płachtę w zgrabny pakunek i ruszyła przed siebie. Zamierzała dobiec do widocznego kawałek dalej lasu, ale okazało się, że to ponad jej siły. Kuśtykała więc, przy każdym kroku odczuwając ból. Przez chwilę zastanawiała się, czy to wszystko nie jest czasami ponad jej siły, nie miała jednak wyboru. Zaciskając zęby, zagłębiła się w ciemności.

Od czasu do czasu ciemności rozświetlał księżyc, który to chował się, to wychodził zza chmur. Minęła samochód Marka, potem dobudówkę; okazało się, że to garaż na dwa samochody. Pod ścianą stał rower. Był też jakiś samochód, którym zapewne przyjechał któryś z ludzi Ryana.

Jessica dopadła ściany lasu. Jeszcze przez chwilę zastanawiała się, czy nie powinna zabrać roweru, ale trudno... Szła przez zarośla, czując na bosych stopach trawę i gałęzie. Nagle napotkała spojrzenie pomarańczowych oczu; ptak strzepnął skrzydłami i bezszelestnie zniknął. Robiło się coraz chłodniej. Zatrzymała się na chwilę. Osuszyła stopy ręcznikiem i założyła buty, które zresztą i tak nie chroniły jej przed zimnem. Rzuciła ręcznik na ziemię i starannie przykryła liśćmi.

Rozejrzała się i stwierdziła, że wciąż jest za blisko domu Marka. Nie byłoby dobrze, gdyby teraz zaczęli jej szukać... Nerwy znów wzięły górę.

Muszę ułożyć jakiś plan działania. Na pewno nie dojdę pieszo do Waszyngtonu. I nie dojadę tam na rowerze. Nie ukradnę też samochodu Ryana, bo zabrał kluczyki. Tego drugiego też nie zabiorę. Co robić?

A przecież powinna szybko znaleźć się jak najdalej stąd. Inaczej pogoń bardzo łatwo ją dopadnie.

Na pewno nie może dotrzeć do swojego samochodu ani w ogóle do Waszyngtonu.

Z pewnością nie mogła też zostać tutaj. Tajniacy przede wszystkim przeszukają ten las. Już to widziała oczami wyobraźni: wyczerpana biegnie, zataczając się na boki, z tyłu idą ludzie z psami, a gdy ją wreszcie dopadają, tamten bezlitośnie kończy swoje dzieło.

Teoretycznie był jeszcze Mark, ale na niego nie mogła już liczyć. Zbyt wielkie ryzyko. I tak jedynym wyjściem z sytuacji stała się rozmowa z mediami. Mogła iść

do Martina Solomona z „Post”. Kontaktowała się z nim zawsze wtedy, gdy Davenport chciał z nim omówić te wiadomości, na których szczególnie mu zależało, lub gdy miał do przekazania materiały, które na życzenie klienta kancelarii miały się ukazać jako „przeciek”. Martin z pewnością nie przepuści takiej okazji.

Jaki jest numer jego telefonu? Skupiła się na chwilę i przypomniała sobie wszystkie cyferki.

Nagle zaskrzypiały drzwi. Jess aż podskoczyła ze strachu i instynktownie skryła się za drzewem.

Zobaczyła wychodzącego z domu Marka. Co prawda widziała tylko słabo oświetloną sylwetkę postawnego mężczyzny, ale miała stuprocentową pewność, że to on. Z domu dochodziły jakieś głosy, a gdy zawiął wiatr, Jess poczuła nawet zapach smażonego boczku. Przytulona do drzewa obserwowała podchodzącego do samochodu mężczyznę.

Mark był sam.

I wtedy przyszedł jej do głowy nowy plan: podbiegnie do Marka, opowie mu o odkryciu niedoszłego zabójcy, wskoczą do auta i znikną. A potem...

Stop, chyba się nieco zagalopowała.

Nie mogła tego zrobić, choć zdumiona stwierdziła, że zainteresowanie Markiem wcale nie wywietrzało jej z głowy, a wręcz przeciwnie, dryfuje w niebezpieczną stronę.

Pamiętaj - upomniała samą siebie - że przecież to on zaprosił do swego domu faceta, który grzebał wtedy przy kroplówce. Być może po to, aby ułatwić mu robotę.

Nie było wątpliwości, że Mark jest we wszystko zamieszany. Dlatego, mając do wyboru obdarzenie go zaufaniem lub ratowanie własnego życia, wybrała to drugie.

Dosłownie przyklejona do drzewa obserwowała, jak Mark wsiada do wozu. Zapaliła się wewnętrzna żaróweczka, oświetlając jego kształtną głowę, sympatyczną twarz i szerokie ramiona. Po chwili wysiadł z samochodu i zatrzasnął drzwi.

Nawet stąd dostrzegła, że wziął coś z auta. Jakiś mały przedmiot. Podeszedł do domu i zastukał do drzwi. Kiedy wszedł do środka, kryjąca się w ciemnościach Jessica poczuła się nagle niezwykle samotna. Musi się wziąć w garść.

Zachwycanie się jakimś przystojnym facetem było w tej sytuacji czystym szaleństwem.

Najważniejsze, żeby nikt za wcześnie nie odkrył jej zniknięcia. Sypialnia przecież nie była zamknięta od środka, a okno zostawiła otwarte. Musiała się stąd jak najszybciej wynosić. Dobrze jednak wiedziała, że piechotą daleko nie zajdzie. Była jeszcze zbyt słaba.

Znów pomyślała o rowerze stojącym przy ścianie garażu. Ciekawe, czy dałaby radę pedałować.

Pamiętała, że do domu jechali pod górę, więc teraz sunęłyby w dół. Nie przypominała też sobie, aby wcześniej pokonywali jakieś znaczniejsze wzniesienia. A więc postanowione.

Z duszą na ramieniu ruszyła w kierunku domu. Obawiała się ataku z każdej strony - z zarośli i z garażu.

Rower nadal stał tam, gdzie go wcześniej widziała - damska młodzieżówka z przerzutką, pewnie własność Taylor. Jess była potwornie zdenerwowana, ale starała się zachować bezwzględną ciszę.

Zawiesiła torebkę na kierownicy, podkasała spódnicę i usiadła na siodełku. Cały czas bacznie obserwowała okolice. Wzięła głębszy oddech i nacisnęła na pedały.

Ruszyła. Nikt jej nie gonił, nikt nie krzyczał, nikogo nie było na jej drodze. Spokojnie oddalała się od domu. Wiatr niosący małe krople deszczu smagał jej twarz i rozwiewał rozpuszczone włosy.

Ziębnięte ręce kurczowo trzymały kierownicę, a nogi pedałowały. Już po chwili bolały ją plecy i głowa, a serce mało nie wyskoczyło z piersi. Nie chcąc stracić równowagi, walczyła z pokusą spojrzenia za siebie. Cóż, jeśli będą ją gonić, z pewnością szybko odczuje na własnej skórze obecność pogoni.

Chcąc zmniejszyć ból pleców, mocniej się pochyliła. Zresztą dzięki temu będzie też mniejszym celem, gdyby ktoś chciał do niej strzelać od tyłu.

Noc była ciemna, chłodna i spokojna. Wkrótce Jess zobaczyła srebrną wstęgę szosy. Wcale jednak nie poczuła się spokojniejsza. Na oświetlonej światłem księżyca drodze będzie ją doskonale widać.

Mocniej nacisnęła pedały. Dzięki temu, że zjeżdżała z górki, jej plan szybkiego oddalenia się od domu Marka nabierał kształtów.

Gdy uznała, że jest już wystarczająco daleko, zatrzymała się na poboczu. Musiała zadzwonić do Martina, a nie chciała tego robić podczas jazdy. Gdyby upadła, narobiłaby sobie tylko kłopotów. Rozejrzała się dookoła. Czuła się nieswojo - sama, na pustej szosie biegnącej przez wysoki las. I ta cisza. Słyszała tylko swoje walące serce. Sięgnęła do torebki po telefon i wybrała numer. Od razu zaczęła desperować: a co będzie, jeśli Solomon nie odbierze, co powinna zrobić, jeśli włączy się automatyczna sekretarka?

Sygnal rozbrzmiewał chyba całe wieki, co jeszcze bardziej ją zdenerwowało. Przecież światelko telefonu oświetlało jej twarz i ktoś może ją zobaczyć. Poza tym doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że mając odpowiedni sprzęt, bez trudu, i to natychmiast, można zlokalizować osobę rozmawiającą przez telefon komórkowy. Pocieszała się jednak brakiem pogoni i tym, że być może wkrótce odjedzie stąd samochodem w siną dal. A wtedy będą sobie mogli ustalać, co tylko zechcą. Chociaż... wcześniej czy później Mark i jego ludzie odkryją prawdę, a wtedy zacznie się zabawa. Śmiertelna zabawa, bo przecież wśród nich jest zabójca. Jessica wiedziała, że wszystko zależy od tego, jak szybko ściągnie tu swego znajomego i jak szybko dotrze do własnego samochodu. Postanowiła, że to będzie ostatnia rozmowa z tego telefonu. Musi się pozbyć aparatu, musi...

- Jessica, to ty? - usłyszała wreszcie w słuchawce. Nie posiadała się z radości. Co za szczęście, że Martin miał jej numer i nazwisko zapisane. Dzięki temu nie zignorował telefonu. Teraz będzie gwiazdą miesiąca.

- Cześć Marty. Jak się masz? - mówiła cicho, chociaż nikogo nie było i nie mogło być poblizu. Stała przecież sama na drodze biegnącej przez las, a nad nią zbierały się czarne, gęste chmury zraszające ziemię lekkim deszczykiem. Było strasznie. Więcej nawet, przerażająco. - Mam do ciebie ogromną prośbę. Czy mógłbyś...

- Gdzie jesteś? To niesamowite, że akurat teraz dzwonisz. Słyszałaś już o Davenportcie? Marty był dziwnie przytomny jak na człowieka wyrwanego ze snu. Jessica sądziła, że siedzi teraz na łóżku, a włączona nocna lampka oświetla jego łysinę i resztki czarnych włosów. Być może nakłada właśnie okulary na wydatny nos. Marty miał około pięćdziesięciu lat, był niski i krępy. Jessica zauważyła kiedyś, że pod koszulą zawsze nosi podkoszulek. Nie wiadomo dlaczego, ale pomyślała teraz, że pewnie w niej sypia.

- Wyobraź sobie, że facet wyskoczył z okna swojego biura. Zabił się na miejscu.

- Wiem. Byłam tam. I właśnie o tym chciałabym ci opowiedzieć. - Jessica rzuciła to jako przynętę, inaczej może nie miałby ochoty z nią więcej gadać. A przecież musiała, i to za wszelką cenę, zniknąć z szosy, na której teraz sterczała. - Chciałabym cię poprosić, abyś przyjechał po mnie. Tak, teraz. Udzielę ci wywiadu i będziesz miał wyłączność na wszystko. - Zręcznie wabiła reportera. - Byłam przy samobójczym skoku Davenporta i przy tym podejrzanym wypadku drogowym. Ale musisz się pośpieszyć.

- Kochaniutka! Już leczę! Dla takiego materiału gotów jestem odebrać cię z dowolnego miejsca na globie - zapewniał rozentuzjasmowany. - To gdzie się mam stawić?

Jessica wyjaśniła, jak ma dojechać i spytała, jakim wozem przyjedzie.

- Niebieskim saturnem o numerach EGR-267.

- Dobrze. Czekam przy sklepie 7-Eleven - powiedziała. Miała więc do przejechania jakieś dziesięć kilometrów i zupełnie nie wiedziała, ile czasu zajmie jej pokonanie tego odcinka. - Gdybym nie pojawiła się od razu, skręć na skrzyżowaniu w lewo i jedź tak długo, aż się spotkamy na drodze - dodała, mając nadzieję, że dobrze zapamiętała trasę.

- Zrobi się - zapewnił. Jessica przypomniała sobie słowa Davenporta, że Martin jest jak pies myśliwski, nigdy nie gubił raz podjętego tropu sensacyjnej historii. - A więc za pół godziny przy sklepie.

- Będę czekać - zapewniła. Miała lekkie wyrzuty sumienia, ostatnio przecież sprowadzała na ludzi same kłopoty. Pocieszała się jedynie myślą, że niebezpieczeństwo skończy się z chwilą opublikowania wywiadu. - Marty, ale musisz uważać na siebie. Wplątałam się w niezłą kabałę.

- To cudownie, przecież żyję z takich spraw - emocjonował się, zapewniając, że już rusza. Następnie wyłączył się.

Wyświetlacz telefonu Jessiki świecił jeszcze przez chwilę, po czym zgasł. Schowała aparat do torebki; postanowiła zatrzymać go jednak na wypadek kłopotów ze zlokalizowaniem Marty'ego. Uspokajała samą siebie, że dopóki Mark nie zorientuje się w jej ucieczce, dopóty nikt nie będzie ustalał położenia jej telefonu. Wsiadła na rower i mocno trzymając kierownicę, nacisnęła na pedały.

Na szczęście kilka minut później był szeroki zakręt i zaczynał się lekki zjazd w dół. Nogi mogły wreszcie trochę odpocząć. Nagle coś tknęło Jess i spojrzała za siebie. Omal nie spadła z roweru - w oddali jaśniały światła nadjeżdżającego samochodu.

Czyżby pogoń?

Rozdział 20

Gwałtownie zahamowała, niemal spadając z roweru. Rozejrzała się i uznała, że nie zdąży dobiec do ściany lasu. Samochód zbliżał się z ogromną prędkością i już był na zakręcie, który przed chwilą pokonywała. Jess rzuciła się na pobocze, w wysoką trawę, ciągnąc za sobą rower. Biegła, a szpilki wbijały się w miękką ziemię. W ostatniej chwili rzuciła się na ziemię i zakryła rękami twarz. Sekundę później było po wszystkim. Kierowca nawet nie zwolnił. Jessica zdążyła jeszcze dostrzec, że była to toyota RAV4.

Dopiero teraz z ulgą wzięła głęboki oddech. Nie musiała przykładac dłoni do klatki piersiowej, aby poczuć, jak wali oszalałe ze strachu serce.

Jessica starała się zapanować nad oddechem. Obliczyła, że do sklepu, przy którym ma spotkanie, zostały jakieś trzy kilometry. To pestka dla zdrowego piechura, ale nie dla niej. A teraz po prostu bała się wyjechać na drogę. To z pewnością nie był samochód Marka, ale... Wyglądało na to, że odkryto jej nieobecność znacznie wcześniej, niż się tego spodziewała.

I co ja teraz...

Nie dokończyła nawet, bo samochód przejechał spory kawałek, ale nagle zatrzymał się i zawrócił. No nie.

Samochód mknął w jej kierunku.

Po co on zawraca? Głupie pytanie.

Najpewniej kierowca coś zauważył, chociaż nie miała jednak pojęcia, co ją zdradziło. Kucnęła, opierając dłonie na mokrej trawie. Samochód był coraz bliżej. Nie czekała biernie na rozwój wydarzeń, tylko pochyłona ruszyła w kierunku pobliskiego zagajnika. Zapadające się w ziemi obcasy utrudniały poruszanie się, ale parła do przodu. Łodygi mokrych krzewów smagały ją po twarzy, żądne krwi owady osaczały coraz bardziej. Było tak ciemno, że Jess poruszała się dosłownie po omacku. Z tyłu zbliżały się rozdzierające mrok samochodowe reflektory. Wreszcie usłyszała pisk hamulców, potem dźwięk otwieranych, a w chwilę później zatraskiwanych drzwi.

Na poboczu, w świetle samochodowych reflektorów dostrzegła sylwetkę dobrze zbudowanego, wysokiego mężczyzny.

- Jess! - Znajomy głos spłoszył ciszę.

A więc jednak to był Mark. Wstrzymała oddech.

- Jess! - powtórnie zawołał Mark. Znieruchomiała jak zając goniony przez ogary. Zupełnie nie wiedziała, czego od niej chciał. Serce podpowiadało, że powinna okazać mu zaufanie, ale rozum mówił coś innego - a pomyłka przecież mogła kosztować ją życie.

Wtem ciemność rozdarł jeszcze jeden snop światła. Mark włączył latarkę i starannie przeczesywał zarośla. Skąd, do diabła, wiedział, gdzie jej szukać? Odpowiedź na to pytanie nie była jednak w tej chwili najważniejsza.

Wkrótce Mark znalazł porzucony rower. Sytuacja stawała się coraz groźniejsza.

- Jessica, koniec żartów. Wychodź! - nawoływał, a jego donośny głos odbijał się echem od ściany lasu.

- Słyszysz mnie?

Po chwili znów oświetlił zarośla i ruszył dokładnie jej śladem. Powinna uciekać, bo zaraz znajdzie się w jej

kryjówce. Ale jeśli teraz się poruszy, wszystko będzie stracone. Facet jest przecież większy, silniejszy i sprawniejszy. Nie warto nawet próbować. Do tego ma pistolet.

Na myśl o broni ciarki przeszły jej po plecach. A może powinna mu zaufać...

- Jess. - Mark szedł prościutko do celu. Zdenerwowanie Jessiki sięgnęło zenitu.

...było nie było, uratował jej przecież życie...

- To ty, Mark? - Podniosła się ledwo żywa.

- No, wreszcie!

W dwóch skokach znalazł się tuż obok. Objął ją i mocno przytulił. O dziwo, wcale nie protestowała, poza tym jego obecność dziwnie ją uspokoiła. Dobrze było znów znaleźć się w jego mocnym objęciu. Właściwie mogłaby tak pozostać już na zawsze.

- Wykręciłaś taki numer, że słów brakuje! Co ci strzeliło do głowy?

Nie wiedząc, co odpowiedzieć, mocniej tylko wtuliła się w niego. Nagle poczuła pod dłonią przypiętą do jego pasa kaburę. I znów nie wiedziała, czy powinna się bać, czy cieszyć. Ale pachniał tak znajomo i upojnie... Skoro nie ma innego wyjścia, musi mu ponownie uwierzyć lub... przynajmniej udawać, że wierzy.

Z całego serca wolałaby to pierwsze.

- A gdzie są twoi ludzie?

Mark nieznacznie odsunął Jess od siebie i spojrzał jej w oczy. Było zbyt ciemno, aby mogła odczytać cokolwiek z wyrazu jego twarzy.

- Wszyscy cię szukają. Dobrze że Wendell poszła na górę wziąć prysznic, bo poczuła przeciąg.

Weszła do twojego pokoju i zobaczyła otwarte okno. Mam tylko nadzieję, że prysnęłaś na własną rękę i że nie było to porwanie.

- Może porozmawiamy o tym gdzie indziej - zaproponowała. Miała nadzieję, że przyjechał sam, w każdej jednak chwili mogli z krzaków wyskoczyć pozostali tajniacy. W każdym razie wołała już znaleźć się w samochodzie z Markiem, niż dalej tu sterczeć.

- Wreszcie jakiś dobry pomysł.

Mark wziął Jessicę za rękę i poprowadził do samochodu. Szła z trudem, nogi miała jak z waty, bolały ją plecy, dawało o sobie znać zmęczenie.

- Źle się czujesz?

- Nie, nie. Czy twoi ludzie też tu jadą? - pytała, ledwo za nim nadążając i cały czas bacznie obserwując szosę.

- Nie spodobali ci się czy co?

- Nie mam do nich zaufania.

- Czy to dlatego... a zresztą, pogadamy w aucie. Chwilę później Mark otworzył drzwi od strony pasażera

i Jess wsiadła. Poczowała ogromną ulgę, bo bolało ją całe ciało; o istnieniu wielu zboląłych teraz mięśni do tej pory nawet nie miała pojęcia.

Mark zatrzasnął drzwi i obchodził wóz dookoła. Jess przeszedł dreszcz. Szybko rzuciła okiem na stacyjkę, ale nie było w niej kluczyków. Właściwie to nawet się nie spodziewała, że je tam zobaczy. Przez chwilę zastanawiała się, czy mogłaby zostawić Marka samego na szosie i doszła do wniosku, że tak.

Na szali wciąż było jej życie. Na dodatek nie wiedziała, po której stronie barykady on stoi, a od tego zależało, ile może mu powiedzieć. Nadal go jednak podejrzewała.

Mark otworzył tylne drzwi i wrzucił do środka rower, potem wsiadł do wozu i położył na kolanach Jess jej torebkę. Nim zgasło światelko, dostrzegła strudzoną twarz wyraźnie wkurzonego faceta.

- Dziękuję.

- A teraz zamieniam się w słuch. - Spojrzał na nią ponurym wzrokiem i włożył kluczyki do stacyjki.
- Nie mam zaufania do ludzi, których sprowadziłeś.
- To już wiem.

Jess podziwiała widoczny w mroku piękny profil twarzy Marka, cóż, jak widać, niedaleko pada jabłko od jabłoni - jej matka też głupiała w obecności przystojnych mężczyzn.

- Mam nadzieję, że dotrzymałeś słowa i nic im nie powiedziałeś. - Nie było to wprawdzie już najważniejsze, ale ten z jego ludzi, który już raz próbował ją zabić, miałby dodatkowy motyw.
- Nie wierzysz mi?
- Nie byłam pewna, co zrobisz - zaczęła, nie mając pomysłu na ciąg dalszy opowieści.

Czy mam powiedzieć mu o wszystkim?

Gdyby Mark był jej wrogiem, to i bez nowych rewelacji wiedział zbyt dużo. A przecież już dawno przyznała w duchu, że dobrze się stało, iż to on ją odnalazł i z nim czuła się bezpiecznie.

- Dobrze wiedzieć - odparł cierpko, ruszając. Włączył też ogrzewanie. - A więc dlaczego zdecydowałaś się na skok z pierwszego piętra i opuszczenie strzeżonego domu?

- Już ci mówiłam. Nie czułam się tam bezpiecznie.

- A w środku lasu było bezpieczniej? Chyba ci się coś pomyliło - mówił coraz bardziej zirytowany. - Omal nie dostałem zawału serca, gdy Susan powiedziała, że nie ma cię w pokoju. Nie pomyślałaś o tym, że na zewnątrz mógł się czaić zabójca? A powinnaś, skoro twierdzisz, że to nie był wypadek.

Prawdę mówiąc, sądziłem, że cię porwano.

Był potwornie zdenerwowany i pewnie dlatego jechał jak szalony. Po chwili Jessica ze zdziwieniem stwierdziła, że prawie już pokonali dystans, który z takim trudem przebyła. Serce zabiło jej mocniej, gdy mijali pagórek,

z którego telefonowała do Martina. Za chwilę znajdą się przy domu Marka.

Trzęsa się z zimna. Miała nadzieję, że nie popełnia tragicznego błędu, ponownie obdarzając Marka zaufaniem. Pocieszała się tak samo jak wcześniej: gdyby chciał mnie zabić, już dawno by to zrobił. Poza tym włączył ogrzewanie, a takich rzeczy nie robi się dla kobiety, którą chce się zamordować.

- No dobrze, powiem ci, dlaczego uciekłam. Jestem pewna, że to jeden z twoich ludzi grzebał w szpitalu przy mojej probówce.

- Co takiego? - rzucił z niedowierzaniem. W świetle księżycy dostrzegła malujące się na jego twarzy autentycznie zdziwienie, a nie zmieszanie, jakie towarzyszyłoby osobie wtajemniczonej w tamto najście.

Dzięki temu opadło jej napięcie i zniknął ucisk w brzuchu. Zaufanie Markowi to chyba dobre posunięcie.

- Opowiem ci wszystko, ale najpierw musisz zawrócić. Nie mogę jakby nigdy nic zjawić się w twoim domu.

- Chyba żartujesz.

Nie kłóć się ze mną, tylko zawróć, zaklinała los. Po krótkiej chwili zwolnił i... zawrócił. Na szczęście, bo byli już blisko celu. Odetchnęła z ulgą.

- No, to gadaj - zachęcał Mark, przyspieszając. Tym razem jechali we właściwym jej zdaniem kierunku. - Zupełnie nie rozumiem, jak coś takiego mogło ci przyjść do głowy.

- Tamten facet w szpitalu powiedział wtedy do mnie: „Ten środek pomoże ci zasnąć, dziecinko”. A dziś w nocy, kiedy wstałam do łazienki, usłyszałam rozmowę na parterze i to samo zdrobienie. Tym razem chodziło o śniadanie.

- Czy to był męski głos? Fieldinga czy Matthews'a?

- Tego nie wiem, ale dam głowę, że się nie mylę. To był tamten facet.

- Szkoda, że tego nie słyszałem, ale nie byłem z nimi przez cały czas.
- Wiem, co mówię.
- A więc któryś z nich. - Mark zamyślił się, a po chwili dodał: - Nie, to wykluczone.
- Mówię ci, że to prawda.
- Myślisz, że tylko jeden facet w taki sposób zwraca się do kobiet?
- Na pewno nie, ale na sto procent rozpoznałam głos
- zirytowała się Jess.

Minęli już miejsce, w którym Mark ją odnalazł i Jessica pomyślała o jadącym po nią dziennikarzu. Miała zamiar dotrzymać danej obietnicy i udzielić wywiadu. Obawiała się trochę reakcji Marka, ale ona swoje wiedziała - upublicznienie podejrzeń w sprawie wypadku Annette Cooper to jedyna szansa uratowania własnego życia. Rozważała natomiast późniejsze pozostanie z Markiem.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi o swoim odkryciu?
- Nie wiem. Może dlatego, że rozmawiałeś z osobą, która chciała zrobić mi krzywdę... Poza tym pracujecie w tej samej instytucji.
- Postanowiłaś więc zabawić się w kaskadera.
- Nie miałam wyboru.
- Trzeba było porozmawiać ze mną. Znam ich od dawna. To uczciwi ludzie.

Dojeżdżali już do oświetlonej drogi numer 1-95 i Jessica musiała zdecydować co dalej. Przede wszystkim jednak musiała przekonać Marka do swoich racji.

- Jeden z nich jest złym człowiekiem - upierała się.
- Dlaczego nie chcesz mi uwierzyć?
- U nas nie było i nie ma zdrajców.
- Ja jednak swoje wiem.
- Nie zarzucam ci kłamstwa, ale być może się pomyliłaś. Nie mogę uwierzyć w to, że facet, który usiłował

cię zgładzić w szpitalu, pracuje ze mną. To by oznaczało próbę zatuszowania jakichś faktów związanych ze śmiercią żony prezydenta, a co za tym idzie, udziału tajnej policji w sprawie. A w to nigdy nie uwierzę.

Jess pomyślała, że Mark usilnie broni się przed niezaprzeczalnymi faktami.

- Dobrze, powiem ci więc, że według mnie ludzie, którzy zjawili się przy wraku, no, ci z latarkami, którzy podpalili wóz albo przynajmniej biernie obserwowali, jak się palą pasażerowie, to też byli tajniacy.

Mark zamilkł. Siedział sztywno, z kamienną twarzą.

- A to co znowu za... - Nagle rozległ się dźwięk telefonu. Mark rzucił okiem na wyświetlacz, zawahał się chwilę i wreszcie odebrał. - Słucham.

-1 co z naszą sprawą? - pytał jakiś mężczyzna. Pomimo odległości i trzasków na linii Jessica słyszała każde słowo.

- Wszystko dobrze.

- Znalazłeś ją? -Tak.

- Jest z tobą? -Tak.

Mark rzucił w kierunku Jess ukradkowe spojrzenie. Nie zareagowała. Mark najprawdopodobniej nie był świadomy tego, że słyszy jego rozmówcę.

- Ta cizia skontaktowała się z jednym z dziennikarzy.

Skąd oni to wiedzą, zdenerwowała się nie na żarty.

- To niemożliwe.

Zwolnił przed zakrętem, do którego akurat się zbliżali. Spoza drzew przesączało się blade światło księżyca. W srebrnej poświacie Mark wydał jej się nagle potwornie obcy.

- Możliwe, możliwe, facet już jedzie na spotkanie. - Ryan pytająco spojrział na Jessicę. - Poza tym jest jeszcze parę

nowych informacji. Coś tu zaczyna śmierdzieć, musimy jak najszybciej załatwić tę sprawę.

- Sam się tym zajmę.

Samochód zbliżał się do znaku wskazującego drogę 1-95, a więc do szosy prowadzącej do umówionego miejsca spotkania Jess i Martina.

- Pamiętaj, ona nie może rozmawiać z tym reporterem.

- Załatwione. Daję słowo. - Mark znacząco spojrział na Jess.

Usłyszała wyraźne westchnienie ulgi tamtego.

- Dobrze, a teraz chciałbym, żebyś zawiózł ją do siebie do domu. Już tam jadę.

- A skąd wiesz, że mnie tam nie ma? - zirytował się Ryan.

- Chyba się domyślasz? Przecież od dawna pracujesz dla nas. Umiemy to docenić i pamiętamy zasługi.

Mark mocniej ścisnął słuchawkę.

- Czy firma ma coś wspólnego ze śmiercią Davenporta i jego sekretarki? - spytał nagle.

Jess nie wierzyła własnym uszom. Serce ponownie waliło jej jak młot, na dłoniach od razu pojawił się pot. Samochód zbliżał się do skrzyżowania.

- Oczywiście, że nie. A teraz zawróć i przywieź ją do domu. Tam pogadamy.

Mark ponownie spojrział na Jess, lecz trudno było odczytać wyraz jego twarzy. Ogarnęły ją czarne myśli.

- Rozumiem, chętnie posłucham, co masz mi do powiedzenia. - Mark wyraźnie się rozluźnił.

Jess zakręciło się w głowie, a w sercu poczuła wielki ciężar. Za nic na świecie nie mogła pozwolić Markowi na powrót. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że to oznaczałoby dla niej śmierć.

Przerażająca była też myśl, że Mark był jednak elementem zastawionej na nią pułapki.

- To świetnie. - Rozmówca Marka był wyraźnie zadowolony. - Przyjadę za mniej więcej pół godziny.
- Jasne.
- Pamiętaj, nie wolno ci spuścić oka z obiektu.
- Tak jest.

Jess wystraszyła się nie na żarty. Podczas całej tej rozmowy Ryan nie zdradzał żadnych emocji. Z trudem oderwała od niego wzrok i spojrzała za szybę samochodu. Znaleźli się właśnie przed skrzyżowaniem, gdzie kierowca musiał się zatrzymać. Przed nimi widoczny był niewielki pagórek, za nim wysokie zarośla, a dalej las. Tam czekał na nią lub za chwilę podjedzie Martin. Musi jakoś dostać się do drogi numer 1-95...

Obmyślenie planu ucieczki trwało sekundę. Gdy tylko samochód zatrzymał się, chwyciła za klamkę i otworzyła drzwi.

- Jess! - wrzasnął Mark, usiłując ją chwycić.
- Spadaj!
- Jess, do cholery!

Złapał ją za marynarkę, lecz uwolniła się mocnym szarpnięciem i wyskoczyła z auta.

Obcasy natychmiast wbiły się w miękkie pobocze, a Jessica, ratując się przed upadkiem, wylądowała na kolanach. Zerwała się i pobięła już na bosaka ku pagórkowi, znikając po chwili w ciemnościach. Poruszanie się bez butów nie było łatwe. Najpierw raniły ją leżące na poboczu kamyki, potem smagała mokra trawa. Jess rozpaczliwie przedzierała się przez sięgające pasa zarośla i kierowała się w stronę pobliskiego lasu. Wiedziała, że nie zdoła uciec Markowi, ale wcale jej to nie obchodziło. Tak łatwo się nie da i już. Dobrze słyszała, o czym rozmawiał. Sam się zdradził. Obiecał tamtemu, że dowiezie Jess do swojego domu. Nie mogła w to uwierzyć. Jak zwykle okazała się naiwna i głupia. Już sobie wyobrażała przyjęcie, jakie

jej tam szykowano. Ciekawe, czy miała zginąć w wypadku, czy może popełnić samobójstwo. Wariant Marian czy Davenporta? A może...

Nie dokończyła myśli, bo z tyłu usłyszała jakiś dziwny metaliczny dźwięk. Zaintrygowana obejrzała się.

W tej samej chwili stojący na drodze samochód eksplodował.

Rozdział 21

Jess zamarła. Nawet z tej odległości poczuła falę gorąca, niedowierzaniem patrzyła na wylatujący w powietrze samochód, a sekundę później na szosę spadł dosłownie deszcz jego fragmentów. Przez chwilę było jasno jak w słoneczny dzień, później w niebo wystrzelił czarny słup gryzącego dymu, natychmiast przywołując niemiłe wspomnienia...

- Mark! - krzyknęła, zapominając o wszelkich podejrzeniach. - Mark!

Rzuciła się w kierunku wraku. A kiedy stanęła, powstrzymana przez płomienie, poczuła obezwładniającą bezradność. Już nic nie mogła zrobić.

Za późno, za późno.

Czuła żar płomieni. Coś skrzypiało, zgrzytało i syczało, w powietrzu unosił się zapach palonej gumy...

Asfalt wokół płonącego wraku stopił się. Obeszła samochód od przodu i dotarła do drzwi kierowcy.

Oczy ją piekły, dym drapał w gardle. Sytuacja była beznadziejna, ale musiała sprawdzić, czy może jeszcze jakoś pomóc kierowcy...

W jednej chwili zwątpienie i przerażenie zastąpiła nieopisana radość.

W poświacie płomieni dostrzegła leżącego na poboczu, po drugiej stronie drogi, Marka.

- Mark! - krzyknęła i w mgnieniu oka znalazła się przy nim.

Czy żyje? Czy jest ranny? Nic innego się nie liczyło.

Nie zauważyła żadnych śladów krwi. Przyłożyła dłoń, sprawdzając, czy oddycha. Nagle Mark coś wybełkotał, potem poruszył się, ostrożnie odwrócił i wreszcie usiadł. Nieprzytomnym wzrokiem popatrzył na Jess.

- Żyjesz! - ucieszyła się.

Mocno go objęła i bez zastanowienia pocałowała. Mark z trudem podniósł rękę i objął siedzącą obok Jessicę. Poklepał ją po plecach, a w geście tym było coś wyjątkowo osobistego.

- A niech to! - powiedział wreszcie, patrząc na palące się auto.

- Jesteś cały?

- Jeszcze nie wiem, kręci mi się w głowie. Wiem tylko, że gdybyś nie wyskoczyła z samochodu i gdybym nie poleciał za tobą, oboje smażylibyśmy się teraz w środku.

Jego słowa sprawiły, że Jess nagle wróciła pamięć - przecież Mark wiozł ją na spotkanie ze śmiercią. Szarpnęła się i wstała, ale zdążył ją chwycić za nadgarstek.

- Nigdzie nie pójdziesz.

- Puszczaj, draniu!

- Uspokój się! Zupełnie nie rozumiem, dlaczego za wszelką cenę chcesz się wystawić na niebezpieczeństwo.

- Nie myśl, że jestem głupia. Słyszałam całą twoją rozmowę. Wiedziałam, dokąd jedziemy!

Mark podniósł się, wciąż trzymając ją za rękę.

- Zgodziłem się na jego propozycję, aby zyskać na czasie. Nie bój się, jestem po twojej stronie. Nie wierzysz? To obejrzyj się za siebie. Ta bomba miała zabić nas oboje. Nie tylko ciebie.

To prawda, pomyślała. To musiała być bomba, dlatego samochód eksplodował.

Spojrzała na ogień i przestała się szarpać. Pomarańczowe płomienie ogarnęły już cały wrak. Wszystko skwierczało

i syczało. W jednej chwili do niej dotarło, że mogła się tam znaleźć razem z Markiem.

- A teraz daj mi na chwilę swoją torebkę - powiedział i nie czekając, ściągnął torebkę z jej ramienia.

- Co robisz? - zaprotestowała, chwytając za pasek.

- Podrzuciliśmy ci tam lokalizator, inaczej przecież nie mógłbym odnaleźć cię w środku nocy - wyjaśnił. Sięgnął głębiej, wyjął jakieś małe urządzenie i wrzucił je do ognia. - A teraz twój telefon.

- Chyba nie chcesz...

Nie dokończyła. Mark wrzucił w płomienie także i swój telefon.

- Trzeba się tego pozbyć, inaczej będą wiedzieli, gdzie jesteśmy.

„Będą wiedzieli”. A więc są jacyś „oni”, zdenerwowała się Jess.

Mark chwycił Jessicę za dłoń i pociągnął na drugą stronę jezdni. Spojrzała w kierunku, skąd przyjechali i zamarła. Z oddali połyskiwały reflektory wyjątkowo szybko jadącego samochodu.

Może to nie są ci „oni”, zaklinała rzeczywistość. Chociaż, kto inny jechałby jak wariat o tej porze?

- Zbliża się jakieś auto - zawołała.

- Niedobrze - stwierdził, spoglądając na migoczące w oddali światła.

Ruszył do przodu, pociągając za sobą dosłownie sparaliżowaną ze strachu Jess. Zdążyła jeszcze chwycić buty leżące na poboczu; co prawda chodzenie w nich po lesie nie było łatwe, ale lepsze to niż zasuwanie na bosaka.

Kiedy Jessica się potknęła, Mark bez słowa chwycił ją w ramiona i ruszył w kierunku pobliskiego zagajnika.

- Nie musisz mnie nieść - zaprotestowała.

- Skarbie, jeszcze mi życie miłe.

Niech mu będzie, w ten sposób szybciej znikną w ciemnościach. Gdyby musiała za nim kuśtykać, mając poranione stopy i bolące plecy, trwałoby to wieki. W torebce miała tabletki przeciwbólowe, ale nie było na to teraz czasu. Samochód zbliżał się coraz bardziej, wreszcie zwolnił i zatrzymał się kilka metrów przed płonącym wrakiem.

Jessica poczuła ciarki na plecach.

- Mark - szepnęła mu wprost do ucha, widząc, że ktoś wysiada. Było jednak zbyt daleko, żeby go rozpoznać. - Tamten samochód zatrzymał się przy twoim.

Mark nie zatrzymywał się, nie obejrzał. Uparcie pokonywał krzaki, które czepiały się nóg Jess, utrudniając ucieczkę. Już ledwie było słychać odgłosy palącego się auta. W pewnej chwili Mark przystanął, poprawił Jess trzymaną w ramionach, a nim ruszył dalej, rzucił okiem za siebie. Jessica podążyła za jego wzrokiem i zobaczyła światła dwóch latarek skierowanych na pożar.

- Mamy jakieś piętnaście minut, zanim zorientują się, że samochód jest pusty - powiedział Mark.

- A potem?

- Potem zaczną nas szukać.

Poczuła się nieswojo. Na gwałt trzeba było coś wymyślić. Poza tym miała przecież umówione spotkanie.

- Ten facet, który do ciebie dzwonił, miał rację. Zdążyłam pogadać ze znajomym dziennikarzem.

Umówiliśmy się, że zabierze mnie spod sklepu 7-Eleven. To niedaleko stąd. Może zdążymy zanim... - zawiesiła głos, bo jakoś nie przechodził jej przez gardło ciąg dalszy: „...zanim nas złapią”.

- Ostrzegałem, żebyś z tym poczekała - mówił zdyszany i spocony Mark. - I pewnie dzwoniłaś ze swojego telefonu?

- Owszem, przecież nie mogłam tego zrobić u ciebie w domu.

- To źle, bo twój telefon jest na podsłuchu i nagrano całą rozmowę.
 - Wiedziałaś o tym? - rzuciła oburzona. Mark zrobił głupią minę. - Wiedziałaś?
 - Tak.
 - No nie! Pewnie także ty podrzuciłeś mi lokalizator. Do tego nakłamałeś, opowiadając o testach kroplówki i zgodziłeś się zawieźć mnie do siebie na pewną śmierć! Nie mogę ci już wierzyć.
 - Jeśli tego jeszcze nie zauważyłaś, to niosę cię na rękach, przedzierając się przez ten zasnany las i uciekając przed tymi, którzy wysadzili w powietrze mój samochód. Biorąc pod uwagę te okoliczności, może w końcu zmienisz zdanie.
- Ma facet rację, przyznała w duchu.
- Poza tym, jeśli powiedziałaś temu dziennikarzowi przez telefon, gdzie będziesz na niego czekać, oni z pewnością tam pojadą.
 - Powiedziałam.
 - No właśnie. Mamy jednak trochę czasu, bo na razie zamachowcy sądzą, że nas usmażyli. Dopiero jak się zorientują, że we wraku nie ma żadnych spalonych ciał, pojadą do 7-Eleven. Będziemy górą, jeśli dotrzemy tam przed nimi.
 - A ty z kim rozmawiałaś przez telefon? Mark przez chwilę nie odpowiadał.
 - Z Harrisem Lowellem.
 - Szefem gabinetu prezydenta?
 - Zgadza się.
 - No to kicha. I co, nadal upierasz się, że twoi kumple nie brali udziału w wypadku samochodu prezydentowej?
 - Biorąc pod uwagę okoliczności...
 - I pewnie wymyśliłam sobie napad w szpitalu?
 - Raczej nie.

Niezbyt podobała się jej ta wykrętna odpowiedź, ale na razie musiała się tym zadowolić. Tymczasem skończył się zagajnik i przed nimi rozciągała się łąka oświetlona blaskiem księżyca. Dalej widać było wąską linię przydrożnego rowu i szosę. Po drugiej stronie asfaltu rozciągała się kolejna łąka i kolejny las. Skrzyżowanie, gdzie płonął właśnie ich samochód, mieli po lewej stronie, za nim biegła droga prowadząca do miejsca spotkania z Martinem. Ciemności nocy powoli ustępowały i Jessica mogła dokładniej przyjrzeć się okolicy. Mark bez wahania wszedł na łąkę. Jess ogarnął niepokój.

- Mamy chyba za mało czasu. Jak tylko zrobi się jaśniej, twoi kumple zorientują się, że nawialiśmy, i pójda naszym śladem.

- To oczywiste. Ale może dzięki temu twojemu dziennikarzowi mamy jednak jakieś szanse. Trzeba się tylko pospieszyć.

- A jak Marty nie przyjedzie?

Byli już po drugiej stronie przydrożnego rowu. Jess z niepokojem spojrzała za siebie. Daleko pomiędzy drzewami widać było odbłask palącego się samochodu. Nie dostrzegła natomiast drugiego pojazdu. Może jednak byli już za daleko?

- Działamy według planu „B” - oznajmił Mark. Chwilę potem stanął na skraju szosy. Moment koncentracji i znaleźli się po jej drugiej stronie.

- A mamy taki?

- Tak jest.

Pokonali drugi rów i zniknęli w rosnących za nim zaroślach. Jess poczuła ciepło ciała mężczyzny i zapach dziecięcej zasyпки, której najwyraźniej używał. Ten zapach już zawsze będzie z nim kojarzyła.

- To może powiesz mi łaskawie, o co chodzi?

- Naprawdę chcesz wiedzieć? - Mark zdobył się na przelotny uśmiech, co nieco uspokoiło Jessicę.

Nagle zdała sobie

sprawę z tego, że jej wysiłki zmierzające do utrzymania między nimi dystansu spełzły na niczym. W końcu ten facet, który dotąd nie zwracał na nią najmniejszej uwagi, dziś nadstawia za nią głowę.

- Chcę.

- Zmienimy trasę, aby zyskać na czasie.

- A może tamci już odjechali z miejsca zamachu? Może właśnie nas szukają? Mogą przecież jechać drogą prowadzącą do 7-Eleven.

Znaleźli się już po drugiej stronie zagajnika i obchodząc skrzyżowanie szerokim łukiem, dotarli do drogi, którą Jessica chciała pokonać na rowerze.

- No właśnie, dlatego pójdziemy szosą i będziemy oglądać się do tyłu. Koniec z chowaniem się po krzakach.

Jessica zdenerwowała się po raz kolejny. Miała wrażenie, że rytmiczne uderzenia butów Marka o asfalt słychać w całej okolicy. Potem jednak uznała, że to raczej niemożliwe, pogoń musiałaby być tuż za nimi. Mimo to napięcie jej nie opuszczało, bo robiło się coraz jaśniej i wygnieciona ścieżka, jaką zostawili za sobą w krzakach, będzie widoczna jak na dłoni. Mark przyspieszył. Według Jess cel ich marszu znajdował się już za najbliższym zakrętem. Obserwowała więc w napięciu szosę za nimi, jak na razie droga była pusta.

Chwilę później dotarły do nich dźwięki samochodów jadących szosą 1-95 i wycie syren.

- Słyszysz? - spytała i nie czekając na odpowiedź, dodała: - Pewnie ktoś zadzwonił po straż pożarną lub na policję i powiadomił o płomieniach na drodze. Może moglibyśmy...

- W żadnym wypadku.

Jessica spojrzała na Marka i zobaczyła wypieki na jego twarzy i zroszone potem czoło. Mimo to szedł szybko, mocno przytrzymując Jess. On też obawiał się nadchodzącego

świtu. Jeszcze raz spojrzała za siebie. Na drodze nie było widać żadnego pojazdu. Czy jednak nikt nie podąża ich śladem przez zagajnik?

- Owszem, mógłbym pokazać odznakę i zażądać ochrony. I pewnie byśmy ją dostali, tyle że policja nie mogłaby zapewnić nam bezpieczeństwa. Faceci, którzy chcą cię sprzątnąć, są bardzo niebezpieczni i zawsze osiągają cel. A ponieważ znamy już ich tożsamość, zrobią wszystko, aby zakończyć sprawę po własnej myśli. Żeby przeżyć, musimy dowiedzieć się, kto za nimi stoi. Wtedy dopiero będziemy mogli zwrócić się o pomoc do osób niezaangażowanych. Tylko to może nas uratować.

Jess aż zakreśliło się w głowie.

- A jeśli się pomylisz? - spytała. Wyraz twarzy Marka wystarczył z odpowiedź: wtedy pożegnamy się z życiem. - Właściwie, to polują tylko na mnie. Tobie nic nie grozi.

- Nie zostawię cię na pastwę losu - ofuknął ją. - Wybij to sobie z głowy.

- Ja tylko tak.

Jess mocniej wtuliła się w Ryana. Za zakrętem był już sklep, gdzie miała się spotkać z dziennikarzem.

- Jakim samochodem podjedzie twój znajomy?

- Niebieskim saturnem.

Byli parę metrów od celu. Jessica z niepokojem przyglądała się pojazdom stojącym na parkingu i samochodowi, którego kierowca tankował paliwo. Nie było wśród nich saturna.

- Nie ma gościa - oznajmił Mark.

- Przyjedzie. Na pewno przyjedzie - zapewniała zdenerwowana. Kiedy jednak spojrzała za siebie, zamarła z przerażenia.

Od strony skrzyżowania nadjeżdżał jakiś samochód.

Rozdział 22

Mark - powiedziała cicho. - Nadjeżdża jakiś samochód. Musimy się schować. - Niech to szlag! Jednym spojrzeniem ocenił odległość dzielącą ich od pojazdu i trzymając się ciemniejszych miejsc na parkingu, pobiegł w kierunku sklepu. Przed budynkiem stały trzy wozy - wyprodukowany w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku bordowy ford eskort, szary volkswagen jetta z 2005 lub 2006 roku i zielony chrysler cruiser PT. Ten ostatni zaparkowano tuż przed drzwiami całodobowego sklepu, gdzie widać było tylko paru klientów i znudzonego kasjera. Na stacji benzynowej za to stał biały Chevrolet Silverado z 1986 roku; widocznie przed chwilą dopiero podjechał, bo kierowca nie otworzył jeszcze nawet wlewu paliwa. W mgnieniu oka Ryan skreślił w kierunku tego właśnie auta. Na pace leżały dwie drabiny i jakiś sprzęt niedbale przykryty niebieskim brezentem, tylne siedzenie było w opłakanym stanie. Ot, wóz jakiegoś robotnika.

I o to chodziło. Tym samochodem uciekną. Czekanie na znajomego Jess jest bardziej ryzykowne. W końcu Lowell wiedział, gdzie się umówili, więc być może zbliżające się właśnie auto należało do prześladowców. Z przykrością pomyślał, że mogą to być Fielding, Wendell i Matthews.

W każdym razie przewidywał, że tamci zajmą dogodnie do obserwacji miejsce i zaczekają, aż on i Jess się pojawią. Jego szef z pewnością nie dopuści do jakichkolwiek kontaktów z mediami. Dlatego powinni stąd zniknąć, zanim dziennikarz się zjawi.

- Dokąd idziesz? - spytała blada jak ściana Jessica, która sądziła, że poczekają w sklepie.

- Wymyśliłem coś, co nas uratuje - oznajmił, zatrzymując się przy bagażniku wozu.

Jeszcze raz zlustrował okolicę, potem wsadził Jess na pakę chevroleta i polecił jej schować się pod brezent.

- Co mam zrobić?

Potem jednak posłusznie weszła pod plandekę. Chwilę potem coś stuknęło o dno bagażnika. To Jess zgubiła szpilki.

Mark wskoczył zaraz za nią. Przykucnął i rozejrzał się po bagażniku. Omal nie zdeptał buta Jessiki.

Podniósł go i także wsunął się pod brezent. Jessica leżała skulona, z wysoko podwiniętą spódnicą ukazującą jej szczupłe i ponętne uda. Ich spojrzenia spotkały się, ale w tej samej chwili usłyszeli wjeżdżający na plac samochód. Prawdopodobnie ten, przed którym się chowali. Mark poczuł nieprzyjemny skurcz żołądka i w jednej chwili zapomniał o wszelkich kobiecych powabach.

Gorączkowo zastanawiał się, czy to przypadkowy samochód, czy też jego kumple z rozkazem „odszukać i zlikwidować”. A może inna, bardziej niebezpieczna grupa zabójców.

- A jeśli nas odkryją?

- Damy radę.

Jessica zacisnęła zęby. Mark odbezpieczył broń i położył się płasko obok niej. Głowa Jess sięgała jego podbródka, a szpilki i torebka uciskały mu brzuch. Pachniało farbami, pędzlami i innymi narzędziami. Mark leżał, trzymając broń opartą o nogę. Ten kawałek żelastwa dawał mu

złudne poczucie bezpieczeństwa. Wiedział, że gdy zrobi się gorąco, wystrzeli bez wahania.

-Jak myślisz, co oni teraz robią? - spytała najciszej, jak umiała.

- Nie wiem. Pewnie parkują.

Właściwie powinien powiedzieć „zaczęli polowanie”, ale to było zbyt oczywiste. Jeśli ich znajdą, nie obejdzie się bez strzelaniny. Ciężko będzie strzelać do swoich ludzi. Ale kiedy spojrzał na trzęsącą się ze strachu Jess, wszelkie skrupuły zniknęły.

Jeśli będzie trzeba, pozabija ich.

Samochód przejechał tuż obok nich. Mark mocniej ścisnął pistolet, wkrótce wszystko się wyjaśni.

Wystraszona Jessica dosłownie się do niego przykleiła, niemal czuł bicie jej serca. W każdym razie tak mu się wydawało.

Wyteżył słuch. Łowił wszystkie dźwięki dochodzące z zewnątrz, był zdany wyłącznie na swój słuch. Nigdy jeszcze nie znalazł się w takiej sytuacji. Opoдал dwa razy trzasnęły zamykane drzwi samochodu.

A zatem jest ich dwóch.

Najlepiej byłoby zobaczyć, co się dzieje, ale nie był sam i w pierwszej kolejności musiał myśleć o Jess. Gdyby jednak okazało się, że to ktoś z jego ludzi, wyszedłby z ukrycia, spojrzał mu prosto w oczy i zażądał wyjaśnień. A potem skreśliłby wszystkich z listy swoich przyjaciół i potraktował jak wrogów. Najbardziej jednak obawiał się płatnych zabójców wynajmowanych do czarnej roboty, ludzi nieznaną litości. Bez względu jednak na to, czy wysadzono jego samochód na rozkaz Lowella, czy też kogokolwiek innego, uznano widać, że Ryan stoi po stronie Jessiki Ford. Zapowiada się więc walka na śmierć i życie. A swoją drogą i tak czekać go będą jeszcze dwa lata spłacania kredytu zaciągniętego na kupno tego samochodu! Nieźle!

- Skąd będziemy wiedzieć, że przyjechał Marty? - szepnęła Jessica.

- Nawet nie będę tego sprawdzał. A teraz siedź cicho.

Rozległy się czyjeś kroki, potem szelest ubrania...

A może lepiej po prostu wyskoczyć z ukrycia i wystrzelać drani, zanim zorientują się, o co chodzi?

Kiedy jednak zobaczył sparaliżowaną ze strachu Jessicę, poczuł jej przyspieszony oddech i zaciśniętą pięść ugniatającą mu brzuch, zrezygnował z kozakowania.

Potem usłyszeli dźwięk naciskanej klamki, samochód lekko się zachwiał, trzasnęły drzwi. Więc to był ich kierowca. Chwilę potem zagrał silnik.

Mark odetchnął z ulgą.

- A co z Martym?

- Tu nie możemy się z nim spotkać. Widzisz, że już nas szukają.

Wóz staruszek wydawał tyle przedziwnych dźwięków, że pasażerowie na gapę nie musieli obawiać się wykrycia. Opuszczając parking, samochód podskoczył na jakiejś nierówności, aż otworzyła się tylna kłapa bagażnika. Mark odważył się delikatnie podnieść brezent. Za wszelką cenę chciał zobaczyć, kto po nich przyjechał.

Było to czarne bmw z numerami z Wirginii - BCW-248. A więc na szczęście nie saab Susan, co zresztą niewiele w ich sytuacji zmieniało.

Zapach farby stał się trudny do zniesienia. Duszący. Drażniący oczy.

- Na szczęście nikt za nami nie jedzie - oznajmiła słabym głosem. Odwróciła twarz w kierunku uchylonej plandeki i łapczywie chwyciła świeże powietrze. Wóz wjechał na podjazd prowadzący na drogę numer 1-95. Ponieważ kłapa bagażnika nadal była otwarta, Mark zlustrował odcinek szosy, który już przejechali. Pusto.

- Wiesz, dokąd jedziemy?

Samochód z pewnością kierował się na północ. Kierowca nagle przyspieszył, aż wszystkie narzędzia i pojemniki z farbami zadygotały mocniej.

- Nie wiem, ale chyba w stronę Waszyngtonu. Zobaczymy, gdzie wylądujemy.

- Czy to możliwe, żeby nasi prześladowcy zrezygnowali z pościgu?

- W żadnym wypadku.

Nieco uspokojony schował broń do kabury, postanowił też ułożyć się wygodniej. Rozwahał, co zrobić dalej. Na pewno będą poruszać się pieszo. Na razie postanowił jednak zająć wygodniejszą pozycję.

Musiał jednak robić to ostrożnie, aby kierowca nie zauważył w lusterku czegoś podejrzanego.

Pochylił się więc i szepnął Jess wprost do ucha, aby obróciła się na drugi bok, potem przytulił się do niej. W ten sposób mieli twarze zwrócone w kierunku uniesionego brezentu, dzięki czemu mogli przynajmniej oddychać świeżym powietrzem.

Jessica wsparła głowę na ramieniu Marka. To wystarczyło - od razu przypomniał sobie Jess wchodzącą do sypialni, otuloną skąpym ręcznikiem. Z trudem zdołał zapanować nad wyobraźnią. Niestety, akurat wtedy Jess postanowiła ułożyć się trochę wygodniej, co wymagało wykonania szeregu nieznacznych ruchów całym ciałem. Pamięć od razu podsunęła mu obraz całującej go Jessiki, wtedy gdy odkryła, że przeżył eksplozję.

- Mark - niemal zamruczała Jess.

- Hmm?

Mark poczuł, że spódnica Jessiki znów rozpoczęła swój marsz ku górze. Ciekawe, jaką nosi bieliznę? Chłopie, opanuj się albo przepadniesz z kretelem, zganił sam siebie Mark.

- Drętwieje mi lewa noga. Muszę się odwrócić.

Jessica powoli przekręcała się na plecy, a potem na drugi bok. Męczarniom Marka nie było końca. Czuł teraz ciepło jej piersi, jej przylegających nóg, do tego niespodziewane podskoki samochodu na nierównościach drogi...

- Trzeba ułożyć plan działania - zaczęła, obejmując go w pasie i wygodniej układając się na twardej podłodze.

Spojrzał na nią. W tych koszmarnych okularach wyglądała na rasową bibliotekarkę. Ale miała duże piwne oczy, kształtne, pełne usta i aksamitne policzki. Ostrożnie poprawił jej przekrzywione na nosie okulary.

- Mamy plan - odparł nieco szorstko, co pomogło okiełznać mu rozbujającą wyobraźnię.

- Doprawdy?

- Tak jest. Musimy przeżyć.

Opanowany już odwrócił wzrok. Na zewnątrz robiło się coraz jaśniej, a na szosie panował spory ruch. Obok przetoczyła się wielka ciężarówka, której podmuch wcisnął pod plandekę trochę spalin.

- Kiepski żart - skwitowała jego słowa Jess, dając mu kuksańca w brzuch. Mark stwierdził zdumiony, że albo lepiej znosi podróż, niż można by się spodziewać, albo tak doskonale się maskuje. - Możemy przecież zadzwonić do Martina, używając telefonu na kartę.

- Nic z tego. Facet z pewnością będzie obserwowany. Mieliby nas wtedy jak na patelni. Zrozum, pogoń będzie szła twoimi śladami, dlatego nie będziesz się kontaktować z nikim z rodziny czy ze znajomych. Inaczej ściągniesz na nas nieszczęście.

Mark czuł coraz większe mdłości i musiał zaczerpnąć świeżego powietrza. Tymczasem Jessica coś do niego ciągle mówiła, nie słyszał jednak jej słów; było jasne, że tak łatwo nie odpuści. Wyglądając ukradkiem spod plandeki, usiłował dojrzeć horyzont. Niestety, na szosie było zbyt

dużo samochodów. Wracając na swoje miejsce, usłyszał koniec wypowiedzi Jess:

- ...to prezydent.

- Nie wiem, o co chodzi. Nie słyszałem, co mówiłaś. Skarciła go wzrokiem.

- Moim zdaniem za wszystkim może stać prezydent. Przecież to jego podwładny dzwonił, chcąc się upewnić, że oboje jesteśmy w samochodzie. Nikt inny nie mógłby wydać takiego rozkazu.

Mark był skołowany. Do tej pory uważał, że David Cooper kochał żonę i że w jego firmie nie ma zdrajców.

- Nie wolno zbyt pochopnie wysuwać oskarżeń. Dorabianie faktów do fałszywej tezy utrudnia dotarcie do prawdy. Na razie nie można łączyć telefonu Lowella z wybuchem. To mógł być czysty przypadek.

Musiał znów odetchnąć świeżym powietrzem, a dopiero potem zastanowi się, kto pociąga za sznurki. Czuł się coraz gorzej. Z trudem walczył z zamykającymi się powiekami i buntującym się żołądkiem. Na szczęście auto zaczęło zwalniać.

Kierowca wyhamował, zjeżdżając na prawy pas, a jadący za nimi postąpili podobnie. Teraz wszyscy poruszali się w żółtym tempie. Początkowo Mark się ucieszył, bo mógł wreszcie zapanować nad nudnościami, zaraz potem jednak zaczął szukać przyczyny nagłej zmiany sytuacji drogowej. Założył, że nie chodzi o nich, chociaż któryś z nadgorliwych obywateli siedzących za kółkiem mógł zauważyć ruchy pod plandeką i zakapować o wszystkim policji. Potem pomyślał o kontroli policyjnej, skierowanej przeciw pijanym kierowcom, co także niewiele zmieniało w ich sytuacji.

- ...się stało? Czemu tak zbladłeś? - usłyszał wreszcie.

Mark na szczęście poczuł się już lepiej.

- Nic się nie stało.
- Nie wierzę. Jakoś dziwnie zamilkłeś. Dlaczego? Wal śmiało. Jest mi już wszystko jedno.
- Nic takiego.
- A więc?
- Przeszkadza mi zapach farb. A tobie nie?
- Co takiego? Czyżbyś miał chorobę lokomocyjną?
- Ależ nie. Tylko trochę mnie zemdliło.
- Nie bujaj - roześmiała się, widząc jego minę.
- Niech ci będzie. Śmieję się, śmieję. Ale muszę ci powiedzieć, że ślicznie wyglądasz, gdy się uśmiechasz.

Jessica nieoczekiwanie spoważniała, nawet się speszyła. Chwilę później Mark pochylił się nad nią i po prostu pocałował ją w usta.

Rozdział 23

Początkowo nie wiedziała, co się dzieje, potem, a kiedy wreszcie zrozumiała, serce zabiło jej gwałtownie i fala ciepła przeszła całe ciało. Nie opierała się. Rozchyliła usta, lekko pochyliła głowę i przyciągnęła go do siebie. Czuła dokładnie każdy jego mięsień.

Było dokładnie tak jak w jej snach. Całowała z coraz większą zachłannością. Jeszcze nigdy nie czuła czegoś podobnego. Nigdy.

Oszołomiona słyszała już tylko dudnienie swego serca, a krew dosłownie szalała w jej żyłach. Wciąż głodna Marka, coraz mocniej i mocniej przywierała do jego pobudzonego ciała. Świat wirował.

Niespodziewanie Mark oderwał się od niej i łapiąc oddech, wymamrotał:

- A to dopiero.

-Uhm...

Uśmiechnął się. Objął Jess i delikatnie przyciągnął ją do siebie. Całował wspaniale. Zapomniała o niebezpieczeństwie, o niewygodach podróży, gryzącym zapachu farb i brezencie. Czule go objęła, dłońmi błędziła po jego włosach.

Nareszcie, pomyślała.

Kocham cię do szaleństwa, krzyczała bez słów. I wtedy właśnie samochód podskoczył i niespodziewanie się zatrzymał. Gdyby nie czujność Marka, pewnie długo

jeszcze nie zorientowałyby się, że stoją. Mark nasłuchiwał czujnie. Nagle Jess się zorientowała, że twarz Marka ma dziwny niebieskawy odcień. Zresztą co chwila padało na nich i znikało niebieskie światło. Zmieniła pozycję i wyjrzała spod brezentu.

Na sąsiednim pasie stał pusty radiowóz z włączonym kogutem. Samochód, którym jechali, powoli ruszył. Wtedy Jessica zobaczyła drugi, także pusty radiowóz. Nie przestraszyła się, z pewnością nie miało to nic wspólnego z nimi.

Wkrótce okazało się, że miała rację. Minęli ambulans. Sanitariusze wstawiali akurat do środka przykryte białym prześcieradłem nosze. Kawalek dalej, w poprzek oddzielającego jezdnię pasa zieleni stał rozbity samochód. Jessica nie zwracała uwagi ani na kierującego ruchem policjanta, ani na radiowozy, ani na nadjeżdżający wóz straży pożarnej. Jej wzrok przyciągnął rozbity samochód - niebieski saturn. Tablice rejestracyjne zaczynały się od liter EG.

Poczuła się nieswojo.

- Mark - rzuciła.

- Słucham - odparł Mark, dokładnie badający okolice.

- To był wóz tego dziennikarza.

- Domyśliłem się tego. Jess wzięła głęboki oddech.

- Miałaś rację. Ktoś podsłuchiwał naszą rozmowę. Marty zginął przeze mnie - zaszlochała.

- Wcale nie przez ciebie. To nie stało się przez ciebie, rozumiesz - mówił, patrząc jej prosto w oczy. -

Po prostu to jeszcze jedna ofiara jakiegoś chorego spisku. Rozumiesz?

- Tak. - Z trudem usiłowała się pozbierać. - To straszne, przecież niedawno rozmawiałam z nim przez telefon. Chyba go nawet obudziłam. Gdyby nie ja, dopiero wstawałby z łóżka i wychodził do pracy.

Oddychała szybko. Zbyt szybko. Gdy tylko zdała sobie z tego sprawę, wzięła głęboki oddech i opanowała się.

- Na razie nie możemy nic zrobić - powiedział Mark. - Musimy jednak przeżyć, żeby wyjaśnić wszystko i ukarać tych sukinsynów.

- Nienawidzę tego - cichutko skwitowała.

Mark objął ją. Tyle tylko mógł zrobić. Choć próbowała się uspokoić, wciąż wyrzucała sobie telefon do dziennikarza. Niestety, nie można było już cofnąć czasu. Chociaż, gdyby nie usłyszała tego zdrobnienia „dziecinko”, także pewnie by już nie żyła. To samo „gdyby” dotyczyło ucieczki z samochodu Marka, jego pojawienia się w biurze Davenporta i tak dalej. Śmierć już tyle razy zaglądała w jej oczy. Świadomość tego niczym lodowa góra przytłoczyła Jessicę.

Ale nie chciała umierać. Nie wyobrażała też sobie, że Mark mógłby zginąć. Zwłaszcza teraz, gdy była pewna swojego uczucia.

Musisz nad sobą panować, zganiła się.

Wciąż kurczowo trzymając się Ryana, podjęła decyzję, że zrobi wszystko, aby tylko udało się rozwiązać zagadkę, w której stawką było jej życie.

Tymczasem wjeżdżali do Waszyngtonu, co pocieszyło Jess. Ona też miała już plan działania.

- Musimy jakoś dostać się do billingów niektórych telefonów - oznajmiła niespodziewanie.

Puściła Ryana i dłonią zaczęła wygładzać zmięty materiał spódnicy. Była trochę zażenowana swoim wcześniejszym zachowaniem, ale nie zamierzała tego okazać. Skoro już zwariowała na punkcie Marka, to na razie będzie to wyłącznie jej tajemnicą. Przyjęła więc bardziej oficjalny wyraz twarzy.

- Jakie billingi?

- Coopera, Davenporta, a może i Harrisa Lowella. Dzięki temu dowiemy się, dokąd jechała prezydentowa i kto z kim rozmawiał. Byłby to niezły początek.

- Dobra myśl, tyle że ja nie mam już dostępu do takich informacji.

Kierowca zwolnił nieco na zjeździe z szosy.

- Ale ja mam.

- Poważnie?

- Robiłam to wielokrotnie dla Davenporta. Muszę mieć tylko komputer.

- Dziewczyno! Gdzie ty byłaś, jak cię nie było? - krzyknął z podziwem.

Jessica już chciała powiedzieć „Tuż pod twoim nosem”, gdy auto zatrzymało się nagle. Obojgu przeszły ciarki po plecach. Jess wyjrzała ukradkiem spod plandeki i okazało się, że stoją na światłach.

- Najpierw musimy jakoś się stąd ulotnić - stwierdził Mark. Samochód ruszył, przeciął skrzyżowanie i nabrał szybkości. - Facet musi się przecież gdzieś zatrzymać na dobre, chyba że ktoś nas wcześniej zauważy i narobi szumu.

Dojechali do kolejnego skrzyżowania i znów się zatrzymali. Mark już wiedział, jak opuścić samochód. Podał Jessice torebkę.

- Na następnym skrzyżowaniu znikamy. Skaczę pierwszy, ty za mną - zarządził, trzymając jej szpilki w dłoniach.

- A jeśli kierowca nas zauważy?

- Mówi się trudno. Nawet gdyby sprowadził gliniarzy, będziemy już daleko.

Mark wyczołgał się spod brezentu w kierunku opuszczonej klapy. Obejrzał się i zobaczył pełzającą za nim Jess. Było już całkiem jasno. Na wschodzie pokazały się różowozłote smugi, wschodzące słońce oświetlało dachy niższych budynków. Wreszcie odetchnęli świeżym powietrzem. Jechali ulicą, przy której znajdowało się wiele restauracji i małych sklepików. Wszystkie jeszcze pozamykane, nigdzie nie było widać ani jednego człowieka.

Samochód zaczął zwalniać. Nie czekając, aż całkiem stanie, Mark zeskoczył na jezdnię, natychmiast odwrócił się i wyciągnął ręce po Jess. Po chwili stała już bosymi stopami na lodowatej jezdni. Mark pomógł jej przejść na chodnik. Spojrzeli w stronę kierowcy. Facet niczego nie zauważył i najspokojniej w świecie odjeżdżał. A jeśli nawet zorientował się, że miał pasażerów na gapę, to całkowicie ten fakt zignorował.

- Chyba nas nie widział.

- Na wszelki wypadek ulatniamy się.

- Daj mi wpierv pantofle.

- Bardzo proszę. - Jego spojrzenie wyraźnie mówiło, co sądzi o takich butach.

- Przepraszam, ale idąc na spotkanie z szefem, nie spodziewałam się, że będę musiała w tych butach walczyć o życie.

- Nie o to chodzi. Jestem zdumiony, że w ogóle umiesz się w tym poruszać.

- Nie czuję się jeszcze zbyt pewnie.

Istotnie, miała nieco zeszywniałe i ociężałe nogi, do tego bolały ją kolana i plecy.

- Nic dziwnego. - Mark uśmiechnął się leciutko. - Ale jeśli chcesz, mogę cię ponieść.

- Nie trzeba. Lepiej już chodźmy - powiedziała, ruszając.

- Zobaczmy, czy nie zmienisz zdania. - Mark dogonił Jess i w wytworny sposób zaproponował jej ramię. Przyjęła je z ochotą. Szli powoli, starając się wpierv rozruszać nogi. Jess było tak dobrze, że mogłaby iść z nim pod rękę na koniec świata.

A więc tak wygląda miłość! Po chwili jednak postanowiła nieco zwolnić - przecież wcześniej Mark nawet jej nie zauważał. Poczekaj ze świętowaniem do czasu, aż skończą się ich przygody. Kto wie, czy wtedy Mark po prostu nie odejdzie. Teraz najważniejsze jest przeżycie.

- Trzeba poszukać jakiejś biblioteki. Tam znajdziemy komputery - powiedziała.
Najlepszy byłby naturalnie jej laptop, który grzecznie czekał w domu. Dałaby zresztą wszystko za możliwość powrotu do swojego mieszkania. Niestety, na razie mogła jedynie o tym pomarzyć.

- Później to załatwimy. Teraz trzeba się stąd zmywać - rzucił Mark, niespokojnie oglądając się do tyłu. Jess udzieliło się jego zdenerwowanie.

- Przecież nikt za nami nie idzie.

- Sądzę, że nasi prześladowcy już się skapowali, że nie przyjedziemy do 7-Eleven. Na ich miejscu przypomniałbym sobie, jakie samochody stały przed sklepem lub sprawdziłbym zapis z kamer. A kiedy już zidentyfikują samochód, którym uciekliśmy, z pewnością go odszukają. Pogadają z właścicielem i sprawdzą na zdjęciach z satelity całą jego trasę.

- Z satelity?

- A tak, tak. Jeśli o tym nie wiesz, to cię informuję, że przy dzisiejszym poziomie techniki można z orbity sfotografować siedzącego na dachu komara. A ci ludzie bez kłopotu znajdą dojście do satelity. Oby tylko nie wpadli na to, gdzie zacząć poszukiwania.

Chwilę później doszli do Drugiej Ulicy. Jessica dobrze знаła tę okolicę, w której przeważały domy z lat pięćdziesiątych XX wieku i nieco starsze budynki. Znajdowały się tu siedziby wielu instytucji rządowych. Jak na razie wszystkie były zamknięte.

Na ulicy zaczęli pojawiać się pierwsi przechodnie: kobieta wyprowadzająca psa i jakiś bezdomny pchający swój wózek. Trochę to za mało, na razie widoczni byli z każdej strony. Na myśl o satelitach śledzących ludzi Jessica poczuła dreszcz. Potknęła się, a Mark natychmiast ją podtrzymał.

- Powinniśmy wejść do metra i odjechać jak najdalej stąd - zaproponował.
- Chwileczkę. Musimy wyglądać jak ludzie. Powinam się uczesać - powiedziała, sięgając do torebki po grzebień.

- Akurat teraz?

Ignorując go, starannie rozczesała włosy, potem zabrała się za jego fryzurę.

- Hola! - zaprotestował.

- Masz skołtunione włosy.

- Nikt nie zwróci na to najmniejszej uwagi.

- Mam inne zdanie w tej sprawie.

- Skoro tak, to powinnaś popatrzeć w lusterko i zmyć przede wszystkim brud z twarzy.

- Jestem czymś umazana?

- Żartowałem - zachnął się Mark, ale Jessica wyjęła już z torebki nawilżane chusteczki i przecierała twarz. Pomalowała też usta różową pomadką, którą zawsze nosiła przy sobie. Dopiero po tych zabiegach uznała, że nie licząc siniaków i szwów nad okiem, wszystko jest w porządku.

- Czy pani jest już gotowa?

- Tak - odpowiedziała, ignorując zaczepkę Marka.

- No to w drogę. - Wziął ją pod rękę i ruszyli. - Znam tę okolicę. Dwie ulice dalej jest stacja.

Powinniśmy się tam znaleźć, zanim zjawią się tu nasi prześladowcy.

Na wspomnienie grożącego im niebezpieczeństwa Jess znów poczuła ciarki na plecach. Kilka minut później istotnie dotarli do stacji metra, gdzie było już sporo ludzi. Jess w napięciu przeczesywała spojrzeniem okolicę. Najpierw przyjrzała się dwóm młodym, zakapturzonym mężczyznom z plecakami i blondynce w średnim wieku ubranej w fartuch, jaki zazwyczaj noszą pomoce denty-
styczne. Potem starszemu mężczyźnie z teczką i kobiecie

w jej wieku. Nikt jednak nie zwracał na nich najmniejszej uwagi i żadna z tych osób nie wyglądała groźnie.

Nagle Mark stanął jak wryty. Jess podążyła za jego wzrokiem i spojrzała w stronę pobliskiego skrzyżowania, przez które z hukiem przejeżdżała właśnie taksówka.

- Coś nie tak? - spytała, lecz wyraz twarzy Marka mówił wystarczająco dużo.

- Nie podoba mi się tamto czarne bmw - szepnął.

Przyspieszyli, by jak najszybciej zniknąć pod ziemią.

Na skrzyżowaniu stały trzy samochody: czerwona honda, biały, dostawczy ford econoline z jakimiś napisami na bokach i nowiutkie czarne bmw z przyciemnionymi szybami oraz chromowanymi felgami.

- Co to za samochód?

- Ten sam, który zjawił się na miejscu twojego spotkania z Martym - mówił, gdy schodzili po schodach. - Takimi wozami jeżdżą tajniacy.

Rozdział 24

A co to znaczy?

Mark nie był już tym rozluźnionym facetem sprzed paru minut, a jego zastygła twarz nie wróżyła niczego dobrego. Jessica zdenerwowała się nie na żarty.

- Takich samochodów używa się do specjalnych akcji. To importowane auta. Zawsze czarne i zarejestrowane na nieistniejącą firmę.

- A tak naprawdę do kogo należą?

Na peronie było sporo ludzi. Jess na wszelki wypadek rozejrzała się, choć nie bardzo wiedziała, kogo szukać. Facetów w czerni? Owszem, tacy także czekali na metro, ale żaden z nich nie wyglądał na zabójcę. A może niepotrzebnie spodziewała się barczystych facetów w czarnych garniturach? Mark, który także się rozejrzał, wyraźnie był spokojny. Czyli nie zauważył żadnego zagrożenia. W powietrzu snuł się charakterystyczny zapach podziemnej kolejki - mieszanina woni smarów, zapachu ludzi, moczu i alkoholu. Można było wytrzymać, waszyngtońskie metro i tak należało do tych najczystszych. W tunelu zrobiło się głośniejsze, nadjeżdżał pociąg.

- Należą do opłacanych przez rząd zabójców.

- No to ładnie.

Na stację wjechał pociąg. Na nich nadal nikt nie zwracał uwagi. Jess spojrzała za siebie. Po schodach, z trudem utrzymując rower, zbiegała młoda dziewczyna, za nią

schodziła pospiesznie ubrana na czerwono pani w średnim wieku. Poza tym spokój.

- Zaraz wracam. Nigdzie się stąd nie ruszaj.

- A ty dokąd?

- Zaczekaj.

Mark rzucił okiem na pasażerów, potem podszedł do automatu z biletami. Wrzucił drobne i odebrał dwa bilety.

- Przecież ja mam bilet - zapewniła Jess. Jak większość mieszkańców jeździła metrem, bo tak było najłatwiej i najtaniej.

- Ja też, ale nie możemy z nich korzystać. Oni tylko czekają na nasz błąd. Od dziś nie używamy kart płatniczych ani żadnych innych współczesnych wynalazków. Płacimy wyłącznie gotówką.

Znów wystraszył Jessicę.

- Mam tylko jakieś dwadzieścia cztery dolary.

- A ja sto dwanaście. To razem będzie...

- Sto trzydzieści sześć. Długo z tym nie pociągniemy. Przecież nie będziemy uciekać do końca życia.

- To wcale nie jest konieczne. Musimy tylko być o krok przed nimi i odkryć prawdę.

- Słaba pociecha. Mark uśmiechnął się.

- Lepiej nie przypatruj się ludziom, ktoś może cię jeszcze pamiętać z telewizji.

Wystraszona Jess pochyliła głowę. Istotnie, wypadło jej z pamięci, że media do znudzenia miały sprawę wypadku.

- Oby nie - odparła, wtulając się w Ryana.

- Nic się nie martw. Okulary zmieniły cię nie do poznania. W żadnej relacji nie miałaś ich na nosie.

- Prawdę mówiąc, serdecznie ich nienawidzę.

- Tak? - zdziwił się. - Całkiem niepotrzebnie, bo bardzo mi się w nich podobasz.

W innych okolicznościach Jess pewnie spłonęłaby ze wstydu, teraz jednak postanowiła zażartować:

- Jeśli w ten sposób chcesz się dorwać do moich pieniędzy, to nic z tego.

- Jestem poważny jak nigdy. Wyglądasz na intelektualistkę, a to mnie zawsze bierze.

Nie odpowiedziała już nic, ale słowa Marka zapadły jej głęboko w pamięć. Wchodząc do wagonu, zdziwiła się, że mimo niebezpieczeństwa tak mocno reaguje na jego komplementy. Do tego tamten pocałunek...

- Uwaga, stopień. - Pomógł jej przestąpić próg.

W wagonie rozejrzała się dookoła. Sentymenty na bok, uznała, teraz należy skupić się na przeżyciu.

Nogi wciąż jej dokuczały, na szczęście znalazło się wolne miejsce. Obok usiadł Mark, który doszedł do wniosku, że jadący z nimi pasażerowie nie stanowią niebezpieczeństwa.

Pociąg ruszył.

- Jeśli dobrze cię zrozumiałam, to już nie tropi nas tajna policja, tylko opłaceni przez nią mordercy. - Jess mówiła szeptem; gdyby sytuacja nie była tak groźna, trąciłaby absurdem.

- Zgadza się. Ktoś doszedł do wniosku, że mógłbym coś wygadać po twojej śmierci, więc postanowiono pozbyć się i mnie.

- Mówisz o podłożeniu bomby w samochodzie? -Tak.

- Nie wiem, czy to rozumiesz, ale to oznacza, że miałam rację, twierdząc, że to ktoś z tajnej policji sprzątnął Annette Cooper - powiedziała szeptem, a może nawet jeszcze ciszej. - A teraz chcą dranie zatrzeć ślady.

- Oczywiście.

- No to kicha. - Kiwnięciem głowy Mark zgodził się z nią. - Większa niż ta, w której znalazłam się zaraz po wypadku.

- No nie - zażartował Mark. - Przecież teraz mają trudniejsze zadanie, bo muszą i mnie upolować.
- I pewnie dlatego opłacili zawodowców, co? - Mocniej ścisnęła go za ramię. - Jestem tylko ciekawa, kto ma takie możliwości, żeby szukać ludzi w celu pozbawienia ich życia.

Mark oparł się wygodnie, skrzyżował ręce na piersiach i wyciągnął nogi. Niczym nie wyróżniał się z tłumu, chociaż jego spojrzenie nie było tak bez troskie. Spod oka nieustannie lustrował otoczenie. Zachowywał się tak, jak go wyszkolono. Miał chronić ludzi powierzonych jego opiece, zasłaniając ich własnym ciałem lub zabijając przeciwnika.

- Niewiele osób.
- Prezydent? Mark kiwnął głową.
- On i ministrowie: spraw zagranicznych, obrony i spraw wewnętrznych.
- A Harris Lowell?
- Sam jest za krótki na coś takiego, ale może wykonywać polecenie prezydenta.

Mark zadumał się. Pustym wzrokiem patrzył gdzieś przed siebie. Jessica chciała jeszcze o coś go zapytać, ale nagle rozległ się pisk hamulców - metro wjeżdżało na kolejną stację. Mark wstał. Jessica spojrzała zdumiona. To nie była stacja, na której powinni wysiąść.

- Najpierw włożymy kij w mrowisko - nieoczekiwanie powiedział Mark.
- Podał jej rękę i pomógł wstać. Na peronie stał już tłum ludzi szykujących się do wsiadania. Jess przestraszyła się. Gorączkowo starała się obejrzeć każdego, ale szybko zrezygnowała z tego pomysłu. Mark stał tuż za nią, trzymając ją w talii. Gdy wysiedli, powiedział:

- Doszedłem do wniosku, że zlokalizowali już samochód, którym się wymknęliśmy, i odtworzyli naszą trasę.

Od teraz zmieniamy taktykę i kluczymy, zamiast iść prosto do celu.

O czternastej Jess siedziała przed komputerem w budynku głównym trzypiętrowej biblioteki w północno-zachodniej części miasta. Miała na sobie džinsy, których nigdy wcześniej nie nosiła, białą koszulkę z krótkim rękawem i swój żakiet. Do tego trampki i bejsbolówkę z napisem: „D.C. United”. Mark nie zmienił ubrania, pozostał w niebieskiej koszuli i czarnych spodniach. Założył jedynie czapeczkę z logo drużyny bejsbolowej Redskins. To on wpadł na pomysł, że Jess musi się jakoś przebrać. Weszli więc do sklepu z wyprzedażą, gdzie zapłacili siedem dwadzieścia. Potem wydali jeszcze cztery dziewięćdziesiąt osiem na jedzenie, zostając w efekcie z sumą stu dwudziestu trzech dolarów i osiemdziesięciu centów.

Jess nie wyobrażała sobie, co będzie dalej.

Na szczęście mieli ważniejsze sprawy do załatwienia, więc zmartwienia finansowe odłożyła na później. Najpierw wysłała maila do matki; informacje o śmierci Davenporta w połączeniu z głuchym telefonem córki z pewnością doprowadziły ją do rozstroju nerwowego. Dla kamuflażu wiadomość wysłała z konta Grace. Napisała, że czuje się dobrze i jest pod ochroną tajnej policji. Na koniec dodała, że się jeszcze odezwie.

Wreszcie przystąpiła do zasadniczej sprawy, to jest odszukania połączeń telefonicznych osób, o których mówiła Ryanowi. Już wcześniej robiła takie rzeczy i doskonale wiedziała, jak obejść hasła i zabezpieczenia firm telekomunikacyjnych, dostawców telefonii internetowych czy innych przedsiębiorstw. Zawsze zdobywała dane, na których zależało Davenportowi, pewnie dlatego tak bardzo jej potrzebował. Tym razem jednak czekały ją niespodzianki.

- Co jest? - spytał Mark, gdy zaskoczona Jess przestała tłuc w klawiaturę. Patrzyli na pusty ekran, na którym migotał jedynie nieprzydatny kod.

- Ciszej! Wygląda na to, że ktoś usunął interesujące nas informacje.

Nikt jednak nie zwracał na nich uwagi.

- Jakie? -Ciii...

Tam, gdzie Jessica spodziewała się znaleźć informacje na temat połączeń telefonicznych Annette Cooper, Davenporta, Marian, Prescottta i kierowcy, którego nazwisko na szczęście znał Mark, niczego nie było. Weszła więc na połączenia dziennikarza, Marty'ego Solomona, ale wyskoczył ten sam kod i tyle.

Jess skóra ścierpła na plecach.

- Ktoś usunął dane wszystkich osób, które straciły życie w związku z naszą sprawą.

- Niech to szlag.

Spróbowała jeszcze z Lowellem - historia się powtórzyła. To samo było z billingami prezydenta i ministrów spraw zagranicznych, obrony i spraw wewnętrznych. Jak zapewniał Mark, tylko te osoby mogły wydać zgodę na zabijanie za państwowe pieniądze. Dodatkowo więc sprawdziła wiceprezydenta i marszałka Izby Reprezentantów.

Wszędzie brak danych.

Jess bezmyślnie wpatrywała się w małe literki na ekranie, które pojawiały się zamiast długich list z numerami telefonicznymi. A przecież bez tego nie zdołają rozwiązać zagadki śmierci Annette Cooper.

A może...

Nagle zaświtał jej nowy pomysł. Skoro nie można wejść od frontu, spróbuje tylnymi drzwiami.

Wniosek, jaki wypływał z dotychczasowych poszukiwań, był następujący: telekomunikacyjne dane tych wysokich

urzędników państwowych miały zbyt dobrą ochronę jak na umiejętności Jess. Ktoś usunął wszystkie informacje niezujących, a interesujących ją osób. Tego też nie da się obejść. Czy jednak przeciwnicy Jessiki i Marka byli aż tak przebiegli, że usunęli zapisy pozostałych ludzi, dzięki którym można było zdobyć potrzebne informacje?

Postanowiła więc włamać się do danych „Aztek Limos”, firmy wypożyczającej samochody, z której usług często korzystał Davenport. Po chwili rozpromieniła się.

- Co jest? - zapytał Mark, stając obok z ręką w kieszeni. Zerknął na ekran komputera.

- Próbuję dostać się do billingów firmy, z której Davenport wynajmował samochody.

Tym razem nie było kłopotów. W tych danych nikt nie grzebał i Jess bez trudu odnalazła właściwą datę oraz godzinę i od razu trafiła na numer swojego byłego szefa.

-1 jak?

- Mam numer Davenporta. A tutaj zaraz potem ktoś trzy razy dzwonił z tego samego aparatu.

Prawdopodobnie telefonowano z miejsca, do którego miała dojechać Cooper, i pytano o przyczynę spóźnienia. Trzy telefony między pierwszą a pierwszą piętnaście w nocy.

- To jasne, potem trąbiły o tym media.

- Właśnie. Zobacz, jaka lawina telefonów zvaliła się później. - Jess wskazała palcem kolumny cyferek. - To pewnie dziennikarze, ale przydadzą nam się i te numery.

- Można to wydrukować?

Przycisnęła odpowiedni klawisz i stojąca opodal drukarka zaczęła wypluwać zadrukowane kartki. Annette Cooper była wściekła na Prescottta, że gdzieś telefonował. Być może chciał sprowadzić swoich kolegów, a potem inny pojazd zepchnął ich auto z drogi.

- Masz tu papier i ołówek. Zapisz imiona i nazwiska ludzi, którzy byli z nami w twoim domu.

Przydadzą się

też ich telefony, jeśli tylko je pamiętasz. Oczywiście włączając w to Prescottta.

- Po co ci to?

- Pamiętasz? Cooper awanturowała się, że gdzieś telefonował. Może do kogoś, kto jechał za nami lub wysłał ten ogon.

- Dobra, choć nie znam wszystkich adresów. Pamiętam za to numer Paula Fieldinga. Niestety, pozostałe miałem zapisane w telefonie.

Jessica wystarczyły jednak nazwiska.

Za chwilę czytała już billingi Fieldinga. Szybko odszukała dzień i godzinę wypadku samochodowego. Omal nie krzyknęła z radości - Prescott kontaktował się z Paulem. Następnie odszukała dane Matthews'a. Prescott dzwonił do niego dwie minuty później. Przyszła kolej na Wendell. I z nią też się połączył.

- Udało się?

- Jasne. Prescott wysłał SMS-y kolejno do Fieldinga, Matthews'a i Wendell. Do Susan zresztą dwa razy.

- Zalewasz?

- W żadnym wypadku.

Choć była to ciekawa informacja, nie wносиła jednak niczego nowego. Gdyby Prescott skontaktował się z jedną tylko osobą, Mark miałby zdrajcę w garści. Ponieważ nie mieli teraz czasu na studiowanie wszystkiego, na wszelki wypadek wydrukowali i te dane.

Jessica wróciła do podróży samochodem z Annette Cooper. Przypomniała sobie pochylonego nad telefonem tajniaka, wysyłającego do kogoś SMS-a. Więc jednak pani Cooper miała rację, facet złamał daną jej obietnicę i skontaktował się z kolegami. Właściwie to w innych sprawach też miała rację. Jess dokładnie pamiętała słowa „Jestem pieprzonym więźniem”. Pewnie miała na myśli Prescottta.

Tego samego, którego szefem był Mark.

A skoro takie były służbowe zależności, to postanowiła sprawdzić billingi samego Marka Ryana. Tak na wszelki wypadek, żeby do końca wykluczyć tłące się w jej głowie podejrzenia. Paranoja? Czemu nie!

Bez problemu dostała się do jego danych i serce zabiło jej mocniej. Do dnia wypadku nic jej nie zaciekało, za to później Mark co chwila rozmawiał z Davenportem. Ich ostatnia rozmowa odbyła się dwie godziny przed jej spotkaniem z szefem, kiedy to Davenport chciał ją zabić.

- Musimy spadać - rzucił niczego nieświadom Mark, który w pośpiechu upychał wydruki w kieszeniach spodni.

Pochłonięta swoim odkryciem Jess spojrzała na niego. Mark bezceremonialnie wyłączył komputer, chwycił ją pod ramię i podniósł z krzesła. Zupełnie nie rozumiała, o co mu chodzi.

- Namierzyli nas i są już blisko.

Rozdział 25

Zwariujesz - rzuciła z niedowierzaniem.

Jakby zapominając o tym, co przed chwilą widziała na ekranie monitora, nadal mu wierzyła. Za to myśl o prześladowcach wprost ją paraliżowała.

- Wracając z wydrukiem, spojrzałem przez okno i zauważyłem ich auto. A skoro tu dotarli, to znaczy wiedzą, gdzie nas szukać.

Szybko opuścili salę. Zdenerwowana Jess ledwie nadała za Markiem, a serce waliło jej tak mocno, że bez trudu słyszała jego bicie.

- Pewnie dane, które przeglądałam, miały zabezpieczenie. Gdy tylko weszłam na stronę, ich program podniósł alarm.

- Dzięki temu mogli zlokalizować komputer, z którego włamałaś się do systemu.

Dotarli na drugie piętro, gdzie skierowali się do bocznych schodów i windy. W piątek po południu często odbywały się tu zajęcia dla szkół, dlatego szafki wypełnione były kurtkami. Ubrana na żółto bibliotekarka przygotowywała się do zajęć z młodzieżą.

- A skąd wiedziałeś, dokąd powinniśmy iść? - zapytała w biegu Jessica.

Czas leciał i być może pościg dotarł już do sali, w której przed chwilą siedzieli. Nagle Jess uświadomiła sobie, że na ulicy staną się bardziej widoczni niż tutaj.

- Przecież tu wszędzie są strzałki.

Zrozumiała, że Mark idzie do wyjścia ewakuacyjnego. Chciała go ostrzec, że otwarcie takich drzwi zazwyczaj włącza alarm, ale nie zdążyła.

Nagle zawyły syreny.

Początkowo myślała, że Mark zwariował, kiedy jednak w stronę wyjścia ewakuacyjnego rzucili się przerażeni ludzie, zrozumiała, o co mu chodziło. Zagubieni w tłumie ludzi schodzili po schodach.

- Sprytny jesteś.

- Zdałem egzamin?

Na parterze panował jeszcze większy tłok, a z góry wciąż spływali nowi ludzie. Na zewnątrz Jess pospiesznie zlustrowała ulicę. Nie musieli się niczego obawiać - ulica była szczelnie wypełniona zarówno tymi, którzy uciekali z biblioteki, jak i przypadkowymi gapiami.

W tej części miasta dominowały niskie budynki i małe sklepiki wzniesione przy wąskich uliczkach, które teraz zapychały się nadjeżdżającymi samochodami. Hałas wybiegających z gmachu ludzi potęgowały klaksony. W oddali odezwały się syreny wozów ratowniczych. Mark chwycił Jess pod rękę i powoli oddalali się spod biblioteki. Nagle Jessica zauważyła przedzierającego się przez tłum wysokiego mężczyznę o kamiennej twarzy i ciemnych włosach, ubranego w czarny garnitur. Facet bez wątplenia czegoś szukał. Dreszcz przeszedł jej po plecach, gdy uzmysłowiła sobie, że nie „czegoś”, a „kogoś”. I w dodatku domyśliła się kogo.

- Mark! To chyba jeden z nich.

Mark spojrział w momencie, gdy tamten akurat ich zauważył. Jessica wyraźnie widziała zadowolony wyraz jego twarzy. Mężczyzna włożył rękę pod marynarkę. Nie miała wątpliwości, że sięga po broń. Serce waliło jej jak młot.

Mark chwycił ją i po prostu wrzucił do stojącej obok taksówki. Potem wrzasnął do kierowcy:

- Na Union Station. Gazem!

Jess obejrzała się i zobaczyła przepychającego się przez tłum faceta w garniturze. Jedna z jego rąk wciąż tkwiła pod marynarką. Chcąc ostrzec Marka, chwyciła go za rękaw, ale nie mogła powiedzieć nawet słowa. Gdy taksówka skręciła, nieznajomy zniknął jej z oczu.

- Czy to był jeden z twoich koleżków?

Mark rzucił jej wymowne spojrzenie. Chodziło mu

o to, aby nie gadała przy taksówkarzu. Mogłaby mu się nie spodobać perspektywa pościgu za jego pasażerami, których goniący chciał prawdopodobnie przerobić ołowianymi kulami na sito. Gdyby zwietrzył jakiegokolwiek niebezpieczeństwo, wysadziłby ich pewnie bez ceregieli, a przecież nie o to chodziło.

Szybka podróż po mieście w piątkowe popołudnie nie była możliwa. Na szczęście ani za nimi, ani przed nimi nie zauważyli żadnego podejrzanego samochodu. Sznur stojących zderzak w zderzak pojazdów mozolnie posuwał się do przodu. Gdy podjeżdżali na miejsce, Mark trzymał już w dłoni dziesięciodolarówkę. Choć był to kolejny wydatek, Jess nie pisnęła ani słowem. Mark zapłacił i wysiedli przy stacji.

Nie można było postąpić inaczej. Albo forsa, albo życie.

Mark znów szedł pierwszy, ciągnąc za sobą Jess, którą ze zdenerwowania przestały boleć nogi i plecy. A może raczej przestała odczuwać ból, bo przecież nagle nie wyzdrowiała.

- Znasz tego faceta? -Nie.

Na ulicy znów znaleźli się w tłumie przechodniów. Jessica nie zwracała najmniejszej uwagi na fasadę stacji,

na której umieszczono orły i replikę Dzwonu Wolności. Za wszelką cenę chciała znaleźć się jak najdalej od ulicy. Uspokoiała się dopiero wtedy, gdy weszli do środka stacji.

- Teraz nie ma szans, żeby nas odnaleźli - rzuciła pełna nadziei, że prześladowcy zgubili ich pod biblioteką.

Mark skrzywił się, ignorując jej uwagę, co nie było dobrą wróżbą.

- Muszę cię zmartwić, z łatwością można ustalić, dokąd dojechała nasza taksówka. Mamy tylko parę minut luzu. - Niespokojnie rozglądał się dookoła.

Wreszcie zdecydował się. Wszedł na ruchome schody, ale nie przepychał się do przodu, tylko spokojnie czekał, aż zjadą w dół. Jess była zdyszana. Ucieczka z biblioteki wykończyła ją i zdenerwowała do granic wytrzymałości, a do tego znów powrócił ból. Co prawda po posiłku połknęła kilka tabletek przeciwbólowych, ale najwidoczniej potrzebowała większej dawki.

- Poczekaj tu chwilę - powiedział Mark, gdy znaleźli się już na dole.

Jess została sama. Na szczęście po chwili Mark wrócił z biletami.

W wagonie z ulgą usiadła na wolnym miejscu, odetchnęła głębiej i poprawiła przekrzywione okulary. Obok usiadł równie zmęczony Mark. Jess zauważyła, że zgubił gdzieś czapkę, sięgnęła do swojej, ale okazało się, że też jej nie ma.

Promienie słońca, które w pewnej chwili oświetliły twarz Marka, podkreśliły jego opuchnięte i nabiegłe krwią oczy i lekki zarost na policzkach. Do tego przystojniak zgubił kilka guzików od pamiątki już koszuli. Prawdę mówiąc, przypominał teraz bardziej włóczęgę, chociaż w oczach Jess wciąż był bardzo atrakcyjny. Zresztą ona pewnie nie wygląda dużo lepiej. Wciąż nie dawały jej

spokoju rozmowy telefoniczne Marka z Davenportem, ale nie mogła teraz z nim o tym porozmawiać.

- Posłuchaj, nie możemy przecież wiecznie uciekać - zaczęła, gdy tylko wagon ruszył. Z uwagi na innych pasażerów mówiła szeptem. - Trzeba coś postanowić.

- Mam plan.

Jess знаła już tę śpiewkę.

- To opowiedz o nim.

- Musisz mi zaufać. - Widząc jej minę, Mark sięgnął po jej dłoń i złożył na niej pocałunek. W innych okolicznościach taki gest sprawiłby ją w doskonały humor, ale tym razem nie. Szybko cofnęła rękę i wykrzywiła się. - Daj mi trochę czasu.

Musiała nad sobą zapanować. Zamilkła więc i przez dwa przystanki nie zamienili ze sobą ani słowa.

Kiedy dojeżdżali do swojej stacji, była spokojna, lecz gdy tylko Mark pomógł jej wstać, znów się zdenerwowała. Napięcie ostatnich dni dawało o sobie znać. Jess była przemęczona, wystraszona i miała wszystkiego dosyć. Na dodatek nie dowierzała Markowi.

Na rondzie Duponta Mark nie pędził już tak szybko. Jessica pomyślała, że widać uznał okolicę za bezpieczną albo ze względu na jej nerwy. Znaleźli się w starej części miasta, gdzie obok domów z czasów wojny secesyjnej wzniesiono nowoczesne budynki, restauracje, galerie i muzea.

Na ulicy panował tłok, co wyraźnie cieszyło Jessicę; być może utrudni to obserwację z satelity, o której mówił Mark. Nagle przypomniała sobie książkę dla dzieci „Gdzie jest Wally?“, którą czasami czytała siostrzeńcom i doszła do wniosku, że obecna sytuacja jak ulał pasuje do tytułu „Gdzie są Mark i Jess?“.

Chwilę później skręcili w boczną, wyludnioną ulicę, a następnie weszli między dwa białe domy pamiętające

pewnie jeszcze czasy niewolnictwa. Oba zwieńczone frontonami, ozdobione zielonymi okiennicami.

- Dokąd idziemy? - spytała.

- Na weekendy członkowie Kongresu wyjeżdżają do domów, aby spotkać się z wyborcami i rodziną. W ciągu tygodnia za to mieszkają w wynajętych mieszkaniach.

Uliczka stała się teraz szersza. Przy krawężnikach stały kosze, wokół których leżały sterty śmieci. Na bezchmurnym niebie świeciło słońce. Jess zasłoniła nos ręką, aby nie czuć przejmującego smrodu wydobywającego się z pojemników.

- Wyjeżdżają i co z tego?

- To znaczy, że mamy chatę na dzisiejszą noc.

- Co? - Z niedowierzaniem patrzyła, jak Mark podchodzi do drzwi wejściowych jednego z domów i wystukuje kod. Chwilę później weszli już na ciemną klatkę schodową z drewnianą podłogą.

- Byłem tu kiedyś i zapamiętałem kod do mieszkania pewnej wynajmującej tu kobiety.

Na ścianie wisiały skrzynki na listy, Jess rozpoznała niektóre nazwiska: Sahlinger, Cristofoli, Urton, Guenther; sami parlamentarzyści.

- I tak po prostu wejdziemy do cudzego mieszkania? - zapytała, gdy znaleźli się w jadącej do góry, skrzypiącej windzie.

- Ludzie, którzy depczą nam po piętach, wiedzą o nas wszystko. Prędzej czy później mogą zajrzeć i tutaj.

Winda zatrzymała się na trzecim piętrze, gdzie były cztery mieszkania. Na wszystkich drzwiach zamocowano mosiężne tabliczki z nazwiskami.

- I co teraz? - spytała niepewnie.

Mark zapukał do mieszkania numer 14. Cisza.

- Nikt nie odpowiada, czyli mamy do dyspozycji mieszkanie Cristofoli.

Wyjął coś z kieszeni i zaczął majstrować przy zamku. Jess z trwogą rozglądała się po korytarzu, sądząc, że zaraz ktoś ich nakryje. Tymczasem Mark otworzył drzwi i pociągnął Jess za sobą.

-Wchodzimy! Szybko! Muszę wyłączyć alarm.

I bez tego przestraszona Jessica, słyszącą wyjąca syrenę alarmową, wpadła w panikę.

- To jest włamanie. Jeśli nas złapią, stracę prawo wykonywania zawodu.

- Wierz mi, że nie to będzie naszym największym problemem, jeśli nas złapią - krzyknął, rzucając się do drugiego pokoju.

- Nie mów, że potrafisz wyłączyć ten alarm. Sekundę później w mieszkaniu zapanowała cisza, a w drzwiach pojawił się zadowolony Mark.

- Jak to zrobiłeś? - spytała, nadal dygocząc ze strachu.

- Czary.

- Powiesz mi? - rzuciła, w tej samej sekundzie zdając sobie sprawę, że tak naprawdę wcale nie chce znać szczegółów.

- Jestem najlepszy - wyjaśnił wymijająco, potem dodał: - Musisz odpocząć, nie wyglądasz najlepiej. Mamy jakieś dwadzieścia cztery godziny, a potem pomyślimy.

- Rozumiem.

Zatem jutro znów będą wystawieni na niebezpieczeństwo, no, chyba że ich wcześniej zabiją. A teraz jeszcze perspektywa sam na sam z Markiem, któremu nadal przecież nie do końca ufała.

- Jesteś głodna? Jak widzę, lodówka jest pełna. Jasne, że była głodna. Na samą myśl o tym zaburczało jej w brzuchu. Natrętne myśli ustąpiły jak ręką odjął. Postanowiła zapomnieć na razie o telefonicznych konszachtach Marka z Davenportem.

Duży pokój połączony był z kuchnią i częścią sypialną. W całym mieszkaniu, przypominającym wyposażeniem raczej podrzędny hotel, dominowały beże i brązy: w dużym pokoju leżał brązowy dywan, kotary zasłaniały nie tylko okna, ale i całe ściany. Pomiedzy kuchnią a sypialnią znajdowała się łazienka i było to jedyne pomieszczenie wyposażone w drzwi.

Jess umyła ręce i twarz, co przyniosło jej znaczną ulgę.

Mark tymczasem usadowił się już w kuchni i jadł sałatkę, chleb z szynką i popijał sok. Obok stało nakrycie dla Jess: jednorazowy talerz, chleb, sałatka, sok i widelec. Pomieszczenie było naprawdę malutkie, ale bardzo jasne. W niewielkim oknie zamontowano żaluzję, a ściany, szafki, terakota i sprzęt AGD były białe.

- Chcesz kanapkę? - zapytał z pełnymi ustami.

- Poradzę sobie.

Ponieważ na stole nie było serwetek, Jessica oderwała z rolki dwa kawałki papierowego ręcznika, potem podała jeden Ryanowi. I dopiero wtedy spokojnie usiadła i z przyjemnością zjadła wszystko, co tylko znalazła na stole.

Mark od czasu do czasu komentował pokaźne ilości jedzenia, jakie gospodarz przechowywał w lodówce, ale Jess nie podejmowała tematu. Cały czas gnębiła ją jedna sprawa. Wreszcie zdecydowała się i spytała:

- Wyjaśnij mi, w jakiej sprawie kontaktowałeś się z Davenportem na kilka godzin przed spotkaniem, podczas którego do mnie strzelał?

Rozdział 26

Pozornie niewzruszony Mark nie przerwał jedzenia, chociaż widać było, że jest zaskoczony.

Przełknął, odkaszlnął i wypił trochę soku.

- Dlaczego miałbym do niego telefonować? Nie ze mną te numery, kolego, pomyślała.

- Mark!

Chcąc wyraźnie zyskać na czasie, odgryzł kawałek kanapki i zaczął przeżuwać. Jess nie spuszczała z niego oka. Wreszcie westchnął i wyjaśnił:

- Miałem zaproponować ci pewną kwotę pieniędzy za milczenie. A ponieważ Cooperowie chcieli pozostać w cieniu, we wszystkim miał pośredniczyć Davenport.

Jess była zaskoczona. Istotnie, Marian mówiła coś o jakichś pieniądzach, o odszkodowaniach...

- A co Cooperowie mają do tego? Przecież nie oni odpowiadają za wypadek. Co innego firma będąca właścicielem wozu i kancelaria Davenporta, która ją wynajęła.

- W zamian za pieniądze miałaś podpisać zobowiązanie... - przerwał i odgryzł kolejny kęs.

- Jakie znowu zobowiązanie?

- Może jednak dokończysz jedzenie?

- Lepiej ty dokończ to, co zacząłeś. Nabrał trochę sałatki na widelec.

- Prezydent i jego doradcy doszli do wniosku, że przebywając z Annette Cooper, mogłaś być świadkiem jej niewłaściwego zachowania. Wymyślili więc, że za pewną okrągłą sumkę zgodzisz się zapomnieć o wszystkim.

- A co niby takiego miałam zobaczyć? Że była wściekła na męża?

Mark skrzywił się.

- Nie o to chodzi. Prezydentowa była uzależniona od prochów. Podejrzewano nawet, że mogłaś być w to jakoś zamieszana, że miałaś jej dostarczyć towar. Nic o tym nie wiesz?

- Nie opowiadaj głupot! Nic nie wiem o żadnym uzależnieniu Annette Cooper.

- Musisz uważać na środki przeciwbólowe, które ostatnio łykasz bez opamiętania. Ona też tak zaczynała. Osiem lat temu spadła z konia, ból był trudny do wytrzymania i zaczęła brać tabletki. A potem już samo poszło.

- A skąd ty to wszystko wiesz?

- Byłem przecież szefem jej ochrony.

- Chcesz powiedzieć, że przez całą kadencję męża Annette Cooper nadużywała leków?

Pięć lat temu, nim został prezydentem, Cooper był wiceprezydentem i wtedy jego żona zajmowała się sprawami dzieci i dobroczynnością. Nie różniła się niczym od żon innych polityków i wyglądało na to, że bardzo wspiera męża.

- To znaczy, że Annette Cooper zginęła, żeby nie psuć wizerunku męża - stwierdziła poruszona Jess. - To był motyw. Skoro wiedziałeś o jej uzależnieniu, pewnie powiązałeś to z rzekomym wypadkiem. Dlaczego nic nie mówiłeś?

- Jeśli chcesz, żebym jeszcze cokolwiek ci powiedział, musisz skończyć jedzenie.

- Mark.

- Papu czeka.

Jessica dała za wygraną i sięgnęła po kanapkę.

- Niczego nie podejrzewałem. Dla mnie to był zwykły wypadek drogowy. Nawet teraz, gdy już wiem, że jednak nie, trudno mi się pogodzić z myślą, że Cooper zginęła, aby nie szkodzić mężowi.

Wiedzieliśmy o jej uzależnieniu i doskonale sobie z tym problemem radziliśmy.

- W jaki sposób?

- Odcięliśmy dostawców, tych, o których istnieniu wiedzieliśmy, w efekcie Annette Cooper nie mogła już brać w nadmiernych ilościach swoich pastylek. Jednak od czasu do czasu ktoś usłużny dostarczał jej prochy. Tamtego dnia, gdy zniknęła nam z oczu, pomyśleliśmy, że ma właśnie spotkanie z jakimś nowym dostawcą. Dlatego nikt nie podnosił alarmu. Postanowiliśmy działać na własną rękę. Chodziło o to, żeby sprawa nie wyszła na jaw.

- A w rzeczywistości ta kobieta chciała uciec z rezydencji. Gdy zorientowała się, że Prescott nas zauważył, powiedziała do mnie: „Nie rozumiesz, że jestem tam pieprzonym więźniem?”.

- Naprawdę działaliśmy dla jej dobra.

- Jak długo to trwało?

- Chodzi ci o leki? Osiem lat. Stopniowo narastało, aż wreszcie postanowiono rozwiązać ten problem.

- Pytałam, jak długo ty brałeś w tym udział?

- Od sierpnia. Wtedy przeniesiono mnie z ochrony prezydenta do ochrony jego małżonki.

- Czemu wybrano ciebie?

- Od dawna znałem ich wszystkich: Lowella, Davenporta i pozostałych z najbliższego kręgu prezydenta. Jak oni pochodzą z Abilene w Teksasie. Widocznie uznali, że mogą mi zaufać w tak delikatnej sprawie.

- To znaczy, że znałeś Cooperów już wcześniej?

- Tak. Moja mama prowadziła dom Wayne'a i Wirginii Cooper. Miałem cztery lata, kiedy mój ojciec zginął w wypadku na platformie wydobywającej ropę naftową, mogę więc śmiało powiedzieć, że wyrosłem właśnie na ich ranczu w Abilene. David, syn państwa Cooper, i jego siostra skończyli studia i wyjechali stamtąd. Zanim David zajął się ostatecznie polityką, pracował w kancelarii prawnej. Nie zapominał jednak o rodzicach i kilka razy w miesiącu ich odwiedzał.

Opowieść Marka o związkach z Cooperami, chociaż sama w sobie ciekawa, nakazywała zachować ostrożność. Gdyby się okazało, że jest im dozgonnie oddany, to...

- Czy twoja mama jeszcze dla nich pracuje?

- Już nie. Wyszła drugi raz za mąż i przeprowadziła się na Florydę. Kiedy tylko mam wolne, odwiedzam ją. Jestem jedynakiem.

- Czy... jesteś mocno związany z Cooperami?

- To zależy, co przez to rozumiesz. Mamy do siebie zaufanie. Sądzę, że właśnie dlatego przeniesiono mnie bliżej Annette. Jednak nie podjąłbym się dokonania morderstwa na ich prośbę - wyjaśnił, widząc minę Jess. - Nie mógłbym też milczeć, gdyby okazało się, że maczali w tym palce. I Cooperowie wiedzą o tym. Jeśli nadal mi nie ufasz, przypomnij sobie wszystko, co się wydarzyło przed wysadzeniem w powietrze mojego wozu.

- Czy to dla Cooperów wstąpiłeś do służb specjalnych?

- Początkowo inaczej to sobie wyobrażałem. W szkole średniej i na studiach grałem w rugby i chciałem przejść na zawodowstwo. Byłem dobry, jeden sezon grałem nawet w drużynie Cowboys. Niestety, kontuzja kolana zmusiła mnie do zmiany planów. Przeszedłem operację i rehabilitację, ale nie wróciłem już do formy. Nie byłem ani taki szybki, ani zwinny jak wcześniej. Po roku uznałem, że nie mam szans.

- Przeszedłeś ciężkie chwile.

- Takie jest życie.

Jessica pomyślała o córce Marka.

- Czy już wtedy byłeś żonaty?

- Tak. Studiowaliśmy z Heather na jednej uczelni, pobraliśmy się na ostatnim roku. Potem urodziła się Taylor. Moja eks to była niezwykle ambitna dziewczyna - bardzo chciała zostać żoną sportowca.

Krótko mówiąc, razem z końcem mojej kariery skończyło się też i moje małżeństwo. Szkoda tylko, że nie od razu zorientowałem się, o co chodzi. Gdy okazało się, że nie będę grał w lidze, Wayne Cooper załatwił mi robotę w tajnych służbach. Wydaje mi się, że już wtedy widział swojego syna, teksańskiego parlamentarzystę, w roli prezydenta. Przeniosłem się więc z żoną i córką do Waszyngtonu i rzuciłem w wir pracy. Ani się przy tym obejrzałem, jak straciłem Heather.

Jessica nie chciała być wścibska, ale korciło ją, żeby wypytać o szczegóły. Mark dostrzegł chyba jej ciekawość.

- Widzę, że chciałabyś wiedzieć, jak do tego doszło. Nic nadzwyczajnego, zbyt późno zorientowałem się, że Heather puszcza się z Tedem Parksem, moim kolegą z pracy. Najzwyczajniej wbiła mi nóż w plecy. Nie mogłem się z tym pogodzić, nawet dla dobra Taylor. Poza tym ciągle jeszcze przeżywałem fakt, że nie spełniłem swojego marzenia i nie grałem w zawodowej lidze. Zacząłem pić. Potem wziąłem się w garść, pracowałem dwadzieścia cztery godziny na dobę. A Heather potrzebowała zainteresowania. Walczyliśmy ze sobą zarówno przed rozwodem, jak i po, dopiero teraz wreszcie wszystko się jakoś ułożyło. No i swoje dokładała nam wtedy córka, która doskonale nami manipulowała, co często doprowadzało do nowych kłótni. Kiedyś, podczas ferii, wziąłem ją na Florydę do babki. I tam, bez mojej wiedzy, zrobiła sobie tatuaż na pośladku. Ledwie

wyjechała, a tu dzwoni Heather z pretensją. Wyobrażasz to sobie? Smarkula miała wtedy piętnaście lat!

Jego oburzenie rozbawiło Jessicę; coraz bardziej lubiła Taylor.

- Co chcesz, taka moda. Wiele dziewczyn w jej wieku robi sobie tatuaże.

Mark spojrział na nią zaskoczony.

- Ty też?

- Ja nie, w końcu nie jestem małolatą, mam już dwadzieścia osiem lat. Za to Mandy, jak najbardziej.

Mark nie wierzył własnym uszom.

- No ładnie. Najpierw tatuaż, a potem przedwczesna ciąża. Widzę, że będę musiał trzymać Taylor pod kluczem do trzydziestki.

Jessica poczuła się dotknięta. Co mu do Mandy, nie należał przecież do rodziny.

- Takie jest życie.

- Dobrze, już dobrze. - Mark podniósł ręce w przeproszającym geście. - Mówię o swojej córce, która jeszcze nie chodzi na randki... A przynajmniej ja o tym nic nie wiem. - Jess rozbawiona patrzyła na wyraźnie zdezorientowanego ojca nastolatki. - Wracam jednak do tematu. Istotnie kilka razy rozmawiałem z Davenportem o zadośćuczynieniu dla ciebie, choć prawdę mówiąc, nie podobało mi się to. Z tych rozmów wynikało, że nie masz pojęcia o jej uzależnieniu.

-1 to prawda.

- Właśnie dlatego nie przyszło mi do głowy, że ktoś będzie się chciał ciebie pozbyć. Kiedy jednak zaczęłaś się upierać, że to nie był zwykły wypadek, pojawił się ewentualny motyw. Stawiam jednak dziesięć do jednego, że Annette Cooper nie zginęła z powodu uzależnienia. To musiało być coś innego. - Zamyślona Jessica nie od razu zauważyła spojrzenie Marka. - A tak przy okazji, czyżbyś w bibliotece zajrzała też do moich biłlingów?

-Tak.

- Widzę, że nie ufasz ludziom. Jego słowa zdenerwowały Jess.

- Mówisz mi o braku zaufania? To może powiesz, jak po doskonale zorganizowanym wypadku samochodowym, w którym mogłam zginąć, i po zamachu na mnie w szpitalu mam wierzyć ludziom? Gdy usiłowałam opowiedzieć prawdę, nikt mi nie wierzył. Ty także. Powiedziałam wszystko swojemu szefowi i omal nie dostałam od niego właśnie kulki w głowę. Zaufałam ci i pojechałam do twojego domu, a tam był facet, który grzebał przy mojej kroplówce. Twój człowiek, sam go tam sprowadziłeś. Musiałam radzić sobie sama, więc prysnęłam przez okno, ale mnie odnalazłeś. I zaraz potem miałeś pogaduszkę ze swoimi i zgodziłeś się odwieźć mnie z powrotem do siebie, co w moim odczuciu równało się z wydaniem na mnie wyroku śmierci. Po raz drugi dałam nogę z twojego auta i oboje wiemy, co się stało, gdy za mną poleciałeś. A kiedy pomału zaczynałam znów ci ufać, okazało się, że potajemnie kontaktowałeś się z facetem, który do mnie strzelał. Do tego wszystkiego od dziecka znasz Cooperów i ich otoczenie, do którego na sto procent należy osoba pociągająca za wszystkie sznureczki. Jak więc możesz mi zarzucać nieufność wobec ludzi?

Ich spojrzenia spotkały się na moment i Mark uśmiechnął się lekko.

- Wygrałaś. Masz rację. - I to wszystko?

- A co chciałabyś usłyszeć?

- Coś innego.

- Proszę bardzo: jesteś piękną kobietą. Nie wierzyła własnym uszom.

- Zła odpowiedź - warknęła rozwścieczona. Gwałtownie wstała, zabrała talerz i wyrzuciła resztki jedzenia do kosza.

- Jess! - Mark próbował ratować sytuację. Posprzątał po sobie i poszedł za nią do pokoju.
 - A jednak to prawda. Okazuje się, że filigranowe, zielonookie panny w okularach mogą się podobać. Stał oparty o framugę, rozplywając się w serdecznym uśmiechu. Tym razem nie wywarło to na wściekłej Jess najmniejszego wrażenia.
 - Daruj sobie. Nie powiedziałeś mi o rozmowach z Davenportem i tyle, chłoptasiu. Nagle Jessica zdała sobie sprawę z absurdalności sytuacji. Nieuczesa, posiniaczona, ze szwami nad okiem i bez makijażu, do tego ubrana w jakieś kretyńskie, niepasujące do niej dzinsy i z tymi cholernymi okularami na nosie z pewnością nie była zbyt pociągająca. Zwłaszcza dla tak przystojnego faceta. Zresztą nigdy się nie uważała za ładną. Ale gdy pomyślała, że nigdy taka nie będzie, zrozumiała, że to właśnie wkurza ją najbardziej.
- Mark jakby tylko na to czekał. Rozpromienił się jeszcze bardziej i podszedł bliżej.
- Chłoptasiu?
 - Odejdź! - warknęła i gdyby tylko miała coś pod ręką, z pewnością by w niego rzuciła. Z wyniosłą obojętnością zainteresowała się leżącymi na stole świeżymi gazetami.
 - Jak sobie pani życzy.
- Udawiała, że nic nie słyszy. Otworzyła gazetę i ostentacyjnie zaczęła ją czytać.
- W takim razie wezmę prysznic, bo ledwo trzymam się na nogach. Może mi przejdzie.
 - Aha.
 - Gdybyś chciała oglądać telewizję, to pamiętaj, że tylko bardzo cicho. Jeśli ktoś zacznie się dobijać do drzwi, nie otwieraj. Nie wolno ci też dotykać komputera i telefonu.

Chwilę później Mark zamknął za sobą drzwi do łazienki. Przeglądając prasę, Jess trafiła na artykuł poświęcony pogrzebowi Annette Cooper. Przejrzała informacje o tym, kto ze znanych osób wziął w nim udział, o przybyłych tłumach i reakcji ludzi na śmierć prezydentowej. Nie to jednak zaprzętało jej myśli. Bardziej niż najnowsze wiadomości intrygował ją szum prysznicza i lekki dreszczyk, jaki nagle przeszedł jej po plecach. Właściwie, to i jej przydałaby się taka kąpiel. Ciepła, zaparowana kabina... Oczywiście z Markiem w środku.

Siedź tu i nie ruszaj się, przywołała się do porządku.

Zachmurzona wróciła do gazety, poszukując jakichkolwiek informacji na temat śmierci Davenporta i Marian. Nie znalazła nawet nekrologów. Potem pomyślała o nekrologu Marty'ego, gdy nagle zorientowała się, że nie słyszy już lejącej się wody. Po chwili Mark wyszedł z łazienki.

Pewnie ma na sobie tylko ręcznik, rozmarzyła się i jeszcze bardziej skupiła się na gazecie. Nie przeczytała jednak ani słowa.

- Łazienka wolna.

Potem usłyszała szelest plastikowej torby, w której mieli ubrania, później jakiś dłuższy dźwięk i tyle. W sypialni zapadła cisza.

Odłożyła gazetę na bok i zaintrygowana poszła sprawdzić, co się dzieje. Mark leżał w łóżku, przykryty do pasa białą kołdrą. Co prawda zaciągnięte zasłony znacznie ograniczyły dopływ światła, lecz i tak dojrzała jego muskularną sylwetkę. Chwilę później rozległo się chrapnięcie, co oznaczało, że śpi jak kamień.

Mark zajął jedyne łóżko, jakie znajdowało się w mieszkaniu. Na razie nie stanowiło to problemu, bo Jessica nie czuła się senna, co będzie jednak wieczorem? Powinna wślizgnąć się do łóżka obok niego czy położyć się na niewygodnej z pewnością kozetce stojącej w drugim pokoju?

Ostatecznie wybrała drugi wariant, bo pierwszy mógłby okazać się zgubny w skutkach. W końcu i ona się wykapała, umyła włosy i zęby, potem sięgnęła do torebki, gdzie miała balsam do ust i krem do twarzy. Na koniec łyknęła tabletkę przeciwbólową. Jedną, bo wystraszyła się opowieści Marka o początkach uzależnienia Annette Cooper.

O dziesiątej Mark nadal jeszcze spał, a Jessica siedziała na sofie. Zamiast piżamy miała na sobie ogromną, sięgającą do połowy ud koszulę Marka i swoje białe majtki. Z sypialni zabrała poduszkę i znaleziony w szafie koc.

Musiała się czymś zająć, bo wariowała już od myślenia na temat prześladowców, którzy z pewnością stoją za drzwiami. Włączyła telewizor i przyciszyła tak bardzo, że ledwie rozumiała, co mówią. Nagle na klatce schodowej rozległy się kroki. Omal nie padła na miejscu z przerażenia. Chciała już lecieć i budzić Ryana, ale ten ktoś wszedł widać do swojego mieszkania i znów zapanował spokój. Na wszelki wypadek nie zapalała też światła, tylko czytała przy blasku telewizora. Kiedy już miała odłożyć gazetę, trafiła na swoje fotografie. Pierwsza, z czasów dzieciństwa, przedstawiała mokrą Jess zawiniętą w koc, druga - była na niej bez okularów - pochodziła z jej prawa jazdy. I do tego tytuł: „Jedyna ocalona z wypadku już kiedyś otarła się o śmierć”.

Rozdział 27

Jessica nie musiała czytać artykułu, doskonale wiedziała, co w nim napisano. Wróciły wspomnienia sprzed lat. Poderwała się i ruszyła do łazienki. Niestety, stopą uderzyła o nogę stolika. -Aj! Cholera! Chwytnąc za bolące palce, wykonała kilka podskoków i ciężko opadła na kanapę, rozrzucając strony gazety po podłodze. Spojrzała i znów zobaczyła własną fotografię. Z furią kopnęła gazetę i zamknęła oczy.

Jeszcze tego brakowało, pomyślała.

- Jessica, co się dzieje? Czemu tak wrzeszczysz? Wpadający do pokoju Mark potwornie ją wystraszył. Zwłaszcza że trzymał w ręku pistolet. -Nic.

- Płaczesz?

Rzeczywiście, nie zdawała sobie sprawy z tego, że po policzkach płyną jej łzy.

- Wcale nie płacę.

- Co się stało?

Mark odłożył pistolet i podszedł do Jess, która za wszelką cenę starała się opanować.

- Po prostu zawadziłam stopą o nogę stołu. -I żeby zaraz beczeć? Pokaż nogę.

- Nie trzeba, to drobiazg.

Mark odetchnął głębiej i usiadł obok. Jess znów pomyślała o jego nagim torsie i na wszelki wypadek - ponieważ sama sobie nie ufała - rzuciła mu nieprzyjazne spojrzenie. Jakby tego nie widział, chwycił jej stłuczoną stopę, zbadał podbicie, przyjrzał się bliżej i oznajmił:

- Wszystko wygląda w porządku, ale poruszaj palcami.
- Przecież mówiłam, że nic się nie stało. Ryan spojrział na podłogę.
- To twoje zdjęcie?

Sięgnął po leżącą na podłodze gazetę, a telewizyjna poświata doskonale podkreśliła jego muskularne plecy. Jessica nie chciała jednak rozmawiać na temat artykułu.

- Cholera, za ciemno. Widzę tylko tytuł - narzekał. Jess już sądziła, że zrezygnuje, ale po chwili usłyszała: - Powiesz mi, co tam jest napisane, czy mam włączyć światło?

- Kiedyś poszłam z tatą i siostrą na plażę - zaczęła niechętnie. - Niestety, pochwyił nas odpływ. Ojciec starał się nas ratować, ale utonął razem z Courtney. Ja szczęśliwie jakoś dopłynęłam do brzegu. Zamilkła, pogrążając się we wspomnieniach. Znów walczyła z napierającą wodą, a siostra bezskutecznie wyciągała do niej swoje drobne dłonie. Wreszcie poczuła uderzenie fali, które je rozdzieliło.

- Bardzo mi przykro - Mark położył gazetę na stoliku i objął Jess. Poczowała jego silne ramię lekko pachnące mydłem. Nie potrzebowała teraz współczucia. Musiała być silna. Nie mogła się rozkleić. - Pewnie nie wiesz, ale i to wielokrotnie omawiano w telewizji. Ostatnio często byłaś bohaterką różnych programów.

- Niemożliwe - stwierdziła, nie rozumiejąc, jak można grzebać w tak osobistych sprawach i jeszcze przedstawiać je ludziom.

Unikając wzroku Marka, walczyła z bolesnym wspomnieniem. Musiała sobie z nim poradzić.

- Jak najpoważniej.

Nagle przypomniała sobie, że w szpitalu Grace mówiła coś o dziennikarzach, którzy chcieli przeprowadzić wywiad z „ocalałą”, tak wtedy siostra to określiła, ale matka ucięła to krótko: „Grace, nie męcz siostry”. A chodziło pewnie właśnie o tamten wypadek. Pozostałe siostry Jessiki były od niej młodsze, więc żadna nie mogła być wtedy na plaży, a tym bardziej wiedzieć, czym był dla niej ten wypadek. To wiedziała tylko matka; przecież Jess i Courtney nie rozstawały się ani na chwilę.

- Już od dawna do tego nie wracam.

- Mówili, że miałaś wtedy pięć lat. Tak małemu dziecku trudno jest pogodzić się ze stratą kogoś bliskiego.

Jessica przypomniała sobie, że Mark stracił ojca, gdy był jeszcze młodszy, bo w wieku czterech lat.

- Czy byłeś mocno przywiązany do ojca? - spytała. Czując jakiś żelazny ucisk w piersi, oddychała ostrożnie i płytko.

- Chyba nie za bardzo. Matka opowiadała, że ojciec stale przebywał w pracy. - Mocniej przytulił Jessicę, ona jednak niechętnie przyjęła ten gest. Nie mogła i nie chciała się rozkleić. - Prawdę mówiąc, pamiętam go tylko z rodzinnego zdjęcia.

Żałował, że taka była prawda, ale nie czuł smutku. Pewnie chciałby zapamiętać więcej, jednak był wtedy za mały. Jessica powoli uspokajała się, powracał normalny oddech.

- Ja też nie pamiętam taty. Może dlatego, że rodzice się rozeszli i nie mieszkał z nami. Za to mam żywe wspomnienia o Courtney.

- Mówili, że miała trzy latka.

Potwierdziła kiwnięciem głowy. Była mile zaskoczona tym, że zapamiętał takie szczegóły. A do tego powiedział, że to wzruszająca historia. Uspokojona bezwiednie oparła się o niego.

- Może mi o tym opowiesz?

Dotychczas Jess zawsze mówiła „nie”, tym razem jednak to Mark chciał poznać jej przeszłość i niechęć do rozdrapania z trudem zabliznionej rany zniknęła.

- Taplałyśmy się w wodzie tuż przy brzegu, a tata i jego narzeczona leżeli na piasku. Jako starsza siostra pilnowałam Courtney, która i tak na wszelki wypadek na każdym z ramion miała dmuchaną opaskę. Nagle jedna z cofających się fal porwała ją. Mała początkowo śmiała się, traktowała to jak zabawę. Trochę już pływałam, podплыnęłam więc do Courtney, ale nie mogłam jej złapać. Nagle jedna opaska z jej rączki spadła. Jak dziś pamiętam, była na niej żółto-biała rybka. Courtney wciąż znajdowała się blisko mnie. Kiedy jednak poszła pod wodę, zaczęłam wrzeszczeć i rzuciłam się naprzód. Zaraz potem mała wyplęła po mojej prawej stronie. Wtedy chwyciłam jej rączkę i w tej samej chwili przykryła nas kolejna fala. Gdy wyplęłam, siostra była za daleko, żebym mogła jej pomóc. Nie miała już wtedy i drugiej opaski. Kołysała się na falach i patrzyła prosto na mnie. Miała takie same ciemne włosy jak ja i niebieskie oczy jak mama. Były wtedy tak szeroko otwarte... Musiała się bać. Otworzyła też usta, może chciała mnie zawołać? I wtedy przyszła kolejna fala. Courtney po prostu zniknęła. Jak przez mgłę pamiętam, że nagle obok mnie przemknął tata... Nigdy już nie zapomnę tamtego jej spojrzenia i fal, które nas nakryły. Nie wiem, w jaki sposób dotarłam do brzegu, ale tam już się mną zaopiekowano. - Jess zamknęła oczy i na chwilę zamilkła. - Później zobaczyłam siostrę leżącą w białej trumnie. Podeszłam wtedy i szturchnęłam ją, myśląc, że się obudzi. Ale Courtney nie wstała. Nagle zaskoczyło mnie, że jest taka zimna...

Na wspomnienie tamtej chwili ciarki przeszły Jessicę, ale się nie rozpląkała. Wiedziała, że za chwilę ból minie.

- Jess - uspokajał ją Mark. Posadził ją na swoich kolanach i objął drugim ramieniem, potem poczuła, że pocałował ją we włosy. - Przykro mi, że musiałaś przeżyć coś tak strasznego.

Po tych słowach Jessica szybko odzyskała równowagę. Tragiczne wspomnienia przyczają się gdzieś w zakamarkach pamięci aż do kolejnej rozmowy na ten temat.

- Później bardzo długo nie mogłam opiekować się żadną z młodszych sióstr, bo matka dosłownie szalała z niepokoju o nas. - Spróbowała uśmiechnąć się lekko, lecz nie bardzo jej to wychodziło. Matka latami pielęgnowała swój żal, nie pozwalając też i córce zapomnieć o przeszłości. Dopiero gdy Jessica dorosła, zrozumiała, ile musiało ją to kosztować.

- Kotku, to nie była twoja wina, przecież miałaś wtedy tylko pięć lat.

Mark trafił w sedno. Mimo że minęły już dwadzieścia trzy lata, Jessica wciąż czuła się winna.

- To prawda. - Ale niczego to nie zmienia, pomyślała. - I nawet nie wspominam już wypadku, no, chyba że ktoś poruszy te sprawy.

- Na przykład jakaś dziennikarska hiena - podchwycił. - Tak bardzo bym chciał, żebyś nie musiała przez to przechodzić.

- Oboje w to wdepnęliśmy.

- Tak, ale inaczej w ogóle moglibyśmy się nie poznać.

Jess zmarszczyła brwi i poprawiając okulary, spojrzała na Marka. Tym razem bardzo srogo.

- Tak na wszelki wypadek muszę ci przypomnieć, że znamy się od dobrych kilku miesięcy. Od dnia, w którym przyjechałeś do naszego biura z Annette Cooper. Wymieniliśmy nawet uśmiechy i pogadaliśmy trochę. Przy późniejszych spotkaniach było podobnie.

- Niestety, nie pamiętam.
- Cóż, chyba nie ma się czym chwalić. Zaskoczony Mark uśmiechnął się wreszcie.
- Widzisz, gdy jestem w pracy, interesują mnie wyłącznie mój podopieczny i ewentualne zagrożenia. Wierz mi, że nie zauważyłbym wtedy nawet gołej Angeliny Jolie. Nie kryła zaskoczenia. Nigdy tak na to nie patrzyła.
- Poważnie?
- Jak najbardziej.
- Miło to słyszeć.
- Doprawdy? Kiwnęła głową.
- Właśnie mi wyjaśniłeś, dlaczego mnie ignorowałeś, i jest mi lżej.
- O czym ty mówisz?
- Nic, nic - uśmiechnęła się.

Nagle uświadomiła sobie, że siedzi na kolanach obejmującego ją mężczyzny ubrana tylko w przykusa koszulę i niezbyt seksowne majty i wtulona opiera nogi o jego umięśnione łydki, czując szorstkie, porastające je włoski. Ze zdziwieniem stwierdziła, że zwraca uwagę na najdrobniejsze szczegóły jego ciała - na owłosioną potężną klatkę piersiową, na płaski brzuch i twarz z szelmowskim spojrzeniem, które gwałtownie przyspieszyło bicie jej serca. W tym momencie jego ramiona objęły ją jeszcze mocniej, a ona w mgnieniu oka zrozumiała, co to oznacza. I ku swojemu przerażeniu nie tylko pomyślała, ale też wyszeptwała: „Pragnę cię”.

Mark, uwodzicielsko się uśmiechając, powiedział tylko:

- Dobrze wiedzieć.

Chwilę później pochylił się nad Jess i delikatnie ją pocałował.

Rozdział 28

Nie był natarczywy. Jess poczuła na swych wargach delikatne muśnięcie, ale to wystarczyło do oddania pocałunku. Gdy jednak oparła dłoń na jego piersi i zamierzała bez reszty oddać się przyjemności, Mark odsunął się. Cicho zaprotestowała.

- Co za zbieg okoliczności - mówił, z bliska wpatrując się w jej oczy. Jess ciągle jeszcze czuła jego oddech na rozchylonych lekko ustach i marzyła o kolejnym pocałunku. Jednak tym razem nie wyrwało jej się głośne: „pocałuj mnie”. Mile zaskoczona własnym opanowaniem, usłyszała słowa Marka: - Widzę, że oboje myśleliśmy o tym samym.

- Cieszę się - odpowiedziała, starając się trochę nad sobą panować.

Uśmiechnął się i znów ją pocałował. Bawił się jej wargami tak długo, aż zamknęła oczy i dosłownie wpiła się w niego, a Mark łapczywie oddawał pocałunki. Już nie chciała nad sobą panować, nie chciała na nic czekać. Chciwie przesuwiała dłońmi po jego ciele, wyczuwając naprężone mięśnie. Czuła wzbierające pożądanie, nabrzmiałe piersi domagały się pieszczoty. Jej ciało wilo się w jego ramionach, a gdy poczuła odzew jego ciała, ogarnęło ją niemal szaleństwo.

- Jess - wyszeptał, obsypując jej kark pocałunkami. Potem delikatnie dotknął jej piersi.

Otworzyła oczy, chciała widzieć leżącą tam jego dłoń i sycić się tym widokiem. Chciwie wpijając się w usta Marka, wyszeptała:

- Cudownie...

- Na pewno?

- Hmm...

Nie przestawał. Coraz bardziej rozpalona Jess delikatnie przygryzła płatek jego ucha. Wtedy jego usta objęły przez tkaninę koszuli pierś Jessiki. Przeszyła ją błyskawica przyjemności. Gwałtownym ruchem przyciągnęła go do siebie, pragnąc jak najszybszego spełnienia. Mark jednak spokojnie zajął się drugą piersią, dostarczając Jess nowych wrażeń.

- Mark - zaprotestowała instynktownie.

- Hmm?

Chciała to kontynuować, chociaż nie odważyła się powiedzieć tego na głos. Z drugiej strony wiedziała, że to ostatni moment, by się wycofać.

- Może nie powinniśmy... - Ale krótka wewnętrzna walka zakończyła się zwycięstwem pożądania. -

Nie przerywaj!

Spojrzała w głodne, wpatrzone w nią oczy Marka i nie mogła się doczekać kolejnych pocałunków.

- Pocałuj mnie - poprosiła.

- A może tak wyskoczysz najpierw z ubranka?

Tak, chciała być naga dla niego. Na samą myśl o tym zakręciło się jej w głowie. Próbując zapanować nad walącym sercem, zdjęła okulary i odłożyła je na stolik.

- Zostaw! - Na próżno jednak Mark protestował. Jessica nie lubiła szkieł i choć w tej sytuacji wcale jej nie przeszkadzały, uznała jednak, że bez nich wygląda dużo lepiej.

- Mogłyby się potłuc.

- Aha - odparł z błyskiem zrozumienia w oku.

Oparł się wygodnie o kanapę i nie wypuszczając Jessiki z ramion, sycił się jej widokiem. Nie czuła się w najmniejszym stopniu zawstydzona, bo dostrzegła w jego spojrzeniu niecierpliwość i oczekiwanie. A jego ciało zdradzało narastające pożądanie. Zatem to cisza przed huraganem.

- Nie każ mi dłużej czekać.

W jednej chwili zrzuciła koszulę. Jej ciało, oświetlone tylko słabą poświatą włączonego telewizora, z wąską talią i smukłymi udami bardziej pasowało do nastolatki, lecz pożądliwe spojrzenie Marka sprawiło, że czuła się stuprocentową kobietą.

- Ależ ty jesteś piękna - zamruczał.

Wciąż łapczywie pozerając ją wzrokiem, przesunął dłoń w kierunku jędrnych pośladków.

- Widzę tu moje ulubione barchany - zażartował.

- Co, co?

- Nic, nic.

Kolejnemu pocałunkowi towarzyszyło wsunięcie dłoni pod bieliznę. Jess siedziała już zwrócona twarzą do niego, obejmując nogami jego biodra. Czuła jego podniecenie, co wprawiało ją niemal w ekstazę.

- Jesteś cudowna. - Wstał, nie wypuszczając jej z uścisku i tak wczepieni w siebie zblizali się do sypialni.

A więc to już, ucieszyła się.

Chwilę później Mark jednym ruchem zrzucił kołdrę na podłogę i Jess poczuła chłód prześcieradła na plecach. Wbrew jej oczekiwaniom nie rzucił się na nią, tylko stanął obok łóżka, a delikatne światło z telewizora podkreśliło jego sylwetkę - szerokie ramiona, szczupłą talię i długie nogi. Ten były sportowiec mógł naprawdę onieśmielić każdą kobietę.

Każdą, z wyjątkiem Jessiki.

- Mark...

Pochylił się i delikatnie pozbawił ją ostatniej części garderoby. Pod wpływem jego spojrzenia Jess znów poczuła przyływ pożądania.

Zrzucił swoją bieliznę... Nie wytrzymała i klęcząc, objęła go ustami.

Zdażył jedynie syknąć z rozkoszy. Bawiąc się jej włosami, wyszeptał:

-Jess...

Błądząc dłońmi, poznawała kształt jego pośladków. Niespodziewanie przerwał grę. Zdumiona Jess spojrzała na niego.

- Mark...

- Nie tak szybko, maleńka.

Natarł na leżącą Jess, obsypując ją od góry do dołu niecierpliwymi pocałunkami. Gdy dotarł do celu, rozplynęła się z rozkoszy. Musiała jednak jeszcze chwilę poczekać, bo znów zatrzymał się na jej piersiach i ustach. Kiedy się tego zupełnie nie spodziewała, znów gwałtownie natarł, a wtedy zalała ją fala rozkoszy. Chwilę później odnaleźli wspólny rytm.

- Tak, tak - szeptała, całkowicie oddając się chwili.

- Moja piękna.

- Kocham cię! Kocham! - krzyknęła przy ostatniej fali, wczepiając się bezlitośnie w jego plecy.

- Jess - jęknął, odpływając.

Kiedy udało jej się powrócić do rzeczywistości, z przerażeniem uświadomiła sobie, co przed chwilą wykrzyczała.

Może się nie zorientował, pomyślała z nadzieją. Przecież ogarnęło ich wspólne szaleństwo.

A może jednak usłyszał? Ona przecież pamiętała wszystko, każde jego słowo, każde westchnienie.

Nie ma chyba szans na to, że Mark przeoczył jej wyznanie.

Cholera.

Leżał bez ruchu, wtulony w nią, spokojnie oddychając. Zasnął?

Nie spał. Gdy tylko Jess wstrzymała oddech, uniósł się, podparł na łokciach, spojrzał na nią i leciutko uśmiechnął. Ich spojrzenia spotkały się i Jess, rumieniąc się, szepnęła:

- Cześć!

Uśmiechnął się.

W tej samej chwili z drugiego pokoju dobiegł ich metaliczny dźwięk.

Rozdział 29

Zanim Jessica zdążyła cokolwiek powiedzieć, Mark zasłonił jej usta dłonią. Jego spojrzenie nie wyrażało już namiętności.

- Schowaj się za łóżkiem i bądź cicho - wyszeptał jej wprost do ucha, potem podkradł się do drzwi. W tej samej chwili Jessica usłyszała wyraźny szelest dochodzący z pokoju obok. Serce skoczyło jej do gardła. Ktoś był w mieszkaniu. Od razu pomyślała o uzbrojonych prześladowcach.

Jak wpadli na nasz trop?

Zsunęła się na podłogę. Łóżko zaskrzypiało, wywołując kolejną falę strachu. Spojrzała na Marka, ale on nawet się nie obejrzał. Stojąc przy drzwiach, starał się niepostrzeżenie zajrzeć do drugiego pokoju. Na tle jasnej ściany Jess doskonale widziała jego ciemną sylwetkę. Wyciągnęła rękę i znalazła koszulę Marka. Nie chcąc świecić tyłkiem przed obcym, kimkolwiek by on był, ostrożnie ją założyła. Nagle przypomniała sobie, że pistolet Marka został w drugim pokoju.

A więc był bezbronny.

Oby to był właściciel mieszkania.

W przedpokoju błysnęła latarka. Ktoś przeszukiwał mieszkanie. Uzbrojony mężczyzna. Choć tylko przez ułamek sekundy, ale widziała go wyraźnie, potem skierował

światło na łóżko i musiała się schować. Mark natarł na intruza. Latarka upadła na podłogę, a ciszę nocy rozdarło jakby ciche splunięcie. Broń z tłumikiem! Kula świsnęła nad głową Jess, trafiając w ścianę. Z wrzaskiem przywarła do podłogi.

- Jess? - krzyknął Mark, przewalający się z napastnikiem po całym mieszkaniu.

- Nic się nie stało! - odkrzyknęła, po czym zerwała się na równe nogi i popędziła po broń Marka.

Wpadła do pokoju i zobaczyła ich na podłodze. Mark raz był na górze, raz na dole, a napastnik wciąż trzymał pistolet w dłoni. Oświetleni niebieskawą poświatą z telewizora wyglądali jak bohaterowie starych filmów sensacyjnych.

- Teraz cię załatwię, skurwielu! - wysapał mężczyzna, łapiąc Marka za gardło.

- Jasne! - rzucił Mark, boleśnie trafiając napastnika w brzuch i siadając na nim.

- Mam broń! - wrzasnęła Jessica, tańcząc wokół walczących z pistoletem w ręku.

- Jess! Nie strzelaj! - krzyknął Mark, zadając tamtemu kolejny cios. Potem usiłował mu wyrwać broń. Nawet gdyby miała okulary na nosie, pewnie także nie nacisnęłaby spustu. Przecież jeszcze nigdy w życiu nie miała w ręku broni. A teraz? Z trudem rozpoznawała nagą sylwetkę Marka, a już zupełnie nie wiedziała, gdzie są czyje ręce i nogi.

Jeśli strzeli, może zrobić krzywdę Markowi. A może tak walnąć tego drugiego w łeb?

Stała plecami do drzwi wejściowych i przymierzała się do zadania ciosu, gdy nagle do mieszkania ktoś wpadł, chwytając ją potężnymi ramionami. Następny uzbrojony facet w czarnym garniturze.

Chciała krzyknąć, ale dłoń napastnika zakryła jej usta. Broń wypadła jej z dłoni.

- Poddaj się Ryan! Nie masz szans! - krzyknął ten drugi.

Jessica próbowała zrobić użytek z paznokci, jednak napastnik ogłuszył ją uderzeniem pistoletu w skroń, potem wycelowwał w Marka. Nie zdążył. Zginął. Dostał prosto w głowę.

Dopiero po chwili Jess zorientowała się w sytuacji. Zemdlała, wcześniej szarpała się z nieznajomym, a teraz facet leżał bez ruchu na podłodze. Dziwne, padając, nawet nie narobił zbytniego hałasu.

Na wszelki wypadek jeszcze chwilę nie ruszała się z miejsca, potem ostrożnie się podniosła i odsunęła od leżącego na podłodze mężczyzny. Rozpoznała w nim faceta spod biblioteki. Niespokojnie rozejrzała się, szukając drugiego napastnika. On także leżał nieruchomo na dywanie, z rozrzuconymi ramionami i twarzą zwróconą ku górze, jakby wpatrywał się w sufit. Stwierdziła, że i on nie żyje.

- Jesteś cała? - spytał Mark, podnosząc się z podłogi.

- Tak. A ty?

- Nigdy nie czułem się lepiej - wykrzywił twarz.

- Czy ten gość nie żyje? - upewniła się.

- Niestety tak. A chciałem wydusić z niego, dla kogo pracuje. Niestety, wpadłaś temu drugiemu w łapy i musiałem szybko działać. W przeciwnym razie już byłoby po nas.

Mark podszedł do drzwi wejściowych i zamknął je. W pokoju od razu zrobiło się ciemniej. Jess poczuła, że kręci się jej w głowie, szybko więc podeszła do krzesła.

- Tego faceta widziałam w bibliotece. Znał twoje nazwisko, wiesz kto to?

- Żadnego z nich nie widziałem na oczy. -1 co teraz będzie?

I nie chodziło jej tylko o te dwa trupy. Miała też na myśli krwawe ślady na ścianie, przy której stał trzymający

ją napastnik. Pewnie uderzył głową, kiedy Mark go trafił, pomyślała.

- Ubieramy się i chodu. Minie trochę czasu, zanim ich szefowie zorientują się, co się stało - wyjaśnił, przeszukując kieszenie napastników.

- Jasne. - Zapominając o mdłościach, zerwała się z miejsca, sięgnęła po leżące na stoliku okulary, pobiegła do sypialni po ubranie, potem w łazience obmyła twarz zimną wodą i od razu poczuła się lepiej. Ubrała się i chwyciła swoją torebkę.

W sypialni Mark przypinał właśnie kaburę przy pasie. Podała mu koszulę.

- Dzięki.

Sięgnął po leżący na łóżku pistolet i wepchnął z tyłu za pasek.

- Co przy nich znalazłeś? - zapytała, pakując wszystkie ich rzeczy do plastikowej torby.

- Trochę drobnych i legitymację pracowników firmy o jakże wymownej nazwie „Sprzątanie”. I jeszcze kluczyki do samochodu. W sumie nic ważnego.

- Zostawimy ich tutaj? - spytała, kiedy byli już przy drzwiach.

- Nic się nie martw. Ich mocodawcy z pewnością przyślą tu specjalistów od zacierania śladów. Mogę cię zapewnić, że po powrocie z weekendu gospodarz nawet się nie zorientuje, że miał tu dwóch sztywniaków.

Ostrożnie zamknął drzwi i poprowadził Jess w kierunku windy. Jasno oświetlony korytarz denerwował Jess, która czuła się obserwowana ze wszystkich stron.

Bez przeszkód dotarli do windy, kusząc los, wsiedli do niej i zjechali na dół, a potem spokojnie opuścili budynek. Mark nie wypuszczał jednak broni z ręki, a Jessica rozglądała się dookoła. Miała nadzieje, że satelity są ślepe nocą.

Gdy tylko znaleźli się na ruchliwym rondzie Duponta, Mark natychmiast schował broń. Jakież tłumy ludzi przewalały się ulicami. W pobliskich restauracjach, barach i klubach nie było wolnych miejsc, wzdłuż chodników parkowały niezliczone samochody. Muzyka, rozmowy i salwy śmiechu mieszały się z klaksonami pędzących pojazdów.

- No tak, przecież to piątkowy wieczór.

- Właściwie to od siedemnastu minut jest już sobota.

Na Massachusetts Avenue było jeszcze gwarniej i tłoczniej. Jess nadal jednak niespokojnie rozglądała się dookoła. Bała się tak bardzo, że bez trudu nadążała za szybko idącym Markiem.

- Daj mi znać, jeżeli zauważysz wolną taksówkę.

- Nie pojedziemy metrem?

- Nie mamy na to czasu.

Jess poczuła niemiły skurcz żołądka. Miał rację. Pogoń deptała im po piętach.

- A mamy jakiś plan działania? Mark uśmiechnął się.

- Oczywiście, że... - przerwał, widząc nadjeżdżającą taksówkę. Potem zamówił kurs do The Hay-Adams.

- Jedziemy do hotelu? - Jess nie wierzyła własnym uszom.

Przecież tam trzeba się zameldować. W jednej chwili zwątpiła w istnienie jakiegokolwiek planu. A z pewnością dobrego. Kiwnięciem głowy Mark nakazał jej milczenie. Rzeczywiście, nie powinni dyskutować przy kierowcy.

Mark wziął Jess za rękę i spojrzał jej w oczy.

- Przeżyłem naprawdę coś wielkiego - szepnął, a ona od razu wiedziała, co miał na myśli.

- Ja również.

I chociaż nie było to najodpowiedniejsze miejsce do intymnych wyznań, tu właśnie zaczynały się ich nowe relacje.

- Czy nie żartowałaś sobie ze mnie czasami?

Jess struchlała. Doskonale wiedziała, że chodziło mu o jej miłosne wyznanie.

- Raczej nie.

Mile zaskoczony odpowiedzią Mark pochylił się i pocałował ją. Wciąż oszołomiona wydarzeniami ostatnich chwil odwróciła wzrok, aby nie zauważył rumieńca, który nagle się pojawił na jej policzkach.

I wtedy zauważyła uliczną reklamę.

Wznoszący się w niebo samolot i napis: „Przyjazne niebo z Your Jets of Virginia”. Na plakacie znajdował się też numer telefoniczny linii lotniczej. Znała i ten numer, i samą firmę.

- Mark. - Mocniej ścisnęła jego dłoń i wskazała na plakat. - Czy masz przy sobie wydruki z biblioteki?

- Proszę. - Wyjął z kieszeni zmiętą kartkę.

Szybko przeglądała kolumny numerów telefonicznych i zatrzymała się przy firmie Aztec Limo - zaraz po telefonach Davenporta dzwoniło tam trzy razy z rzędu z linii Your Jets.

- Bingo! - ucieszył się Mark.

Z uwagi na kierowcę Jessica odpowiedziała bez używania znanych nazwisk:

- Oto cel feralnej podróży. Mój szef wspominał o tym, że te linie mają swoje lotnisko w Richmond.

Gdy taksówka stanęła przed oświetlonym wejściem do hotelu, Mark schował papiery i zapłacił za kurs. Stojący przy drzwiach odźwierny spojrzał na wysiadających z dezaprobatą. Cóż, pomyślała Jessica, istotnie nie wyglądają za dobrze. Minęła ich jakaś elegancko ubrana para, która podjechała limuzyną, a oddźwierny otworzył im szeroko drzwi. Mark wziął Jess pod rękę i spokojnym krokiem odeszli.

- A więc rzeczywiście Cooper chciała dać dyla - zamyślił się Mark. - To dlatego miała przy sobie karty kredytowe.

- Słucham?

- Nic, nic.

Chwilę później znaleźli się naprzeciwko Parku Lafa-yette'a, gdzie było znacznie spokojniej. Dopóki słońce nie zaszło, spacerowali tu przede wszystkim turyści. Nocą za to zbierali się bezdomni, ćpuni, dziwki i wszelkiej maści rozrabiaki spod ciemnej gwiazdy. Okazjonalnie tylko zaglądali zbyt pewni siebie przyjezdni lub ci, którzy nie mieli pojęcia o nocnym życiu parku.

- Jaki masz plan? Co dalej?

- Pewnie sądzisz, że nie mam żadnego.

- A więc?

- Kobieto małej wiary - zagrzmiął, tuląc twarz Jess w dłoniach i składając na niej kolejny pocałunek.

- Mark... - chwyciła go za rękę.

- Musimy jeszcze wrócić do rozmowy na temat twojego miłosnego wyznania - stwierdził i trzymając ją za rękę, poprowadził w ciemności parku.

Rozdział 30

Po co tam idziemy? - spytała bojaźliwie.

Właściwie nie powinna się niepokoić, przecież Mark dopiero co udowodnił, że umie walczyć, a do tego był teraz uzbrojony, lecz i tak Jess przeszły ciarki. Słabo oświetlonymi alejkami przechadzała się ubrana na czarno trójka młodych ludzi, kawałek dalej minął ich dobrze zbudowany nastolatek z niebieskim irokezem na głowie i przypiętym do pasa łańcuchem. Potem z ciemności wychynął jegomość w łachmanach, idący w kierunku rozbijanego co noc na skraju parku namiotu, w którym bezdomni mogli otrzymać pomoc. Jacyś ludzie chowali się pod drzewami, kryli się w cieniu rzucanym przez zapomniane pomniki. Miłośnicy alkoholu oblegali trawniki, zakochani nikim się nie przejmowali. Od czasu do czasu dało się wyczuć zapach trawki. Nocni goście Parku Lafayette'a mieli w nosie fakt, że tuż obok jest Biały Dom.

- Zastanawiam się, czy Annette Cooper nie spotkała się czasami z pewną osobą, zanim do niej dotarłaś
- zaczął Mark.

- Z kim?

- Z Dawn Turney, którą poznała, odwiedzając jedno z centrów rehabilitacyjno-odwykowych. To była księgowa, która uzależniła się od cracku i amfetaminy. Była aresztowana, a po wyroku straciła wszystko. Potem, prawdopodobnie

wyleczona, trafiła do jednego z centrów pomocy. Annette Cooper zainteresowała się jej losami. Dopiero niedawno się zorientowaliśmy, że ta kobieta dostarczała prezyden-towej leki. Uniemożliwiliśmy ich dalsze kontakty, lecz później okazało się, że właśnie tu, w tym parku, Turney sprzedawała prochy. Pewnie dlatego właśnie pani Cooper tu biegała wieczorami dla zdrowia. Nawet towarzyszący jej tajniak nie zorientował się, czemu służą „przypadkowe” rozmowy z tą kobietą.

- To znaczy, że wtedy też mogła się z nią spotkać.

- Możliwe, bo miała w torebce kolejną porcję leków. Znalazłem je w małej buteleczce i coś mi mówi, że kupiła je właśnie tutaj.

Jess rozejrzała się i przeszły ją ciarki. Miała wrażenie, że są obserwowani przez tysiące niewidzialnych oczu. Pozbycie się dwóch zabójców wcale nie oznaczało, że są już bezpieczni. Dla dodania sobie otuchy mocniej ścisnęła dłoń Marka.

- Nie powinniśmy dłużej zostawać w mieście - zasugerowała.

- Racja - przyznał, niechcący potęgując strach Jess. Jego zgoda oznaczała, że i on czuje zaciskającą się wokół nich pętlę. - Jednak zanim znikniemy, chciałbym pogadać z Dawn, bo jak ktoś inny skojarzy ją z Cooper, będzie za późno.

- To jasne, że nie dadzą nam spokoju. - Nagle znów poczuła bolące nogi, plecy, głowę i przemożną chęć przespania się gdziekolwiek. - Nigdy, prawda?

- Przynajmniej dopóki się nie zorientują, że nie jesteśmy żadnym zagrożeniem. Ale nie martw się, na razie doskonale sobie radzimy.

-Na razie...

Wkrótce doszli do pomnika Andrew Jacksona. Wandale zatroszczyli się o to, żeby żadna z ustawionych tu latarni-

nie działała. Za to wszystkie ławki okazały się zajęte. Co chwila ktoś podchodził i odchodził. Dla Jessiki były to jedynie ciemne plamy. Nikogo nie widziała wyraźnie.

- Trzymaj się blisko mnie.

Chwilę potem zaczepiono ich po raz pierwszy:

- Może dasz parę groszy, koleś? - rzucił jakiś długowłosey, wysoki i przysadzisty punk, który zostawił na chwilę kolegów popalających trawkę pod pomnikiem. Stojąc twarzą w twarz z Markiem, chłopak zaciągnął się. W ciemności pojawił się mały czerwony ognik.

- Szukam Dawn.

- Facet, chcesz kupić towar, bierz ode mnie.

- Chcę pogadać z Dawn.

- A któż to mnie tak potrzebuje?

Kobieta była chuda jak patyk i tak blada, że niemal rozjaśniała ciemności. Długie czarne włosy spływały jej na ramiona.

- Ach, to ty! - rzuciła z obrzydzeniem, rozpoznając widać Ryana. - Czego? - A potem, zwracając się do swojego kumpla: - Znikaj Daryl, to tajniak.

- O, w dupę - zaklął Daryl i szybko odszedł.

- Musimy pogadać.

- O czym?

- Powiedz mi, czy na kilka godzin przed wypadkiem Annette Cooper nie wpadła tu do ciebie?

Dawn się zdenerwowała. Skrzyżowała ręce na piersi i patrzyła w bok.

- Nie ma obawy, nie jestem tu służbowo. Potrzebuję za to trochę informacji.

- A to kto? - spytała, patrząc na Jess podejrzliwie.

- Nikt.

- Nie puszczę pary z gęby przy obcej.

- Mark, zaczekam tu obok - zaproponowała Jess, wskazując pomnik.

Choć nikt nie zwracał na nich najmniejszej uwagi, Jessica nie odważyła się podejść do samego postumentu. To było decydowanie za dużo jak na jej nerwy. Rozumiejąc jednak potrzebę zostawienia Dawn sam na sam z Markiem, stanęła tylko kilka kroków dalej.

- A więc mam rację. Annette Cooper rozmawiała z tobą.

Jessica słyszała wszystko.

- Być może wzięła ode mnie trochę proszków. - Dawn zaczęła niechętnie.

- Osobiście?

- A jak inaczej?

- Czy nie była jakoś wyjątkowo wkurzona? - Kobieta zwlekała z odpowiedzią. - Pamiętaj, ile dla ciebie zrobiła i pomóż nam teraz.

- No dobra. Była mocno zdenerwowana i potrzebowała czegoś na uspokojenie. Gdy wyjęła pieniądze, zauważyłam, że trzęsły się jej ręce. Poza tym ciągle rozglądała się dookoła, zupełnie jakby któryś z was miał wyskoczyć zza krzaków - wyjaśniła, z satysfakcją kładąc nacisk na ostatnie słowa.

- Czy powiedziała, dlaczego jest wściekła? Dawn zaprzeczyła ruchem głowy.

- Za to chciała wiedzieć, czy umiem przesłać mailem film z telefonu komórkowego. Ale powiedziałam, że nie mam pojęcia, jak to zrobić.

- Film - powtórzył Mark i przerwał, słysząc kroki nadbiegających ludzi.

Jessica instynktownie cofnęła się i wyteżyła wzrok. Z ciemności wyłoniło się kilku mężczyzn.

- Mark Ryan?

- Znikaj! - rzucił Mark w stronę Dawn i sięgnął po broń.

Tylko nie to, powtarzała Jess. Skulona kobieta w za dużej bluzie mignęła obok niej, niemal powalając ją na ziemię.

Potem Jess usłyszała ciche splunięcie wystrzału i odgłos padającego ciała. Pamięć natychmiast podsunęła jej obraz mężczyzny, którego zastrzelił Mark. Teraz on sam tak właśnie upadł.

Tylko nie to, powtórzyła.

Serce waliło jej jak młot. Gdyby nie ściśnięte przerażeniem gardło, krzyczałyby, ile sił w płucach.

Nagle znalazła się pośród wrzeszczącego i piszczącego tłumu ludzi uciekających spod pomnika.

Padając na ziemię, straciła z oczu Marka.

Kiedy spojrzała w tamtym kierunku, zobaczyła czterech mężczyzn. Trzech z nich mierzyło do leżącego na ziemi Marka, a czwarty sprawdzał mu puls. Mark leżał bez ruchu. Jessica nie wiedziała, czy żyje. Gdyby nie przerażający strach, już byłaby przy nim, już by go ratowała.

Nagle jeden z napastników zaczął się rozglądać. Czyżby jej szukał? Skoro zawołali Marka po nazwisku, z pewnością wiedzieli też o jej istnieniu. Jessica postanowiła uciec na czworakach. Pod rękami czuła ostrą, zimną trawę. Musiała uważać na butelki, puszki, tłące się niedopałki i inne śmieci rzucone w popłochu przez uciekających. Gdy uznała, że znalazła się wystarczająco daleko, wstała i zniknęła w ciemnościach.

Wtedy dopiero rozplakała się z żalu.

Rozdział 31

Było jej przeraźliwie zimno. Do tego bolało ją gardło, z oczu płynęły łzy, a całym ciałem wstrząsały spazmy. Wciąż zaklinała los, aby tylko nic się nie stało Markowi.

Zataczając się, pokonywała ciemności. Myślała nawet o tym, żeby zawrócić, jednak uznała, że w ten sposób mu nie pomoże. Gdyby i ona zginęła, prześladowcy dopięliby swego. A przecież musi dowiedzieć się, kim są, a potem ich zdemaskować. Miała też nadzieję, że Mark żyje i uda się go uratować. Na razie tylko ta myśl trzymała ją przy życiu.

Musiała zdobyć jakiś dowód, że Annette Cooper nie zginęła w wypadku samochodowym, tylko została zamordowana. Musiała dowieść, że prezydentowa czegoś się bała i uciekała przed jakimś zagrożeniem. Wtedy pójdzie do redakcji „Post” i opowie wszystko: o swoich ustaleniach, o Marku, o dziennikarzu Martym, o Marian i tak dalej.

Na dobrą sprawę mogła już dziś ujawnić wszystko, co wie. Czy jednak ktoś zechce jej wysłuchać? I ważniejsze

- czy jej uwierzą? Poza tym w mieście rządzą przeróżne koterie. Przeciwnicy mogą okazać się na tyle silni, że spowodują wycofanie materiału z drukarni. Udowodnili już przecież, że dla zatarcia śladów gotowi są na wszystko

- nawet na zabicie jej.

Bała się rozmowy z policją lub innymi tego typu instytucjami. Sądziła, że wychodząc z cienia, sama założy sobie

pętlę na szyję. Nawet gdyby spróbowała, musiałaby trafić na uczciwego człowieka. Inaczej zniknęłaby bez śladu. Bezpieczniej będzie więc najpierw porozmawiać z dziennikarzami. Nawet gdyby prześladowcy odważyli się na porwanie jej już po wydrukowaniu wywiadu, to przynajmniej nie pozostałaby anonimowa. Przecież nie pozabijają wszystkich ludzi? Poza tym wierzyła, że większość mundurowych i taj-niaków to uczciwi ludzie, ale mogłaby źle wybrać.

Obawiała się też, że jej działania będą spóźnione i nie pomogą Markowi. A przecież obiecał rozmowę na temat jej miłostego wyznania, pomyślała i natychmiast usłyszała głos Marka. Ten niespodziewany wybryk pamięci drogo ją kosztował. Żal niemal rozdarł jej serce. Musiała się jednak opanować, inaczej nie będzie mogła mu pomóc.

I nagle przyszło olśnienie. Tamci musieli widzieć, z kim Mark rozmawiał. Teraz będą jej szukać, a potem bez trudu wyciągną z niej informacje o filmie w telefonie Cooper. Musiała więc pierwsza zdobyć ten telefon.

Pamiętała, że Annette Cooper długo i bezskutecznie usiłowała się z kimś połączyć, potem w przyпіływie szału rzuciła telefon pod samochodowy fotel. Jess pochyliła się i zaczęła go szukać. Gdy go znalazła, włożyła do kieszeni spodni.

W szpitalu oddano jej torebkę, a w niej był tylko jej własny aparat. Z tego wniosek, że ten interesujący wciąż tkwi w kieszeni spodni, które rozcięto i zdjęto z niej w karetce pogotowia, a następnie oddano rodzinie. Musiała więc zabrać telefon z domu, obejrzeć i ocenić wartość filmu. Jeśli okaże się, że znalazła dowód, pójdzie prościutko do prasy. Zresztą, bez względu na treść filmu opowie wszystko dziennikarzom. Może powinna też skontaktować się z George'em Kellym, współwłaścicielem kancelarii prawnej, w której pracowała? Biła się z myślami, ale potrzebowała czyjejś pomocy. Nie chciała, żeby Kelly skończył tak samo jak Marty, ale było też inne niebezpieczeństwo - skoro George

pozostawał w tak wielkiej zażyłości z Davenportem, mógł też być jednym ze spiskowców. Pozostała więc sama.

Przez chwilę zastanawiała się, co robić, i w końcu uznała, że tylko opinia publiczna może ją ocalić. Najpierw więc odzyska telefon Annette Cooper, a później uda się do redakcji „Post”.

Plan był prosty, ale jego wykonanie zdecydowanie trudniejsze. Nie miała jednak innego wyjścia. Jeśli chciała żyć, musiała działać. Inaczej prześladowcy wytropią ją tak samo jak Marka. Tylko że z nią pójdzie im sto razy łatwiej.

Musiała się wziąć w garść. Na początek postanowiła ostrożnie opuścić park. Gdy znalazła się na rogu East Executive Driver i ulicy K, obejrzała się - punki, dziwki, ćpuny i wszyscy pozostali nocni bywalcy parku w panice opuszczali bezpieczne dotychczas zakamarki. Dziś ich teren zajęli nieznajomi w czarnych garniturach. I gdyby któregokolwiek z uciekinierów zapytać, co się stało, żaden z pewnością nic nie odpowie. Nikt nie chciałby się do tego mieszać.

Teraz musiała złapać taksówkę i pojechać do matki mieszkającej przy ulicy Laundry. Ile może kosztować taki kurs? Na szczęście wciąż miała przy sobie torebkę, a więc i pieniądze. Ze wspólnej kasy zostało całe dwadzieścia sześć dolarów.

Gdy tylko pojawiła się wolna taksówka, zatrzymała ją i podała adres. Dla bezpieczeństwa nie podjeżdżała pod sam dom, tylko wysiadła ulicę wcześniej. Była pierwsza w nocy. W tej części miasta nikt nie spacerował o tej porze ulicami.

Wkrótce znalazła się przed białym piętrowym domem z dachem pokrytym gontem. Przeprowadzili się tu, gdy kończyła szkołę średnią, żeby matka miała bliżej do pracy. I to właśnie stąd wychodziły wszystkie w świat. W nieco zaniedbanym domu było pięć pokoi, jedna łazienka

na piętrze, druga, malutka, na parterze i kuchnia. Trochę za ciasno dla tylu osób, ale dziś mieszkała tu mama tylko mama z Maddie i od czasu do czasu Sarah z dziećmi.

Kryjąc się za pojemnikami na śmieci stojącymi po drugiej stronie ulicy, Jess lustrowała dom. Ani od frontu, ani od ogrodu nie zauważyła niczego podejrzanego. W żadnym oknie nie paliło się światło, a przed domem nie dostrzegła ani mazdy matki, ani dżipa Maddie. Trzęsąc się ze zdenerwowania, stała niezdecydowana, gotowa w każdej chwili czmychnąć.

Najbardziej dręczyła ją myśl o wplątaniu rodziny w niebezpieczną grę. Wiedziała jednak, że w weekendy matka zazwyczaj pilnowała wnuków u Sarah, która z mężem balowała gdzieś na mieście; naturalnie zakładając, że się pogodzili. Z kolei Maddie pojechała pewnie do Grace albo do jakiejś koleżanki lub do narzeczonego.

Jess uznała więc, że w domu nie będzie nikogo. Wpadnie dosłownie na chwilę, wygrzebie z kosza na brudy spodnie i telefon, a potem zniknie.

Wciąż wierząc, że Mark nadal żyje, za wszelką cenę chciała opublikować dowody świadczące o zamachu na Annette Cooper. Sądziła, że wtedy nikt nie będzie miał już powodu, by ich zabijać. Może się oszukiwała. Nawet na pewno, bo dla czego rządowi zabójcy mieliby oszczędzić Marka. Miała jednak nadzieję. Tylko to jej pozostało, żeby nie zwariować.

Wreszcie zdecydowała się przejść na drugą stronę ulicy. Własnym kluczem otworzyła drzwi i ostrożnie weszła do środka. Powitał ją znajomy zapach. Uspokoila się. Pomyślała o swoim pokoju, gdzie wciąż stało jej łóżko, komputer, a w szafie wisiały ubrania, i zatęskniła za dzieciństwem.

Stała w bezruchu i nasłuchiwała. Nic się nie działo. Zegar na kuchence mikrofalowej wskazywał dwadzieścia trzy minuty po pierwszej. Nagle zobaczyła światło dochodzące z łazienki pod schodami na parterze; pomieszczenie

nie miało okien, więc nie mogła dostrzec światła z ulicy. Spojrzała na podłogę w przedpokoju, gdzie zawsze w nieładzie stały buty domowników - nie było ani jednego. A więc jestem sama, pomyślała. Światło z łazienki oświetlało tylko część przedpokoju, ale to jej wystarczało. Była przecież u siebie. Na parterze, na końcu korytarza znajdowało się pomieszczenie gospodarcze, gdzie stała przede wszystkim pralka, a na lewo od schodów był pokój Jessiki. W nim także nie było okna, dlatego Judy Ford nie była zadowolona z decyzji córki o zamieszkaniu właśnie tam. Jess jednak postawiła na swoim, a pokój rozjaśniła fluorescencyjnymi plakatami.

Weszła do pralni i od razu poczuła charakterystyczną dla tego pomieszczenia stęchłą oraz zapach płynu zmiękczającego. Zamknęła za sobą drzwi i zapaliła światło. Przez chwilę trwała bez ruchu. W środku stały pralka i suszarka, po prawej stojak do wieszania mokrych rzeczy, obok deska do prasowania i żelazko. Na szafce, w której przechowywano środki czystości, Jess dostrzegła papierową torbę. Tego właśnie szukała. Wyciągnęła z niej swoje spodnie, a potem, nie-zrażona dwoma pionowymi rozcięciami wzdłuż szwów, tkwiący w kieszeni telefon.

Hurra, ucieszyła się jak dziecko.

Kiedy jednak przyjrzała się aparatowi, zdumiona stwierdziła, że to nie ten, którego szukała.

Nacisnęła przycisk i rozległ się sygnał dźwiękowy - urządzenie oznajmiało, że zalogowało się do sieci. Jess przeszła do menu i zamarła. To istotnie nie był telefon Annette Cooper tylko... jej męża.

Niepewnie włączyła pierwszy film.

Malutki ekran wypełniła postać skępowanego Davida Coopera i jakiejś kobiety w skąym czarnym skórzanym stroju. Z pewnością nie była to żona prezydenta. Jessica

obejrzała wszystkie sześć zapisów. Choć jakość nagrania pozostawiała wiele do życzenia, na każdym z nich można było rozpoznać Coopera. Bomba!

Zatem Annette Cooper odkryła tajemnicę męża. Widać ktoś z jego otoczenia dowiedział się, że podwędziła mu telefon z filmami i postanowił uniemożliwić jej pokazanie komukolwiek tych zapisów. Z pewnością szukano tego telefonu, a może uznano, że spłonął razem z Annette Cooper. W jednej chwili Jessica zrozumiała, dlaczego prezydentowa tak się wtedy w samochodzie wściekała - nie udawało się jej wysłać tych filmów.

Już miała się zbierać do wyjścia, gdy nagle otworzyły się drzwi do pralni. Omal nie padła z przerażenia. W drzwiach stała Maddie.

- To ty? - zdziwiła się młodsza siostra.

Maddie, ze śmiesznymi warkoczykami na głowie, ubrana była w niebieski top, wyblakły dół od dresu i grube różowe skarpety. Niewielki brzusek zdradzał wczesną ciążę.

- Wpadłam tylko po jeden drobiazg - wyjaśniła, przechodząc obok siostry.

Musiła natychmiast zniknąć.

- Chwila! Matka odchodzi od zmysłów! Po wiadomości o samobójstwie Davenporta dzwoniła do wszystkich twoich znajomych, szukając cię.

- Przecież wysłałam maila.

- To nic nie dało.

- Przekaż jej, że byłam, i powiedz, że niedługo zadzwonię. A tak przy okazji, czy słyszałaś, jak wchodziłam do domu?

- Spałam na górze, ale coś mnie obudziło i zeszłam sprawdzić, co się dzieje. Naprawdę już lecisz?

- Tak... - Nagle coś jej przyszło do głowy. - Na pewno nikogo poza tobą nie ma?

-Jestem sama. Mama pilnuje dzieci u Sarah i...

- Musisz natychmiast stąd zniknąć - przerwała bezceremonialnie, wchodząc do swego pokoju. Usiadła przed komputerem. - Gdzie jest twój samochód?

- Stoi przed domem, ale co się dzieje? Płakałaś!

Jess chciała wykrzyknąć, że jakieś bandziory strzelały do Marka, ale nie mogła. Miała ściśnięte z żalu gardło.

- Maddie, natychmiast wsiadaj do samochodu i jedź do Sarah - zakomenderowała, szukając w biurku odpowiedniego kabla.

- Dlaczego? Czy coś się stało?

- Owszem, ale nie mam czasu wszystkiego ci teraz tłumaczyć. - Podłączyła kabel do komputera. - Po prostu nie możesz tu zostać. - Zdenerwowana szybko stuknęła skostniałymi palcami w klawiaturę. - Jedź do Sarah i o nic nie pytaj. To konieczne.

- No dobrze - odpowiedziała wreszcie młodsza siostra i podeszła do drzwi.

- Przynajmniej do rana nie mów nikomu, że byłam w domu. I zabraniam ci wracać tu z mamą lub kimkolwiek innym - naciskała na siostrę, a znając ją, zażądała przysięgi: - Obiecujesz?

- Obiecuję - odpowiedziała wyraźnie wystraszona Maddie.

- Leć, niczego nie zabieraj.

Chwilę później Jessica usłyszała trzask frontowych drzwi. Czuła się spokojniejsza. Przynajmniej Maddie była bezpieczna. Pochyliła nad klawiaturą, pracowała szybko i zdecydowanie. Pewnie dlatego nie od razu zauważyła, że nie jest już sama.

- J-jess?

To był głos jej siostry. Bardzo niepewny i wystraszony. Spojrzała w stronę drzwi i zobaczyła faceta w garniturze trzymającego broń przy głowie Maddie.

Rozdział 32

Jessica zamarła. Przestraszona Maddie ledwo trzymała się na nogach.

Co ja najlepszego zrobiłam!

- Witam, panno Ford! - rzucił ochryłym głosem tamten i zapalił światło.

Był to wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna o oliwkowej cerze, ze zmierzwionymi czarnymi włosami i surową twarzą, ubrany w czarny garnitur, białą koszulę i czarny krawat.

Tak więc wygląda zabójca.

Jess przycisnęła klawisz i dopiero potem wstała, odpychając krzesło na bok.

- Ja... on zmusił mnie... - zaczęła Maddie, kiedy jednak mężczyzna zacisnął ramię na jej szyi, zamilkła, z trudem łapiąc powietrze.

Jessica wiedziała, że żadne negocjacje nie wchodzą w rachubę, postanowiła więc zaatakować.

- Witamy w światowej sieci komputerowej - zaczęła. - Właśnie zaczynamy relację na żywo, na cały świat, a ty stałeś się jej głównym bohaterem. Miliony ludzi obserwują teraz każdy twój ruch.

Mężczyzna skierował lufę pistoletu na Jess. Doskonale wiedziała, że to mogą być ułamki sekund.

Pamiętała, jak szybko padły strzały w parku i wtedy, kiedy Mark zabił

napastników w tamtym mieszkaniu. Musiała więc jasno i dobitnie uświadomić temu mordercy, że jest w ukrytej kamerze. Inaczej nie uratuje ani Maddie, ani siebie. Choć krew krążyła w jej żyłach z kosmiczną szybkością, nie okazała tego. Za wszelką cenę postanowiła uratować siostrę. Wystarczy, że straciła dziś ukochanego.

- Ze co? - Zaskoczony napastnik spojrział w stronę kamery komputerowej.

Pstro, rzuciła w myślach.

- Ano to, że jesteś na żywo w sieci. My zresztą też. Ludzie nas widzą i słyszą. Jeśli strzelisz, to pamiętaj, zrobisz to przy milionowej widowni.

Wyraz jego twarzy świadczył, że zaczyna łapać, o co chodzi.

- Wyłącz to, bo ją zabiję - wrzasnął i ponownie przyłożył pistolet do skroni Maddie.

- Jess... - wycedziła śmiertelnie przerażona Maddie. Nie mogła na to patrzeć, ale musiała dalej ciągnąć przedstawienie. Mimo że Maddie była bliska omdlenia.

- Za późno. Obraz i dźwięk popłynęły już w świat - odpowiedziała hardo, choć ledwie stała na nogach.

- Kumasz, co mówię? Każda z osób, które nas teraz obserwują, z łatwością cię zidentyfikuje.

Facet nie wytrzymał i wypalił prosto w monitor. Sprzęt rozleciał się na tysiące kawałków. Jessica krzyknęła, krótki okrzyk Maddie zawisł w powietrzu. Napastnik jeszcze mocniej zacisnął ramię wokół jej gardła. W powietrzu unosił się zapach dymu.

- Pieprzyć tę twoją kamerę, suko! - wrzasnął, celując w Jess. Serce jej stanęło. Czy to będzie bolało?

- Gadaj zdrów! Nie da się cofnąć tego, co już poszło. No i mam jeszcze telefon prezydenta, którego pewnie szukacie. Lepiej więc zadzwoń do swojego szefa i powiedz mu, że filmy Coopera są już w sieci: na YouTube,

CNN I Report, iWatch... wszędzie. Obejrzą je miliony ludzi na całym świecie. Nic i nikt tego nie powstrzyma. Dzwon, bracie, po pomoc.

- Ona m-ma rację - z trudem wycodziła Maddie. - Zna się na komputerach.

Na poparcie swoich słów Jessica wskazała leżący na ziemi telefon komórkowy, do którego wciąż był dołączony kabel.

- Popatrz uważnie. Tym kabelem wszystko poszło w świat.

Mężczyzna podążył za jej wzrokiem. I wtedy gdzieś z góry rozległ się głos drugiego zabójcy:

- Nikogo więcej nie ma w domu. Pospiesz się, bo ekipa sprzątająca jest już w drodze.

Nie powinna być zdziwiona, wiedziała już, że ci „dzentelmeni” zawsze pracują w parach.

- Jest pewien problem - krzyknął ten pierwszy.

Jessica spojrzała ukradkiem na biurko, wypatrując czegokolwiek, co mogłoby posłużyć jako broń. I nie znalazła niczego, czym mogłaby powalić dwóch rośliwych i wysportowanych mężczyzn.

- Co jest? - W drzwiach pojawił się drugi napastnik, nieco wyższy i szczuplejszy, z nieco może inteligentniejszym wyrazem twarzy, ale tak samo ubrany.

- Powtórz wszystko, co mi tu naopowiadałaś - polecił Jess pierwszy.

Od śmierci dzielił ją teraz niewielki ruch jego palca wspartego na spuście. Mimo napięcia zachowywała spokój. Na szczęście bandzior zwolnił nieco nacisk na gardło Maddie, która z trudem łapała powietrze. Jessica spokojnie powtórzyła wszystko to, co mówiła przed chwilą. Drugi obejrzał rozbity monitor, spojrzał na połączony z komputerem telefon i podjął decyzję:

- Trzeba zadzwonić i spytać, co mamy robić.

Pierwszy puścił Maddie i popchnął ją w kierunku siostry.

- Stój tam spokojnie i nic nie kombinuj.

Maddie trzęsa się jak osika. Choć była nieco wyższa i cięższa od Jess, z dziecięcą ufnością wtuliła się teraz w siostrę. Jessica zastanawiała się co dalej. Na razie były bezpieczne, ale co dalej? Ci dwaj nie okazywali żadnych uczuć, po prostu robili swoje, a zabijanie ludzi traktowali jak każde inne zajęcie. Więc jeśli mocodawcy każą im... i to ją przeraziło. Mając na uwadze siostrę, nie okazywała jednak zdenerwowania.

Jeden z napastników stanął przy drzwiach, cały czas trzymając Jess i Maddie na muszce, drugi wyjął telefon, wystukał numer i czekał na połączenie.

- Są pewne komplikacje - powiedział, powtarzając słowa Jess. Następnie wysłuchał instrukcji, potakując co chwila, i zakończył rozmowę. - No dobra. Pojedziemy teraz grzecznie razem w jedno miejsce. A gdyby ci przyszło po drodze rozrabiać, to na początek rozwalę twoją młodszą siostrunię. Jasne?

Jechali na północny wschód.

Maddie siedziała obok kierowcy, a Jess z tyłu. Towarzyszący jej mężczyzna trzymał spluwę na kolanach. Obie miały ręce związane za plecami taśmą klejącą. Wyjechali za miasto i ogarnęły ich ciemności. Przerazona Jessica nawet nie chciała myśleć o tym, co je czeka. Próbowwała zapytać, dokąd jadą, ale polecono jej po prostu zamknąć się. Aby wzięła sobie tę radę do serca, siedzący obok mężczyzna wycelował w plecy roztrzęsionej Maddie.

Wybacz mi, siostrzyczko...

Jessica nie mogła patrzeć na cierpienia Maddie, miała jednak nadzieję, że ktoś z internautów już powiadomił

policej. Czy to jednak coś da? Właściwie pozostawała jej tylko wiara, że wyjdą cało z opresji, chociaż zupełnie nie wiedziała, jakim stanie się to cudem.

Kierowca zwolnił i skręcił w boczną drogę. Przez chwilę jechali pod górkę.

Jess zdenerwowała się, widząc, że auto stanęło przed kutą, żelazną bramą. Tuż za nią rosły wysokie drzewa, przesłaniające widok na podwórze. Ze stróżówki wyszedł umundurowany mężczyzna.

Kierowca uchylił szybę i wymienił z nim pozdrowienia. Strażnik powiedział coś do małego mikrofonu i brama się otworzyła.

- Gdzie jesteśmy? - wyrwało się Jess. Oczywiście nikt nie odpowiedział. Przerazona Maddie oddychała coraz szybciej. Siedzący obok Jessiki mężczyzna spojrzał na nią z pogardą i zaraz odwrócił wzrok. Jess rozglądała się, próbując ustalić, gdzie są. Za oknem, na równo przystrzyżonej trawie rosły drzewa. Droga dojazdowa wyłożona była kamieniami. Ogromny dom, do którego wreszcie podjechali, z pewnością należał do jakiegoś zamożnego człowieka.

Jessice zaschło w gardle ze zdenerwowania.

Chwilę później znaleźli się w garażu, którego drzwi automatycznie się zamknęły.

No to koniec, przemknęło jej przez myśl.

Opierając się, weszła do domu.

- Ciekawe, do kogo należy ta chata? - wymamrotała, nie spodziewając się odpowiedzi. Swoim pytaniem raczej chciała dodać trochę otuchy wystraszonej siostrze.

- Milcz! - ostro zareagował jeden z napastników, drugi popchnął Maddie.

W Jess wzbierała złość, która okazała się doskonałą przeciwwagą dla strachu.

Korytarz był wyłożony kamieniem, niespotykane w nowoczesnych budynkach. To mogło dowodzić, że znalazły

się w jakimś bardzo starym domu. Windą wjechali na trzecią kondygnację. Towarzyszący im mężczyźni milczeli. Napięcie rosło z każdą chwilą.

Gdy tylko drzwi windy się otworzyły, jeden z bandziorów popchnął Jessicę. Pokój wyglądał jak ogromne biuro. I tu podłoga była kamienna, a pod trzema ścianami stały drewniane regały wypełnione mnóstwem książek. Po prawej stronie znajdowało się okno zasłonięte teraz granatowymi zasłonami. Nad kominkiem z białego marmuru wisiał portret jakiejś kobiety. Wokół stołu ustawiono wygodne, haftowane złotą nicią fotele. W powietrzu unosił się zapach tytoniu i cytrynowego mleczka do polerowania mebli. W każdym z czterech kątów w pokoju stał bez ruchu mężczyzna w czarnym garniturze. Wszyscy mieli ręce założone do tyłu i tępe spojrzenia. Jess od razu skoczyło ciśnienie - to oni dybali na jej życie. Za wielkim mahoniowym biurkiem siedział jakiś mężczyzna, a za nim stał kolejny tajniak. Na widok Jess ten siedzący podniósł się i spojrzał w jej stronę.

Rozpoznała go. To był Wayne Cooper.

- Mam wrażenie, że wdepnęła pani w niezłe gówno - rzucił z wyraźną groźbą w głosie.

Patrząc na tego starca, stwierdziła, że wygląda tak samo jak w telewizji. W tej chwili jednak był chyba potwornie zdenerwowany, bo nerwowo bębnił palcami o blat.

- Niech mi pani odda telefon syna i powie, co zrobiła z jego zawartością.

Mówiąc to, wskazał kościstym palcem na znajdujący się przed nim monitor. Stojący za nim tajniak także spojrzał na ekran - szedł akurat jeden z filmów zamieszczonych przez Jessicę, w sieci; facet nie okazał jednak żadnych emocji.

- Uwolnić ją! - rozkazał wreszcie Cooper. Bandzior, greczny teraz jak trusia, usłużnie rozciął taśmę krepującą ręce Jessiki. Rozprostowała dłonie i roztarta

bolące miejsca. Drugi popchnął Maddie na jeden z foteli, czym doprowadził Jess do wściekości.

- A moja siostra?

Starzec parsknął z obrzydzeniem.

- Dawaj wreszcie ten telefon!

Maddie oparła głowę o zagłówek fotela i zamknęła oczy. Jessica nie mogła patrzeć na cierpienia siostry. Im bliżej była Coopera, tym bardziej się go bała. A w sprawie zamieszczenia w sieci materiałów z telefonu Davida Coopera i tak nic przecież nie mogła już zrobić. Nawet pod groźbą śmierci - własnej czy siostry. Czyżby ten matoł

o tym nie wiedział?

Wzbierała w niej furia. Ci bandyci mają czelność grozić Maddie. Wywrócili jej życie do góry nogami, bez skrupułów zabili kilka osób, strzelali do Marka, ścigali i wreszcie złapali Jess i jej niewinną siostrę... O, nie! Nie zobaczycie strachu w moich oczach, postanowiła. Wyprostowała się i z podniesionym czołem podeszła do biurka.

- Dawaj telefon! - Starzec wyciągnął kościstą rękę. Aparat nie był jej już do niczego potrzebny, więc spokojnie go oddała. - A teraz gadaj, co z nim zrobiłaś.

Hardo spojrzała mu prosto w oczy.

- Podłączyłam się do internetu i wysłałam filmy z telefonu na YouTube, iReport, iWatch i gdzie się tylko dało. Teraz krążą już po całym świecie. W sieci jest też zapis z napadu twoich bandziorów na mnie i moją siostrę. Teraz miliony ludzi oglądają sobie wszystko.

Starzec zamilkł przerażony.

- Nie należy się tak zabawiać - powiedział wreszcie. - To szkodzi krajowi... - Nagle zadzwonił telefon stojący na biurku, odebrał. - To się dobrze składa. Dawaj ich tu na górę.

- Panie Cooper, tu już naprawdę niczego nie da się zrobić - odezwał się nagle stojący za starcem tajniak. Ten

rudowłosa mężczyzna wydał się Jess dziwnie znajomy, nie potrafiła jednak przypomnieć sobie, skąd go zna. Teraz zresztą zajęta była obmyśleniem ratunku. - Materiałów zamieszczonych w sieci nie da się wykasować. - Musi być jakiś sposób.

W tej chwili otworzyły się drzwi i Jessica o mało nie padła z wrażenia.

Do pokoju wszedł Mark. Miał co prawda świeżą ranę na czole i szedł jakoś dziwnie, ale był cały i żywy. Gdy ich spojrzenia się spotkały, serce Jess zabiło z radości. W jednej chwili opuściły ją wszelkie złe myśli. Rozpierało ją szczęście. Tyle że nie ma róży bez kolców - za plecami Marka, z pistoletem w dłoni stał Fielding.

Rozdział 33

Witam panie Cooper. Cześć Lowell - zaczął Mark.

No tak, teraz już wiedziała, kim był rudowłosa.

Mark szedł w stronę biurka, a obok niego kroczył Fielding. Pozostali nie ruszali się z miejsc, uznając pewnie, że stosunek sił 7:1 plus nabity pistolet wymierzony w plecy Marka są wystarczającą gwarancją jego właściwego zachowania.

Obserwując twarz Marka, Jessica zauważyła, że zarejestrował obecność Maddie w pokoju; na ułamek sekundy zmrużył oczy i zacisnął usta. Nawet jej siostra wyprostowała się i z nadzieją patrzyła na przybyłego.

- Mark, gdybyś jak należy przypilnował Annette, nikomu nic by się nie stało - zaczął ostro ojciec prezydenta. - I może mi powiesz, co powinienem teraz zrobić?

- Panna Ford zamieściła w sieci pewne filmy z prezydentem w roli głównej. A to wielki błąd - dodał Lowell, wciąż gapiąc się na monitor.

Mark stanął obok Jess. Z bliska rana na jego głowie wyglądała znacznie gorzej. Mimo to była szczęśliwa, że żyje i jest blisko. Mark najwyraźniej to zauważył, bo leciutko się do niej uśmiechnął.

Wyjaśniła mu:

- Okazało się, że tamtej nocy w samochodzie, tuż przed wypadkiem, podniosłam z podłogi telefon, ale

nie pani Annette Cooper tylko prezydenta. Cały czas był w kieszeni moich spodni. I to z powodu nagranych nim filmów Annette Cooper postanowiła opuścić męża. Jeśli chcesz wiedzieć, co zawierały filmy, spójrz na ekran...

Mark spojrzał na Coopera:

- Skąd wiedzieliście, że to Jess ma telefon?

Mówił spokojnie, ale było widać jego napięcie. Fielding stał obok z kamienną twarzą.

- David powiedział mi o wszystkim. Zadzwoił zaraz po powrocie z jakiejś cholernej kolacji. Wpadł w panikę, bo domyślił się, że to Annette zabrała telefon. A przecież wiesz, że już mówiła o rozwodzie. Bał się, że filmy zostaną wykorzystane przeciwko niemu. Niestety, David nie umiał radzić sobie z kobietami.

-1 tylko dlatego kazał pan zabić synową? Bo chciała rozwodu?

- Jasne, że nie. Musiała zginąć, bo zagrażała prezydenckiemu urzędowi. Gdyby doszło do rozprawy sądowej, David musiałby pożegnać się z polityką. I widzę, że nic a nic nie przesadzał.

- Teraz jest już za późno - wtrąciła zjadliwie Jessica. - Filmy są w sieci. To wasz koniec.

- Szkoda, że nie zginęłaś z innymi w katastrofie - krzyknął starzec. - Mało tego, że przeżyłaś, to jeszcze wszystko pamiętałaś. Zaczęłaś paplać i do tego zamieściłaś w sieci filmy z telefonu Davida. To wszystko przez ciebie.

- Wygląda na to, że zostanie pan oskarżony o morderstwo - wtrącił się Lowell. - A ja, choć nie miałem niczego wspólnego z wypadkiem, pójdę siedzieć za pomoc w tym wszystkim. A prezydent...

- On o niczym nie wiedział - przerwał mu Cooper.

- Ale teraz, po opublikowaniu filmów, i tak będzie musiał ustąpić - orzekł Lowell.

- W żadnym wypadku - zachnął się starzec. - Już wiem, co zrobimy. Ogłosimy, że to fotomontaż z udziałem osoby podobnej do Davida. Będzie trochę szumu w szmatławcach i to wszystko. Nikt nie udowodni, że na filmie jest mój syn. Nie ma też żadnych dowodów, że to były morderstwa. Annette zginęła w wypadku samochodowym, i tyle. A Davenport popełnił samobójstwo, ponieważ nie chciał, aby wyszły na jaw nadużycia finansowe, jakich od dziesięciu lat dopuszczał się w kancelarii. Co prawda miał też uśmiercić swoją młodziutką żonę, ale zawałił sprawę. Jego sekretarkę śmiertelnie potracił kierowca, który zbiegł z miejsca wypadku, a dziennikarz zginął w wypadku samochodowym. To są drobiazgi, które da się wytłumaczyć. A ci, którzy znają prawdę, są teraz w moich rękach. - Jessica wiedziała, co to oznacza. Cooper zwrócił się do mężczyzn w czarnych garniturach: - Zabierzcie całą trójkę i rozwalcie. Potem zakopcie w jakimś ustronnym miejscu. Hennessey, odpowiadasz za wszystko. I żeby tym razem wszystko poszło zgodnie z planem.

- Tak jest - odparł Hennessey, sięgając po broń.

- Nie! - krzyknęła Maddie. - Jestem w ciąży i nie chcę umrzeć! - W jednej chwili poderwała się z fotela i rzuciła w stronę Jess. Ta zamarła, widząc celującego w nią tajniaka.

- Maddie! - krzyknęła.

- Nie chcę umierać! Nie chcę...

- Padnij!

Mark powalił obie kobiety na podłogę i zasłonił je własnym ciałem. I wtedy Jessica zauważyła, że był uzbrojony. Sekundę później stał z gotowym do strzału pistoletem i wrzeszczał do ukrytego w rękawie mikrofonu:

- Co jest, do cholery, z tym wsparciem! Do pokoju wpadło kilkunastu tajniaków.

Godzinę później wynajęci przez Coopera mordercy zostali skuci i odwiezieni na przesłuchanie. Okazało się, że wcześniej wszyscy pracowali w służbach specjalnych. Markowi spadł kamień z serca, że nie byli to aktualni agenci pracujący dla rządu. Jakoś łatwiej było mu pogodzić się z tym, że nie strzelał do swoich kolegów z pracy.

- Chciałam ci podziękować za uratowanie - powiedziała siedząca na tylnym siedzeniu Maddie.

W aucie Fieldinga, które chwilowo „pożyczył” sobie Mark, siedziała też Jess. Odwozili Maddie do domu Sarah, a dla Jess Mark miał niespodziankę.

Jessica była szczęśliwa.

- Myślałam, że cię zabili.

- A więc myślałaś tylko o nim? - oburzyła się Maddie. - Przecież to nasze życie wisiało na włosku.

Mark uśmiechnął się i powiedział:

- Prawdę mówiąc, nie dawałem wam wiele szans, bo Hennessey i Smith z nikim się nie cackali.

- Ale moja siostra wybiła im to z głowy - triumfowała Maddie. - Gdyby nie pomysł z kamerą, pewnie by nas pozabijali.

- Lepiej opowiedz, co się z tobą działo po naszej wizycie w parku - prosiła Jessica, przypatrując się szramie na czole Marka.

- Po postrzale straciłem przytomność. Ocknąłem się, gdy dwóch ludzi wlokło mnie przez zarośla.

Pozostali gdzieś przepadli. A z tymi dwoma bez trudu sobie poradziłem. Najpierw jednak dyskretnie rozejrzałem się dookoła, ale cię nie widziałem. Zaraz poleciałem pod pomnik, tam też już nikogo nie było. I nie na żarty się przestraszyłem, bo wiedziałem, że te dranie ci nie odpuszczą. Wtedy wpadłem na pomysł, aby skontaktować się z Harleyem Brooksem, tym z laboratorium. Wcześniej zleciłem mu sprawdzenie, czy samochód, którym jechałaś tamtej nocy,

nie nosił na tylnym zderzaku śladów uderzenia przez inny wóz. Okazało się, że ktoś przestrzelił prawe tylne koło, co spowodowało wypadek. Poprosiłem też, aby po mnie przyjechał. Czekaając na podwózkę, przejrzałem nasze wydruki z biblioteki. Nie uwierzysz, co znalazłem.

- Co takiego?

- Okazało się, że z całej trójki, do której wtedy Prescott wysyłał SMS-y, tylko Fielding podał informację dalej. Wyobraź sobie, że dzwonił na prywatny numer Wayne'a Coopera. Wiedziałem już, kto zdradził.

Powiedział też, że to właśnie Fielding napadł na nią w szpitalu i to on mówi czasami „dziecinko” do kobiet. -1 co było dalej?

- Namówiłem Brooksa, aby zadzwonił do Fieldinga i sprowadził go do laboratorium pod pozorem przekazania nowych ustaleń na temat samochodu. Ryba łyknęła haczyk i gdy już Fielding był w moich rękach, wyśpiewał wszystko. - Mark przemilczał detale, bo musiałby się przyznać do przyłożenia broni do skroni kolegi i grożenia mu śmiercią. Ale dla ratowania Jess był zdolny do wszystkiego. Doskonale wiedział, że nigdy nie otrząsnąby się po jej stracie.

- To przykre, że Fielding dał się w to wciągnąć - stwierdziła Jess.

- Rozmawiając z Fieldingiem, przypominałem mu, że wśród nas nigdy nie było zdrajców.

Usprawiedliwiał się, że wcale nie jest zdrajcą, a jedynie kierował się dobrem prezydenta. Tylko zapomniał dodać, że oprócz pensji bierze też forszę od Wayne'a Coopera.

- Mógł wymyślić coś lepszego - skwitowała Jess. Tymczasem wjechali do miasta. O tak wczesnej porze

na ulicach prawie nie było samochodów.

- Gdy się upewniłem, że tylko przez niego wyciekały informacje, uruchomiłem właściwe procedury. Fielding zgodził się pomóc w zamian za łagodniejszą karę. Gdy

odebrał wiadomość, że was mają, wiedziałem już, gdzie jesteście, choć nie wiedziałem, z którą siostrą.

- Fajnie być w centrum zainteresowania - rzuciła Maddie, co wywołało uśmiech na twarzy Jess.
- A potem już szło jak po maśle. - Mark nie mówił jednak o obawach, że przyjadą za późno. Nie wspominał, że właśnie wtedy uświadomił sobie, jak bardzo zależy mu na Jess. Chciał powiedzieć jej o tym w innych okolicznościach. - Umówiliśmy się, że Fielding zaprowadzi mnie do was pod broń, a pozostali wejdą do akcji później. Głównie chodziło o wasze uwolnienie.
- I tak się stało! - zaśmiała się Jess, co od razu poprawiło atmosferę.
- To było wspaniałe - dodała Maddie. - Prawie jesteśmy na miejscu, Sarah mieszka dwie ulice dalej. Mark skręcił we właściwą przecznicę i znaleźli się na ciemnej, wyludnionej ulicy.
- Mam nadzieję, że Wayne Cooper się z tego nie wywinie - rzuciła Jess.
- Miałem przy sobie mikrofon, więc wszystko, co powiedział, zostało nagrane - wyjaśnił Mark. - Jego wywody i materiały, które zamieściłaś w internecie, wystarczą, aby przyskrzynić cały klan. Senior pójdzie do więzienia, a junior będzie musiał zrezygnować z urzędu. Ucieszy się jedynie Sears, który zacznie pełnić obowiązki prezydenta.
- Wydaje mi się, że Annette Cooper nie chciała pokazywać wyczynów męża w sieci. Być może w ten sposób chciała go tylko zmusić do rozwodu.
- Jednak stary Cooper wolał nie ryzykować - stwierdził Mark, zatrzymując się przed domem Sarah. - Stanowisko syna dawało mu duże możliwości działania. A czekał na to długie lata.
- Na szczęście mam klucz od domu - oznajmiła Maddie, wygrzebując się z samochodu. - Nie musicie mnie

odprowadzać i w ogóle nikomu nie mówcie o tym, co się stało.

Maddie nawiązała tym samym do oficjalnej prośby

o wstrzymanie się z wyciąganiem ostatnich wydarzeń na światło dzienne do czasu oficjalnego komunikatu, na co wraz z siostrą przystała.

- Fakt, a poza tym wcale nie chciałabym w takim stanie spotykać się z mamą czy Jen.

Siedzący obok Mark z radości zacierał ręce.

- To cześć. Co złego, to nie ja - pożegnała się Maddie.

- Poczekaj, odprowadzę cię.

Mark obserwował je z auta. Nagle zrozumiał, że Jess jest nie tylko piękna, ale i mądra, odważna, lojalna i zakochana. Takiej kobiety właśnie zawsze szukał.

Gdy Jess wsiadła, czule ją pocałował, a następnie zapytał:

- Czy pamiętasz, że mieliśmy o czymś porozmawiać?

- Pamiętam.

- Chcę powiedzieć, że bardzo cię kocham - wyznał

i ponownie się pocałowali.

W pokoju Maddie zapaliło się światło i dopiero wtedy Mark stwierdził, że mogą odjechać. Był teraz najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, pragnął resztę życia spędzić z Jess, która patrzyła na niego nieprzytomnie zakochanym wzrokiem.

- Jesteś tego pewien?

- Jak najbardziej i, jeżeli tylko pani pozwoli, pojedziemy do mnie, żebyśmy mogli to poprzeć czynami.

- Widzę, że jednak miałeś plan awaryjny.

Rozdział 34

A zatem, za moją córkę i jej narzeczonego. - Judy Ford wzniosła toast.

Młody człowiek, który oświadczył się Maddie, spłonął rumieńcem, narzeczona za to była niezwykle dumna. Jessica, Sarah i Grace także promieniały. Chwilę wcześniej Maddie wypytywała Jess, czy czasami i ona nie wybiera się na ślubny kobierzec, spoglądając przy tym wymownie na siedzącego obok Marka.

- Nie wygłupiaj się.

Mark za to przeżywał najszcześniejsze chwile w swoim życiu. Nie tylko kochał, ale i cieszył się, że Jessica i Taylor przypadły sobie do gustu; pewnie już niedługo złączą przeciwko niemu spiskować. Na razie nie poruszali tematu przyszłości. Było im ze sobą tak dobrze, że mogli to zrobić w każdej chwili.

Mimo że minął miesiąc od rozróby w domu Wayne'a Coopera, rząd nie wydał jeszcze żadnego oświadczenia. Osoby, które znały prawdę o śmierci Annette Cooper, zobowiązały się zachować dyskrecję. Wayne Cooper, Harris Lowell i pracujący dla niego ludzie nieoczekiwanie zginęli w katastrofie lotniczej, która - jakoś tak się złożyło - wydarzyła się w tamtym właśnie dniu. Prezydent złożył urząd i szefem rządu został Sears. Oficjalny komunikat rządowy głosił, że po stracie żony i ojca nie był w stanie kierować pracami rządu.

Mark nie miał wątpliwości, że katastrofa samolotu to nie był przypadek. Ciemne siły, których tak się obawiał, znów pokazały, co mogą. Rząd zdołał nawet osłabić efekt materiałów, które Jessica zamieściła w sieci; filmy skopiowano i powielono, wstawiając do każdej następnej kopii twarze szefów innych rządów i w takiej postaci zamieszczono w sieci. Co prawda podniosła się spodziewana wrzawa, lecz dzięki temu zabiegowi można było się upierać, że filmy z Cooperem nie są prawdziwe i zająć publiczność jakąś inną bzdurą.

- Czy przyjdziecie do nas wieczorem? - zapytała Judy Ford, gdy goście już się rozchodzili i opuszczali restaurację.

- Nie dzisiaj. Jutro zaczynam nową pracę i muszę się przygotować - wyjaśniła Jessica. Zatrudniła się w jednej z kancelarii współpracującej z jej dawną firmą. Była z tego niezwykle zadowolona, a Mark podzielał jej radość. Z kolei Jess ucieszyła się z przeniesienia Ryana do spokojniejszej pracy w sekcji dochodzeniowej.

- Jess, nie zapomnij, że w sobotę idziesz ze mną do sklepu - przypomniała Maddie. - Wybór sukni ślubnej nie może się odbyć bez druhny.

- Zaraz, zaraz, przecież to ja miałam być twoją druhną - zaprotestowała Grace.

- Jestem w tej dobrej sytuacji, że każda z moich sióstr będzie druhną - rozstrzygnęła Mandy. - Doradźcie mi więc wszystkie. Mama także.

- Ja mogę zostać raczej weselną matroną - odparła Sarah.

- Chyba, żeby Jessica... - zaczęła Grace.

- Nic z tego - krótko ucięła dyskusję Jess. Wzięła Marka pod ramię i zakomenderowała: - Idziemy do domu.

- Nie widzę przeciwwskazań - podchwycił Mark, u którego Jess mieszkała już od miesiąca.

- Zobaczymy się w sobotę - rzuciła jeszcze. Księżyc świecił pełnym blaskiem, ulica tętniła życiem. Mark wciąż rozmyślał o słowach, które przed chwilą wypowiedziała Jessica. Gdy siedzieli już w samochodzie, oznajmił:

- Wiesz, przez kilka ostatnich lat nie miałem prawdziwego domu. Mieszkałem w pustych murach.

-Tak?

- Czuję, że mam go dopiero od chwili, gdy ty w nim zamieszkałaś - wyjaśnił, całując Jessicę.